

Danusia Pisarska

Napad na serce



Danusia Pisarska

Napad na serce

Ilustrator Canva

© Danusia Pisarska, 2017

© Canva, ilustracje, 2017

Napad na serce to opowieść o miłości, przyjaźni i zbrodni. Laura jest młoda, piękna i bogata, posiada wszystko z wyjątkiem serca, rodzinna tragedia sprowadza ją na samo dno. Dzięki swemu małemu kompanowi dziewczyna zaczyna dostrzegać świat jakiego wcześniej nie знаła. Jest to wzruszająca i zabawna do łez historia która poruszy każdego.

ISBN 978-83-8104-672-5

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Napad na serce

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65

Wstęp

Monterrey miasto gór w północno-wschodnim Meksyku rok 1996

W rezydencji państwa Monroy panowała entuzjastyczna atmosfera. Za kilka chwil miała zjawić się żona właściciela Donia Cecilia z nowo narodzoną córeczką, wyczekiwaną zresztą kilka lat. Jakaż to była wiadomość, gdy dowiedziała się o ciąży. Ona uwielbiała dzieci a teraz wreszcie mogła się cieszyć swoim bobaskiem.

— Już są... — oznajmiła kucharka Lourdes do szofera i pobiegła otworzyć drzwi państwu.

Cóż to był za widok, spod różowego kocyka w pieski wystawała maleńka buzia z zadartym noskiem i drobniutkimi rączkami, gdy na cichy szept otworzyła oczka, wpatrywały się w nią nieznajome dla niej jeszcze twarze dlatego zaraz zaczęła płakać. Donia Cecilia weszła do salonu i usiadła delikatnie na kanapie. Kiedy mała trochę się uspokoiła zaczęto rozmyślać nad jej imieniem, ponieważ do tej pory zatroskani rodzice jakoś nie mogli się na żadne zdecydować. Padały najróżniejsze propozycje od Anny po Hiacyntę. Pojawiła się nawet propozycja Gryzeldy, ale to już jednogłośnie uznano za lekką przesadę.

Pewnie te obrady nie miałyby końca, gdyby nie szofer Levente, który był dosyć prostym człowiekiem i nieulegającym zbytniej pańskości.

— Dajcie jej na imię po prostu... Laura.

— Laura? No nie wiem — zastanowił się Don Valentino — ojciec dziewczynki.

— Tak... właśnie tak, oznacza ono „cała happy” — oświadczył z dumą szofer i akurat w tym nie pomylił się nawet odrobinkę. Z czasem, gdy dziewczynka zaczynała stawać na nóżki, Państwo Monroy swojego szczęścia mieli aż w nadmiarze, musieli biegać za nim po całym domu i wszędzie szukać bo cały czas gdzieś się lubiło chować. Pewnie to dlatego że mała jako jedynaczka była ciągle rozpieszczana, a ponieważ jej ojciec był właścicielem bardzo dobrze prosperującej firmy budowlanej stać ich, było na wszystkie jej kaprysy. W końcu postanowiono zatrudnić opiekunkę. Po trzech dniach od dania ogłoszenia do gazety zjawiła się Seniorita Victoria, młoda guwernantka w wieku dwudziestu dziewięciu lat, bardzo ułożona zresztą i lubiąca dzieci. Oj biedna, chodziła wiecznie pogryziona i zapluta dlatego też po pół roku złożyła wypowiedzenie mimo nalegań Doni Cecilii na dalsze pozostanie. Następną była Clara kobieta, która wychowała pięciu synów i była przygotowana na wszystkie możliwe niespodzianki. Bo cóż jeszcze ekscytującego mogłoby ją spotkać...?

A jednak życie bywa brutalne. Psozna i obraźliwa trzylatka potrafiła zadbać o to aby niania się z nią nie nudziła. Nie poddająca się Clara na głowie miała już chyba wszystkie możliwe fryzury a na twarzy każdy rodzaj makijażu od balowego aż po karnawał. Tylko biedna domowa kotka Jeffrey, snująca się po pokoju utożsamiała się z nianią, posłusznie nosząc długie wiszące klipsy na uszach i czerwoną kokardkę na ogonie. Natomiast spacer z Laurą były wręcz rozrywką, wiecznie trzeba było ją albo ciągnąć po ziemi albo nieść na plecach ponieważ od straszenia i ganiań zwierzątek parkowych bolały ją nóżki. Kumpłom z piaskownicy także nie przepuściła, potrafiła ich wykopać za zbyt prowincjonalne zabawki. Czarę przelało podpalenie opiekunce pukli włosów zapalniczką. Po roku ciągłego stresu i nerwów niania powiedziała stanowczo dosyć! Nawet jej pięciu synów nie dało jej tak w kość jak to dziecko. Kolejnych kilka opiekunek było już tylko epizodem.

Gdy Laura poszła do szkoły wcale nie było lepiej, już w pierwszym dniu ustawiła wszystkie dzieci pod ścianą i przeprowadziła wywiad... kto złamał jej kredkę! Oczywiście przestępca musiał oddać kanapkę. Jako nastolatka zamiast się uczyć wołała szaleć po zakupach z przyjaciółkami dlatego jej rodzice obawiający się o przyszłość córki w wieku lat piętnastu, postanowili wysłać ją do szkoły z internatem w USA. Tak też się stało.

Rozdział 1

5 lat później

Lourdes jak co dzień właśnie wróciła do swojego domu. Do pracy nie miała daleko więc powrót nie zajmował jej zbyt wiele czasu. Mieszkała na obrzeżach miasta w domku jednorodzinny razem ze swym dwudziestopięcioletnim synem Thomasem, był to chłopak przeciętnego wzrostu o średniej budowie ciała z jasnoniebieskimi oczami i ciemnym orzechowym kolorze włosów. Wchodząc do środka matka zamknęła drzwi, zdjęła z siebie przemoczony płaszcz i odłożyła na miejsce czerwoną parasolkę ponieważ na zewnątrz panowała spora ulewa, w końcu była już jesień a o tej porze roku jak wiadomo dni potrafiły być bardzo kapryśne.

Kobieta wreszcie mogła wygodnie usiąść na kanapie i odprężyć się przy filiżance ciepłej herbaty którą przygotował jej syn, jak zwykle przesadził z ilością cukru ale to nie przeszkadzało aby się rozgrzać.

— Jak było dziś w pracy? — zapytał zatroskany siadając koło matki.

— Moje dziecko dzień był jak każdy inny, sam wiesz że dobrze mnie tam traktują, nie mogę na nic narzekać. Natomiast bardziej martwię się o ciebie, odkąd zostałeś bez pracy gorzej nam się żyje, z jednej pensji trudniej się utrzymać.

— Oh mammo, szukam wszędzie gdzie tylko można. Dziś sprawdzałem oferty od sprzedawcy hamburgerów po oferty biurowe ale wszędzie albo już kogoś mają albo nie mam odpowiednich kwalifikacji, wszystko się zmieni kiedy ukończę studia, obiecuje ci że zostanę najlepszym psychologiem w mieście i będę miał swój gabinet.

— Trzymam cię za słowo — odparła Lourdes, dokończywszy herbatę ucałowała swoje dziecko w czoło i położyła się spać do swej sypialni ponieważ oczy same jej opadały ze zmęczenia. Thomas korzystając z tego że pogoda się unormowała i matka zasnęła a ona nie bardzo lubiła gdy syn włóczył się po zmroku wymknął się po cichu do baru ze swym kolegą właściwie jednym z najlepszych kumpli Bonym Mirandą.

Tak, Bony był najwierniejszym przyjacielem jakiego można sobie wyobrazić. Chłopcy poznali się w wieku czterech lat w piaskownicy. W oczy obojgu wpadła ta sama blondyneczka w fikuśnej sukieneczce i z warkoczykami, mrugająca zalotnie swymi długimi rzęsami. W chłopców trafiła istna strzała amora, w życiu nie widzieli piękniejszej dziewczyny. Problem polegał na tym, że ona była jedna a rywalów dwóch... więc cóż było robić, to był bój o honor.

— Walczmy na śmierć i życie! — krzyknął Bony wywijając plastikową łopatką do piachu. Nim się jednak obejrzelі dziewczynka zniknęła im sprzed nosa

a oni obydwaj wyglądali jak siedem nieszczęść ubrudzeni cali w piachu. Więc zawierając rozejm doszli do wniosku, że dla jednej baby nie można rozwalać piaskownicy skoro i tak sobie poszła bezczelna!

Dlatego postanowili złożyć sobie przysięgę, że zostaną kompanami na zawsze. A jak wiadomo taka umowa to świętość i nie wolno jej było łamać. Chłopcy zawsze pamiętali o danej sobie obietnicy nawet wtedy gdy nie raz przychodziły próby przyjaźni, tym też trzeba było podołać. Życiową szkołą dla Thomasa okazało się odejście jego ojca do innej kobiety, nowo poznanej milionerki którą podobno później także okradł i porzucił. W chwili kiedy na oczach syna wnikał w dal jak kamfora ten wybiegł za nim zrozpaczony.

— Tatusiu nie zostawiaj mnie! — krzyczał...ale dla kogoś bezdusznego i pozbawionego serca te słowa na nie wiele się zdały.

Wtedy przyjaciel pokazał, że był nim naprawdę. Kiedy Thomas zamknął się w ich tajemnym domku na drzewie i wciągnął za sobą drabinę ten mimo wszystko, usiłował się do niego dostać wdrapując się po gałęziach.

— Tylko nie rób głupstw... słyszysz Thomasie Romero?!

— Odejdź! Nie chcę nikogo widzieć. Skoro tatuś mnie nie chciał w takim razie ja jego też nie! Skończę z tym raz na zawsze... — Thomas przesunął drewnianą skrzynię pod którą była skrytka zabita gwoździami. Gdy się z nią uporał i oderwał dwie deski, wyciągnął z niej mały kluczyk, którym to właśnie otworzył ów skrzynie. W środku był długi metalowy hak, którym sięgając do górnej gałęzi zdjął sobie dwa kilo przeróżnych słodczych uwiązanych w czarnym plecaku.

Już miał się zabrać się za pałaszowanie kiedy Bony właśnie zasapany wdrapał się na górę.

— A niech cię licho jeżeli sam zjesz cały łup wojenny. Nie po to nabieraliśmy tego kajtka w pieluchach z naprzeciówka i brudnego Mayka, żebyś ty teraz wszystko sam zjadł! Na szczęście zdążyłem w porę i nie grozi ci już ból żołądka.

Bony biorąc do buzi całą garść cukierków z plecaka, przysiadł się do Thomasa i zaczął go pocieszać, bo rozumiał go bardzo dobrze. Sam stracił ojca tyle tylko że go nigdy nie poznał, był zbyt mały.

— Wiec wiesz stary, nie ma się co załamywać — mówił z pełnymi ustami — z tymi tatusiami już tak jest, twój cię zostawił ale przynajmniej wiesz jak wyglądał, kiedyś go znajdziesz i powiesz mu w twarz co myślisz a mój...szam rozumiesz, nie zdążył mnie nieborak poznać bo się potknął i wpadł do podwórkowej studni. Finał dla niego był baaardzo krótki, takie są skutki picia wódki...mama tak mówiła — wzruszył ramionami chłopiec i połknął kolejnego cukierka.

— A powiedziałaś że pedała mu poodpadały i wjechał rowerem do stawu...

— Tak, ale to było zanim zdecydował się na studnie a poza tym wtedy uratował go pies sąsiada.

- Ej Bony, ale wy nie macie studni...
- Bo ona była wiesz blisko jeziora.
- A mówiłeś że na podwórku?
- Na podwórku to był sąsiad który pobiegnął za psem nad jezioro.
- To nad którym utopił się twój ojciec?
- Nie, tam utopił się sąsiad bo pies go nie zauważył.
- Ahaa, to musiało być głęboko.
- Ahaa.

Jedno było pewne. O ojcu Bonego krążyły legendy... i nikt nigdy się nie dowie jak skończył monopolowy Ted.

Gdy chłopcy pocieszyli się nawzajem a potem napełnili cukierkami, słońce było już dosyć nisko, postanowili więc że wrócą do domu który znajdował się kilka ulic dalej, lecz gdy Thomas schodził po drabince z drzewa zdarzyło się nieszczęście. Zawadził koszulką o gałąź i spadając skręcił sobie nogę... więc po chwili pierwszej pomocy Bony jako wspaniałomyślny przyjaciel pomógł wsiąść mu na małe taczki przyczepione do rowerka z flagą Valencii Cf. I naciskając swymi chudymi nóżkami na pedała popędził co tchu do domu. Oczywiście z tej szybkości po drodze wywalił uszkodzonego... dwa razy, ale kto by się tam przejmował, przecież zawsze można wciągnąć go z powrotem. Gdy już dojechali Thomas co prawda cieszył się, że żyje ale grzecznie podziękował koledze za odwózkę i z pomocą trochę wystraszonej matki wszedł do domu.

Teraz gdy chłopcy byli już dorośli tak właśnie wspominali stare czasy w swoim towarzystwie. Czasem zbierało im się na śmiech ale i czasem też na płacz bo chcąc czy nie Thomas całe swoje dotychczasowe życie pracował gdzie tylko mógł, zastępując samemu sobie ojca i pomagając matce. A do tego, jak na złość stracił posadę listonosza, ponieważ trwały zwolnienia.

Właśnie teraz, kiedy najbardziej potrzebne mu były pieniądze na dokończenie studiów.

Rozdział 2

Donia Monroy od samego rana biegła jak szalona w te i wewte, z góry na dół z dołu na górę.

Powodem tego był przyjazd jej córki, tej samej niesfornej panienki którą postanowiono okiełznać poprzez wysłanie do internatu. Cecilia tak dawno jej nie widziała, więc nie mogła się już doczekać. Teraz to już nie było dziecko z małymi śmiesznymi warkoczykami, lecz dwudziestoletnia dziewczyna która ukończyła porządną szkołę licealną, co prawda ledwo ale jednak.

Pani domu weszła jeszcze do kuchni aby wydać ostatnie polecenia służącym.

— Lourdes...! O tutaj jesteś moja droga.

— Czy coś się stało? — odpowiedziała kucharka, która właśnie szykowała śniadanie.

— Nic się nie stało, ale jednak dla mnie to dosyć szczególny dzień, ponieważ dzisiaj po południu przyjeżdża moja droga córka...

Na te słowa stary szofer Levente, który właśnie pił kawę przy stole lekko się zachłysnął. Jeszcze miał w pamięci dzień w którym dziewczyna w wieku czternastu lat ucząc się potajemnie jeździć wjechała do basenu nowiutkim porsche ojca, dobrze że chociaż pływać potrafiła.

— Chcę żebyś przyrządziła jedno z ulubionych dań Laury, ciasto czekoladowe — mówiła dalej Cecilia — a czy sypialnia jest już posprzątana?

— Tak, nie trzeba się o nic martwić wszystko będzie na czas.

— Lourdes co ja bym bez ciebie zrobiła, w tym domu jesteś wręcz niezastąpiona... aha a ty Levente wyjedziesz po moją dziecinę na lotnisko, tylko się nie spóźnij bo wiesz że ona nie lubi czekać — oznajmiła kobieta wychodząc z kuchni.

Gdy tylko służący zostali sami Lourdes zaraz przysiadła się do szofera przy okazji częstując się łykiem jego kawy.

— Jak myślisz, czy ona się zmieniła?

— Hmm, może... w końcu nie widzieliśmy jej pięć lat już dorosła, być może wyszumiały jej z głowy te wszystkie głupstwa i jest teraz poważną młodą damą.

— Może masz rację, ciekawe czy jeszcze lubi tort czekoladowy...pamiętam że zawsze się nim zajadała po kryjomu nawet gdy jej ni pozwalano ruszać słodkości — wspominała kucharka pochlipując jeszcze parę łyków kawy kolegi.

Donia Cecilia udała się z powrotem na górę do swojej sypialni, gdzie właśnie jej mąż szykował się do wyjścia. Nikt z rodziny nie miał pojęcia że ten człowiek który od zawsze był wzorowym ojcem, mężem oraz szanowanym właścicielem firmy budowlanej teraz stał się nałogowym hazardzistą, na dodatek zaczął popadać w coraz większe długi.

— Już nie mogę się doczekać przyjazdu naszej małej a co to, wychodzisz gdzieś? — spytała żona sięgając do półki w komodzie po krem do rąk którym lubiła smarować ręce

ze względu na jego różany zapach.

— Mam na mieście parę spraw do załatwienia — odrzekł mężczyzna mijającym wzrokiem.

— Myślałam że zaczekasz ze mną na jej powrót, cóż teraz może być ważniejszego? — Mam na dzisiaj umówione bardzo ważne spotkanie biznesowe, obiecuję że wrócę na czas — powiedział Don Valentino i ucałował żonę na do widzenia. Cecilia została sama w pokoju. Siadając na łóżku ogarnęło ją dziwne uczucie... zaczęła się obawiać ale sama nie wiedziała czego.

— A jeśli mnie zdradza? — pomyślała — Nie, do tego akurat nie byłby zdolny, muszę odsunąć wszystkie negatywne emocje. Donia była, kobietą mądrą i rozsądną więc po prostu ufała.

Po dwudziestu minutach od wyjścia z domu nierozsądny hazardzista znalazł się w kasynie nazywanym przez niektórych domem rozpaczy. Jak większość takich miejsc to także owiane było złą sławą. Zdarzało się że gracza który przepuścił swój majątek przy okrągłym zielonym stole już nigdzie potem nie widziano i to nie dlatego że się ukrywał ale dlatego że go znaleziono. A teraz w tym bagnie zaczynał tonąć Don Valentino. Im bardziej przegrywał pieniądze tym bardziej chciał odzyskać to, co już stracone zadłużając się pomалу. I tak pętka na jego szyi zaciskała się coraz bardziej. Zazwyczaj gdy ofiara była już w pułapce podstawieni gracze dobijali zawodnika ostatnimi kartami, które mieli ukryte gdzieś w rękawie lub w kieszeni. Tak też się miało stać w przypadku tego nieszczęśnika... który latami budował firmę i pracował na swój sukces. Poniekąd sprawcą wielu losów toczących się w tym kasynie był jego właściciel Baldur Romero, człowiek pazerny, bezwzględny i niemający żadnych zahamowań a w dodatku ten, który porzucił pięcioletniego syna. Ciągłe wciągał innych w swe gierki. Czy ktoś taki mógł mieć, jakie kol wiek skrupuły? Bo przecież o sercu już nie było mowy.

Valentino pewny że tym razem wygra, siedział z najwyższym stritem w dłoni pomiędzy kilkoma sępami, które już krążyły nad jego głową. Ponętne damy w niebieskich spódniczkach i czerwonych mocnych szminkach na ustach, które im towarzyszyły, obok stolika podsuwały na srebrnej tacy dosyć drogie wina i cygara. Wszystko po to, aby zawodnik czuł się rozluźniony i mógł postawić jak największą sumę. Karty przykrywały jedna drugą, a w oczach mieniły się kolorowe figury.

Szala była po stronie wygrywającego, przynajmniej tak ów myślał. Więc pulą na stoliku było 25 mln, pieniądze które Valentino już chciał zobaczyć w swojej kieszeni, ale wystarczyło tylko jedno kiwnięcie głową Baldura do swojego współnika Anacleta i w końcu trzeba było powiedzieć goodbye tej

zabawie.

Poker królewski przesądził o wszystkim... właśnie przykrył cały dorobek życia biznesmena.

W głowę od tej chwili byłego już bogacza z Monterrey uderzył jakby piorun a wszyscy którzy siedzieli obok niego jakby byli za szklaną szybą. Biedak miał miesiąc na oddanie długu. Mili panowie w czarnych muchach i eleganckich garniturach na rozkaz szefa odprowadzili do drzwi kolejnego przegranego i ładnie się pożegnali poklepując go po plecach.

— No stary, gratulujemy przegranej i... widzimy cię za miesiąc w kieszeni z forszą w ręku przed tym oto kasynem albo...no wiesz, zawsze możesz przywitać się z rekinem... także bratku komu w drogę temu czas.

— Wszystko oddam co do grosza, przecież wiecie że zawsze się wywiązywałem — przekonywał zrozpaczony mężczyzna.

— Tak, tak — zaśmiał się Anacleto i odprawił nieszczęśnika.

Valentino zniknął, za wysoką czarną bramą drapiąc, się po czole o to, co teraz będzie.

— A ja bym wołał jednak do rekina... — zastanowił się słaby jednak w myśleniu zbir Baldura, który z miejsca dostał od brata ręką w półgłówek.

— Co ty pleciesz Edmundzie.

Rozdział 3

Na lotnisku wylądowała seniorita Monroy, dziewczynie tej urody i pieniędzy zazdrościł każdy, przynajmniej takie o sobie miała zdanie „Niech by tylko ktoś spróbował powiedzieć inaczej” mówiła, ale tak rzeczywiście wyrosła na ładną, wysoką blondynkę o zgrabnej figurze i zielonych oczach. Szła przez port lotniczy w ciemnych okularach, dumnie wyprostowana, ciągnąc walizkę za sobą. Jeszcze tylko zalotnym spojrzeniem pożegnała tłum męskich wielbicieli oglądających się za nią. Nic nie było w stanie popsuć jej humoru. A jednak... wychodząc z lotniska rozejrzała się dookoła, tupnęła dwa razy nogą i zamruczała coś ze złości pod nosem ponieważ szofera jeszcze nie było...skandal! Biedny Levente złapał gumę w połowie drogi więc stojąc na poboczu próbował naprawić to nieszczęsne koło.

— Ja mu wygarrnę, jeszcze by brakowało żebym jechała taksówką albo gorzej! Piechotę! — wrzasnęła sama do siebie rozżłoszczona dziewczyna.

Podczas gdy ona czekała na szofera odliczając jego minuty marnego żywota, jej ojciec wracał do domu zamyślony, wolnym krokiem obluzowując krawat, który jakoś dziwnie robił się za ciasny. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy że da się wplątać w coś tak okropnego jak hazard ale teraz dowiedział się że łatwe pieniądze to tylko ludzka naiwność i próżność. Dumając nad tym jak oddać taką sumę pieniędzy, był świadomy że jego firma tego nie udźwignie a co za tym idzie straci także rezydencję i być może żonę gdy ta dowie się o wszystkim. Don Valentino tego jednego by nie zniósł ponieważ kochał ją najbardziej na świecie.

Wchodząc do domu od razu skierował się na górę do sypialni by ominąć jej wzrok i nie dać niczego po sobie poznać ale Cecilia stojąca w salonie przy stoliku poprawiająca kwiaty w dzbanku, od razu zauważyła że coś się stało.

— Co ci jest? Wyglądasz jakoś dziwnie...

— Nie, wiesz po prostu jestem zmęczony.

— Spotkanie źle poszło?

— Nie to nie to, naprawdę muszę odpocząć. Pójdę się położyć, daj znać gdy Laura przyjedzie — odpowiedział mężczyzna z posępną miną i całując żonę w czoło odszedł na górę.

— Hmm, jest zbyt przepracowany, powinien zrobić sobie kilka dni wolnego...

Kierowca Levente wreszcie naprawił koło, wsiadł do samochodu z pośpiechem i ruszył dalej. Gdy po godzinie opóźnienia dotarł na miejsce, czekała na niego wściekła młoda dama, to też szofer słyszał z tego że po latach pracy spędzonych u państwa Monroy doskonale potrafił wyprzedzać rzeczywistość dlatego zawsze miał przy sobie zatyczki do uszu, to świetny sposób aby uniknąć niepotrzebnego stresu.

— Jesteś wreszcie! Ile można na ciebie czekać! — wrzasnęła ta malowana lala.

— Witam panienkę, z góry oświadczam że po drodze wystąpił problem z kołem.

— To jak jeździsz! No na co czekasz! Jeszcze może drzwi mam sobie otwierać...

— Tak jest. Zapomniałem dodać że piękną mamy dziś pogodę.

— Nie denerwuj mnie bo cię zwolnię, ruszaj ale już! Jak można być tak nieodpowiedzialnym.

Szofer niczym nie zmacony, wesoło podśpiewując wsiadł do pojazdu, założył ciemne okulary i ruszył przed siebie.

— Byle do domu — pomyślał.

Trzeba przyznać że Levente nie był już najmłodszy więc od czasu do czasu podczas jazdy trąbiły na niego czyjeś

samochody. Kiedy weteran szos z głównym pasażerem w środku zajechał przed rezydencję już czekali tam stęsknieni rodzice. Dla córki tylko oni mieli jakieś znaczenie, im jednym potrafiła okazać szacunek. Być może dla dlatego że w głębi duszy czuła ich szczerą i bezinteresowną miłość wobec siebie. Mimo że miała mnóstwo koleżanek to podążała za nią samotność, one nigdy nie okazywała takich cech.

Laura zaraz czule przywitała się z ojcem i matką i w ich objęciach weszła do środka. Szofer odprowadził limuzynę do garażu z tyłu domu i udał się do kuchni w której na stole stał tort czekoladowy. Stary Levente z natury był łasuchem więc już zaczął się podsuwać do tego eleganckiego deseru ale właśnie w tej chwili weszła kucharka.

— Nie ruszaj, tego pasibrzuchu! Tylko byś jadł i jadł.

— Chciałem tylko spróbować czy wypiek ci się udał.

— O to się już nie martw, jaśnie panienka za dziesięć minut zażyczyła sobie go zjeść więc na stół musi trafić w całości, a nie podzióbany.

— Oj, już się tak nie denerwuj i usiądź ze mną chwilę przy stole bo podjąłem ważną decyzję i jako moja wieloletnia koleżanka z pracy, właściwie to jedyna...

— Oj nie motaj tak tylko gadaj, o co chodzi.

Lourdes z zaciekawieniem usiadła przy stole wlepiając oczy w kierowcę.

— Widzisz... dużo nad tym myślałem i doszedłem do wniosku, że jestem już w takim wieku, kiedy potrzeba odpoczynku, coraz bardziej męczy mnie poranne wstawanie a i wzrok mam już coraz gorszy...nie jestem już tak bystry, jak kiedyś.

— Co masz na myśli?

— Chcę wreszcie przejść na emeryturę, chcę łapać ryby nad ranem, siedzieć do późna przed telewizorem oglądając horrory i połykać popcorn ze strachu. Tylko pomyśl, wreszcie nie będę się martwił, że muszę szybko wstać z resztą moje stare

kości już na to nie pozwalają. Ach...to będzie Zycie.

— Jak to? A ten dom? A ja?

— Nic się nie martw, porozmawiam z Don Valentinem i kiedy znajdzie na moje miejsce kogoś młodszego wtedy odejdę ale obiecuję że będę cię odwiedzał.

— Będzie mi cię brakować. Po tylu latach razem w tym domu jesteś dla mnie jak rodzina.

— Ciesze się że zasłużyłem sobie na takie słowa.

— Czekaj... w takim razie skoro odchodzisz i jesteś już zdecydowany to pozwól, że na twoje miejsce zaproponuję mojego syna, ostatnio stracił pracę a nie może znaleźć drugiej, to bardzo odpowiedzialny chłopak.

— Jeżeli szef się zgodzi to ja tym bardziej...ale moja droga minęło już dziesięć minut, może idź już z tym tortem, aby panienska się nie denerwowała.

— A tak...masz rację.

Kobieta wzięła czekoladowe cudo na jasnoniebieskim talerzyku i zaniósła do jadalni stawiając przed nos seniority która... spróbowała tylko kawałek.

— Odzwyczałam się od potraw z rąk tej wieśniaczki — oznajmiła odkładając sztucę i zadzierając nosa.

— Lauro! Jak możesz, Lourdes starała się dla ciebie cały ranek — rzekła Donia Cecilia.

— Właśnie za to jej płacicie. Jeżeli chcesz, tutaj dalej pracować to jutro na stole chcę widzieć coś wytrawnego i klasycznego — oświadczyło nadęte dziewczę i wstając od stołu poszło do swojego pokoju.

— Ona jest jeszcze gorsza niż przedtem — stwierdziła służąca.

— Lourdes strasznie cię przepraszam, wiesz jaka jest nasza córka, ten wyjazd trochę przewrócił jej w głowie — usprawiedliwiał ją Valentino.

— Obawiam się że jej może się przewracać już tylko jedna klepka, która o dziwo jeszcze nie wypadła.

Rozdział 4

Pokój, Laury przypominał elegancki mały salonik ze stylowymi meblami i dużym lustrem, ponieważ nie gustowała ona w byle czym. Wszystko wykonane było na specjalne zamówienie młodej damy, bo przecież nie można mieszkać zbyt skromnie, gdy się ma tyle pieniędzy. Panienska usiadła przed swą różową toaletką, ponieważ akurat takie były trendy i zaczęła przymierzać wszystkie kolczyki jakie miała w szkatułce.

— Hmm, czy jest piękniejsza dziewczyna ode mnie? Nie sędzę, w dodatku taka bogata. Ach...usta mam jak płatki róż a oczy jak diamenty — westchnęła do odbicia w lustrze.

Sposób bycia Laury był piorunująco skromny. Po chwili ekscytacji nad swoją osobą, sięgnęła do błyszczącej białej torebki po komórkę, wycisnęła numer do swojej przyjaciółki Toni Alvarado — córki znanych właścicieli salonu samochodowego, usiadła z wyprostowanymi plecami na łóżku, i cmokając, do telefonu umówiła się z nią nazajutrz na zakupy.

Pod wieczór Levante udał się do gabinetu szefa aby omówić swoją decyzję.

— Puk, puk

— Proszę — odezwał się Don Valentino.

— Dobry wieczór, czy nie przeszkadzam?

— Ależ nie, nie robię w tej chwili nic ważnego, wchodź proszę.

Szofer usiadł na krześle i zaczął wpatrywać się w pracodawcę.

— Mów proszę, o co chodzi.

— Szefie, wie pan że pana i pańską rodzinę darze szacunkiem...

— Tak, wiem to już od ponad dwudziestu lat i dziękuję ci za to, ale chciałbym wiedzieć czemu zawdzięczam twoją wizytę?

— Powiem wprost i nie będę owijać w bawełnę. Uznałem, że jestem już zbyt stary i chciałbym odejść na emeryturę.

— Co ty mówisz? Ty? Przecież dla mojej rodziny jesteś niezastąpiony.

— Dziękuję za uznanie, ale nie ma takich ludzi. Po tylu latach pracy czuję, że chciałbym wreszcie odpocząć. Starość daje o sobie znać. Na każdego przecież przychodzi trzeci wiek.

— Czy na pewno wiesz, że podejmujesz słuszną decyzję? Może przemyśl to jeszcze na spokojnie.

— Podjąłem ją już ostatecznie i chciałbym, aby państwo uszanowali moją wolę, tak będzie lepiej dla wszystkich.

— Skoro tak twierdzisz...kiedy zamierzasz nas opuścić?

— Jak tylko zjawi się nowy pracownik. Jeżeli pan wyrazi zgodę to rozmawiałem już z kucharką, jej syn niedawno stracił pracę i szuka nowej. To

bardzo odpowiedzialne dziecko. A poza tym jest młody i z pewnością poradzi sobie znacznie lepiej ode mnie.

— Hmm, w takim razie przekaz, niech przyjdzie na rozmowę.

— Dziękuję bardzo — szofer wstał ucieszony uścisnął rękę pracodawcy obiema dłońmi i wyszedł z gabinetu przekazać służącej dobrą wiadomość.

Nazajutrz Senior Monroy powtórzył żonie decyzję pracownika.

— Wiesz kochanie, muszę ci coś oznajmić.

— Tak? O co chodzi?

— Nasz kierowca nas opuszcza.

— Jak to?

— Przyszedł wczoraj do mnie i zakomunikował, że jest już zbyt stary i chce odejść.

— Faktycznie... ostatnio jeździł jakoś dziwnie ale nie pomyślałam że chciałby nas opuścić, trzeba będzie mu dać solidną odprawę.

— Tak masz rację, po tylu latach zasłużył.

— Kiedy zamierza odejść?

— Jak tylko znajdzie się ktoś nowy, podobno syn naszej kucharki został bez pracy, umówiłem go na dzisiaj.

— A co to za chłopak?

— Nie wiem, Levante go chwalił więc się zgodziłem a zmieniając temat moja droga mam też dla ciebie propozycję na dziś wieczór.

— Tak a jaką? — spytała zaciekawiona żona.

— Dzisiaj sobota, może wybralibyśmy się na kolację tylko we dwoje? Zamówię stół i orkiestrę... wiesz jak za dawnych lat.

— Bardzo chętnie, ostatnio rzeczywiście nigdzie razem nie wychodziliśmy.

Don Valentino wiedział, że gdy ukochana dowie się o jego długach, raczej mu tego nie wybaczy, ponieważ nie na widzi kłamstw, więc postanowił spędzić z nią ostatnie miłe chwile za nim burza miałyby rozpętać się na dobre.

Po rozmowie odbytej wieczorem z matką Thomas w godzinach przedpołudniowych wybrał się na umówione spotkanie do rezydencji państwa Monroy. Przed wyjściem włożył na szyję swój szczęśliwy medalik podarowany na jedenaste urodziny i całując go na szczęście ruszył przed siebie mając nadzieję, że tego dnia los się do niego uśmiechnie. Trzymając nerwowo kartkę z adresem w ręku przemierzał bogatą dzielnicę w której jeszcze nie miał okazji być. W końcu po sprawdzeniu kilku numerów jeden okazał się trafny. Przyszły szofer stanął przed wysoką bramą, która właśnie się otwierała a z jej środka wyjeżdżała elegancka limuzyna z młodą damą w środku, lecz nie można było dostrzec jej twarzy, ponieważ szyby były przyciemniane. Zresztą dziewczyna i tak była zajęta szukaniem czegoś w swojej torebce a on myślał teraz tylko o tym, że wraz z tą bramą otwierała się także przyszłość od której zależały, jego studia więc wszedł za

bramę z głową uniesioną w górze.

— Ale chata — pomyślał i z wrażenia zagwizdał okręcając się w koło nie zauważył, że stanął przed nim Don Valentino.

— Hmm młody człowieku, czy to ty szukasz u mnie pracy na stanowisko szofera?

Chłopak szybko stanął do pionu.

— Tak to ja, miałem się tutaj stawić.

— A jakie masz doświadczenie?

— Oczywiście mam prawo jazdy, jak dotąd nie miałem żadnych kolizji, jeżdżę bardzo ostrożnie.

— A co jeszcze potrafisz robić?

— Wszystko, co trzeba jestem wysoko uzdolniony.

— To znaczy?

— Jeżeli zachodzi, potrzeba to jestem kucharzem, malarzem, ogrodnikiem i...

— Tak, tak...

— Uczysz się gdzieś?

— Studiuję psychologię, w przyszłości planuję otworzyć swój gabinet.

— No dobrze chłopcze wydajesz się odpowiedzialny, ten kto cię polecił także cię chwalił, nie mam teraz zbyt wiele czasu więc przyjdź jutro na 10.00. Wypróbujemy twoje talenty.

— Bardzo dziękuję, na pewno się nie spóźnię — odpowiedział nowy kierowca i podskoczył ze szczęścia w górę gdy pan się już oddalił.

Tymczasem na umówione spotkanie dotarła także Laura. W kafejce przy małym stoliku czekała już na nią przyjaciółka, przynajmniej za taką się podawała. Dziewczyny nie widziały się od wyjazdu do USA więc miały sporo do nadrobienia. Od zawsze lubiły ze sobą rozmawiać, ponieważ głównym tematem zazwyczaj były nowe perfumy Chanel lub kolejne wakacje w jakimś ekskluzywnym miejscu. Pewnie, gdyby przyszło im mówić o zwykłych codziennych sprawach takich jak praca, łapanie wiecznie uciekającego taxi na ulicy czy ciągle użeranie się z rachunkami z pewnością nie mogły, by już na siebie patrzeć a tak uwielbiały swoje towarzystwo i często wspierały się w trudnym doborze butów.

Skończywszy kawę dziewczyny postanowiły przejść się po ulicy, po której na ich nieszczęście krążyło kilkoro bezdomnych, zakłócając tym samym przyjemny dzień Laury i podrażniając jej nos. Ona ich wprost nie znosiła, uważała że śmierdzą i są odrażający. Gdy patrzyła na podarte ubrania i wystające palce z butów, robiło jej się nie dobrze. Twierdziła, że te brudasy to zwykłe lenie bez przyszłości, nigdy jej nawet przez myśl nie przyszło że mogłby ją czekać taki sam koniec... przecież to dziedziczka firmy Monroy i jej los już zawsze będzie leżał na najwyższej półce szczęścia. Omijając z daleka bezdomnych, którzy tylko pokiwali głowami na te

bogate panny, dziewczyny odetchnęły z ulgą i znów mogły spokojnie maszerować obok wystaw sklepowych, ale jakież to pech! Tonia znów zagapiła się na pięćdziesiąt procent rabatu i po raz kolejny przydzwoniła centralnie w słup, nie było tego złego co by na dobre nie wyszło, poza siniakiem do jej głowy przylepił się dosyć spory plakat.

— Co to... zobacz dzisiaj będzie jakiś festyn na przedmieściach — zaciekała się odrywając sobie kartkę z czoła.

— Chcesz iść na takie coś? — za grymasiła Laura.

— A dlaczego nie...

— Daj spokój, tam chodzą same wieśniaki, to nie dla nas.

— Prawdę mówiąc zawsze chciałam, zobaczyć jak się bawią takie prostaki — zachichotała Tania

— A co w tym może być interesującego... ty wiesz, jak by po czymś takim wyglądały moje buty?

— Oj daj spokój, przecież nie musimy tańczyć, możemy się pośmiać z boku a potem wrócimy do domu.

— Tylko z boku...? Pośmiejemy się z tych głupków? Wiesz... w sumie to nie głupi pomysł a jak tam się trzeba ubrać?

— No chyba tak jakoś po wieśniacku...?

— Czyli jak?

— Nie wiem, ale zostaw to mi, coś wykombinuje na wieczór — odpowiedziała miss słupów na ulicach i ruszyła obolałą głową jak się ubrać na imprezę.

Rozdział 5

Wybiła godz. 20.00. Państwo Monroy siedzieli tylko we dwoje, wpatrzeni w siebie w restauracji na górze jednego z wieżowców, podziwiając nocne piękno miasta. Tak właśnie się poznali, spoglądając na jego uroki. Gdy raczyli się kolacją, wokół unosił się zapach róż i blask świateł. Orkiestra zaczęła grać na pianinie. Valentina cały czas nękało sumienie, ale nie dawał nic po sobie poznać, żeby nie zepsuć przyjemnego wieczoru więc poprosił żonę do tańca. I tak kołysząc się w swych objęciach przy utworze Franca Sinatry czuli się znów jak by mieli po dwadzieścia lat.

Ten wieczór dla wszystkich okazał się wyjątkowym.

Po drugiej stronie miasta odbywała się zabawa na którą dotarły dwie nowe imprezowiczki w różowych spódniczkach i szpilkach na kilka centymetrów.

— Skąd ty wytrzasnęłaś te ciuchy? — spytała Laura, której ubiór zawsze był elegancki i niezbyt frywolny.

— A jak myślisz... buchnęłam służącej, ma tego pełno.

— Mogłam się tego spodziewać... ja w stroju, który nosiła jakaś pokojówka... jakoś to przełknę.

Dziewczyny z początku jakoś nie mogły się odnaleźć w tym tłumie pełnym prostaków. Panna Monroy kręciła nosem na wszystkie strony. Nie dość, że każdy ją objął to jeszcze została troszkę ochlapana piwem. Te damy nie były przyzwyczajone do tak niskiej klasy społecznej, ponieważ zawsze bywały wyłącznie na balach z równymi sobie. Były odpowiednie sale oraz oświetlenia a po bokach znajdowały się bufety, na których stał pyszny poncz. A tu... proszę, stado mrówek pod gołym niebem i dzika kolejka po hamburgery.

— Ale cóż, skoro już się tu przyszło to trzeba się jakoś wtopić w towarzystwo — stwierdziła Tonia i ruszyła z towarzyszką na parkiet gdzie grał tutejszy zespół na czele z jakąś kobietą.

Za to Thomas i Bony nie mieli problemu z tym aby się odnaleźć. Takie dyskoteki to dla nich codzienność. Zawsze można było zawrzeć nowe znajomości z dziewczynami i pogadać ze starymi kumplami. Godzina robiła się coraz późniejsza więc impreza bardziej się rozkręcała. Bony w ramach solidarności z narodem skoczył na chwilę po dwa piwa zostawiając kolegę samego, który rozglądał się do koła w poszukiwaniu znajomych twarzy w pewnej chwili jego wzrok zatrzymał się na ładnej dziewczynie, próbującej wykrzesać coś ze swojego tańca, szkoda że nie były jej znane rytmy latino, właśnie teraz by się przydały.

— Blondynka... — śmiejąc się po cichu szepnął do siebie Thomas i po krótkim namyśle postanowił podejść. Kiedy przebił się przez gromadę ludzi, stanął przed nieznaną i zapytał trochę nieśmiałym, żartującym głosem.

— Widzę, że ci to samej kiepsko idzie, może ze mną zatańczysz?

Laura spojrzała na niego od góry do dołu pogardliwym wzrokiem.

— Czy ktoś cię tu wołał wieśniaku? Idź stąd!

— Co? Ja wieśniak? A ciebie kto tak ubrał?! Pewnie w cyrku były przeceny!

— warknął oburzony młodzieniec i zostawiając niemiłe koleżanki wrócił do kumpla, który czekał na niego z butelką jasnego.

— Widziałeś ją...?

— Blondyna dała ci kosza? — spytał Bony

— Tańczyć nie potrafi i jeszcze pyskuje, co ona sobie wyobraża, za kogo się ma...

— Nie przejmuj się, niektóre dziewczyny takie są, udają niedostępne a potem co do czego chodzą za człowiekiem krok w krok i proszą o jedno spojrzenie. Pamiętasz te stukniętą Adelinę? Najpierw się przymilała a potem podebrała mi drosy i dała nogę.

— Adelina miała pięć lat a ty siedem, jak mogła nie uciekać skoro ją goniełeś po całym osiedlu i krzyczałeś „drosy albo życie”.

— Jasne... wykorzystać to każda z nich potrafi.

Po kilkunastu nieudolnych minutach dziewczyny wciąż nie mogły złapać rytmu. Tonia stwierdziła że w porównaniu do tego szarego tłumu idzie im znacznie gorzej, więc postanowiła rozluźnić sytuację.

— Gdzie idziesz, nie zostawiaj mnie tu samej! — wołała Laura.

— No to choć...

— Ale gdzie?

— Jak to gdzie, do tej szarej budki, która stoi za sceną. Każdy stamtąd wraca wesoły. Chodź prędzej.

Abstynentka z bogatego domu cofnęła się o krok.

— Chcesz się uchlać przy barze? Zgłupiałaś?

— Oj przestań marudzić, raz możemy się zabawić.

— ...ale tylko po troszeczkę, żebym nie musiała cię ciągnąć do domu.

Dziewczyny szybko wpisały się na listę oczekujących i z lisimi oczami zaczęły wpatrywać się na wszelakie kolorowe trunki, których dotąd nie miały okazji spróbować, ponieważ na eleganckich przyjęciach na których bywały, zazwyczaj podawano tylko drogie szampany, których i tak nie można było skosztować ze względu na wszechwidzące oko rodziców wiecznie stojących za plecami.

A w tym całkiem innym miejscu można było poczuć smak wolności. Tutaj polewano martini a tam dzikiego Indianina. Laura zauważyła, że jeden z klientów zamówił sobie trunek o nazwie „błękitny mściciel”.

— Co to może być — pomyślała, ale widząc zadowoloną minę tego chłystka także postanowiła spróbować. Przechylając kieliszek do dna stwierdziła, że skoro

ten był tak smaczny to zamówi jeszcze jeden.

Tonia także nie mogła się oderwać od zakręcającego w głowie trunku.

— Poproszę jeszcze tego drinka i tamtego też, o i jeszcze tego i dwa kieliszki tequili.

— Wypije pani wszystko naraz? — spytał kelner.

— Jesteśmy tutaj po to aby się dobrze bawić — odpowiedziała z płaczącym się już językiem.

Kiedy całkiem wstawione dziewczyny stuknęły ze sobą ostatnie kieliszki stwierdziły, że teraz przyszła pora żeby zatańczyć na parkiecie. Po drodze Laura podbiegła do Thomasa i szarpiąc go za rękę pociągnęła za sobą.

— Chodź wieśniaku, zatańczymy.

Ten oglądając się do tyłu w stronę kumpla zrobił dziwną, śmieszoną minę, mrugnął prawym oczkiem i ruszył ciągnięty za nowo poznaną koleżanką.

Rozdział 6

Słońce wstawało leniwie po niebie i przez okno pomału zaglądało do pokoju imprezowiczki, która chrapała sobie w najlepsze z jedną nogą zwisającą z łóżka, podczas gdy niektórzy już udawali się do pracy. Gdy Laura zaczęła przechodzić ze snu w stan jako takiej świadomości, otworzyła oczy i przekręcając się jeszcze na lewy bok i na prawy bok, podniosła wreszcie swe umęczone ciało w górę, z włosami niczym wichrowe wzgórza, staczając się z aksamitnych pościeli postawiła swe stopy na podłodze, wreszcie podeszła do lustra w którym zobaczyła obraz nędzy i rozpaczony i które mówiło stanowcze „nie” takiej damie.

— O matko jak ja wyglądam, o moja głowa, zaraz mi pęknie — Jęczała desperatka — muszę szybko zejść na dół do kuchni po tabletkę. Nigdy więcej nie dam się na to namówić. Dziewczyna schodząc po schodach nie zauważyła, że w salonie stał jakiś gość który... odwracając się w jej stronę, uświadomił sobie ze zdziwieniem, że to ta sama z którą przetańczył pół nocy...prawdę mówiąc ucieszył się, że ją zobaczył...

— Główka boli? — spytał

— Laura słysząc głos odwróciła się i wytrzeszczyła oczy ze zdumienia ...właśnie wtedy pomyliły jej się ostatnie schodki i runęła jak długa na ziemię.

— Ha... oj chyba jednak boli, może pomogę wstać?

— Hmm — bogata złośnica wstając otrząsnęła się i unosząc głowę w górę pognęła do kuchni.

— Co z nią jest nie tak? — zdziwił się chłopak.

Gdy seniorita weszła do kuchni, sięgnęła do lodówki po sok pomarańczowy i nie pamiętając już o tabletkach zaczęła wypytywać kucharkę o nowego gościa.

— Lourdes co w salonie robi ten... ten tam? Kim on jest...?

— To mój syn.

Na te słowa panna Monroy lekko się zachłysnęła.

— Twój syn?

— Tak, z mojego polecenia jest od dzisiaj nowym szoferem.

— Jak to nowym, przecież jest Levente.

— Levente odszedł ponieważ stwierdził, że jest już zbyt stary.

— Jak to odszedł? Bez mojej wiedzy?

— On podjął taką decyzję, ponieważ uznał że tak będzie, najwłaściwiej a Don Valentino wyraził na to zgodę.

— Jeszcze mi tego brakowało, oh jak mogłam tańczyć z tym wstrętnym...synem kucharki, mam nadzieję że moi znajomi się o tym nie dowiedzą. Czemu spośród wszystkich wieśniaków trafił się akurat ten! — mamrotała do siebie kapryśnica, wychodząc z kuchni.

W salonie burknęła kilka słów do nowego pracownika stukając go jednym palcem w ramię, aby zachować pozory.

— Ej ty jak ci tam...

— Oo...jednak po trzeźwemu też potrafisz mówić. Jestem Thomas.

— Słuchaj! Jak się ktoś dowie gdzie wczoraj byłam to nie zdążysz usiąść nawet za kierownicą rozumiesz? Nie chcę żadnych skandali.

— Jasne, rozumiem że to był chwilowy wybryk ze strony paniusi.

— Jaki wybryk... oh! Nigdy więcej nie niżę się do takiego poziomu.

Laura znów się naburmuszyła i omijając chłopaka z ręką na czole weszła na górę — O moja głowa... — jęczała dalej.

— Rany co za baba. Przydała, by jej się jakaś resocjalizacja stwierdził młodzieniec, który uchodził za człowieka kulturalnego i miłego dlatego wszelką nietolerancję wobec siebie i innych traktował jako zwykłą niegrzeczność i brak szacunku. Szczerze mówiąc nie bardzo rozumiał ludzi, którzy nie potrafili wykrzesać z siebie nic oprócz niemiłych słów. Czasami wydawało mu się, że może to dlatego, że tacy bogacze zazwyczaj gdy wstawali rankiem i gdy kładli się spać mieli rytuał wączania studolarówek i pewnie ta dość rzadka w jego rękach rzecz, przysłoniła im prawdziwe oblicze rzeczywistości oraz samotną kotkę, która wciąż wałęsała się po domu prosząc o odrobinę czułości. Pewnie gdyby jej futerko świeciło, jak milion dolarów natychmiast przykułoby uwagę właścicielki. To, że ten młody chłopak był tak uczciwy i pracowity mógł zawdzięczać tylko matce, która odkąd zostawił ją mąż, robiła wszystko aby jej syn obrał przeciwny kierunek życia niż jego ojciec.

Po kilku minutach zadumy Thomasa nad światem złym z gabinetu obok wyszedł Don Valentino. Witając nowego pracownika i nie tracąc przy tym czasu zaprowadził go do garażu gdzie znajdował się samochód, którym mieli udać się na spotkanie o którym jak zwykle nikt z rodziny nie wiedział.

Oh jaka była radość młodzieńca, gdy zobaczył to чудо. On jak zresztą i jego właściciel byli fanami czterech kółek więc szybko zdobyli temat do rozmowy podczas jazdy. W takim samochodzie nawet zapalniczka była świetna. Przecież to najnowszy model peugeota... cóż mogłoby być nieidealne. Właściciel siedząc z tyłu uśmiechał się delikatnie, widząc podekscytowanego szofera. Od razu było widać, że ten kierowca przypadł mu do gustu.

Po kilkunastu minutach jazdy w jeszcze nie dokładnie znanym kierowcy celu jego szefowi zebrało się na wspomnienia.

— Wiesz chłopcze, gdy tak spoglądam na ciebie to przypominam sobie siebie w latach mej młodości.

— Mnie? Nie... ja to nie mogę się z panem równać ponieważ jestem tylko zwykłym pracownikiem.

— I tu się mylisz. Ja też zaczynałem tak jak ty.

— Jak to? Myślałem, że zawsze był pan tak dobrze usytuowany.

— Ależ skąd, pieniądze nie rosną na drzewach a ja chcąc osiągnąć coś w życiu rozwoziłem gazety na ulicach, mieszkałem w malutkim domku z rodzicami, którzy z powodu choroby szybko odeszli, ale dzięki dobroci pewnego człowieka, który pochylił się nade mną w ciężkiej chwili mego życia, opłacono mi studia. Byłem też bardzo ambitny i dlatego zaszedłem tak wysoko. On wypatrzył we mnie talent biznesmena, którego ja nie zmarnowałem. Dlatego w tobie także widzę ambicję, jak będziesz się starał na pewno zajdziesz bardzo wysoko.

Nim Valentino zdążył poklepać Thomasa po ramieniu, obaj dotarli na miejsce przed restaurację, do której z obserwacji szofera jego szef nie miał ochoty wejść. Wyraźnie się czegoś obawiał. Gdy na dygoczących nogach wszedł do lokalu, przy jednym ze stolików czekał na niego Baldur Romero z kieliszkiem wina w ręku. Być może po cichu już świętował swój sukces, który miał być jednocześnie upadkiem Monroyów. Biedny dłużnik zdawał sobie sprawę, że ta rozmowa nie będzie należała do najprzyjemniejszych. Gdy podszedł do stolika, nerwowo odsunął sobie krzesło i usiadł, próbując ominąć szyderczy wzrok tego zbira. Z górnej kieszeni marynarki wyciągnął czek, na którym widniała liczba dziesięciu mln dolarów i położył go na stoliku przed nosem Romero.

— Miała być całość a ty mi tu dajesz jakieś ochłapy...?

— Miął dopiero tydzień a ty dałeś mi miesiąc, nie oczekuj że tak wielką sumę zdobędę od razu!

— W porządku po co te nerwy, mam nadzieję że za trzy tygodnie wywiążesz się do końca, inaczej twoja rodzinka pograży się w żałobie. Wyobrażasz sobie te tłumy na pogrzebie i nagłówki w gazecie „Valentino Monroy zapragnął sobie popływać z rekinami” albo nie, to będzie lepsze „Popełnił samobójstwo skacząc z wieżowca” czyż nie jestem twórczy...?

— Ciebie naprawdę bawią takie sytuację? Zachowujesz się jak byś był niespełna rozumu.

Baldur natychmiast trzepnął pięścią w stolik a jego mina zmieniła zupełnie wyraz.

— Ja po prostu odbieram od takich głupców jak ty to co mi się należy.

— Ty nie odbierasz, ty okradasz ludzi! Jesteś zwykłym bandziorem ale koniec z tym, jeszcze dzisiaj pójde na policję.

Valentino już chciał wstać od stolika, kiedy Romero wyciągnął ostatni as z rękawa.

— Nie zrobisz tego, wystarczy jeden mój telefon a twoja rodzinka będzie wachać kwiatki od spodu, nie zdążysz ich nawet ostrzec, więc wybieraj...

Ta pętla zaciskała się coraz bardziej, z tej sytuacji już nie było wyjścia jak tylko cudem zdobyć całą sumę i na zawsze zerwać kontakty z tym zbiorem. Gdy Monroy jeszcze chwilę siedział sam w restauracji ze wzrokiem utkwionym

w stolik, Baldur z uśmiechem na ustach wyszedł z lokalu mijając po drodze swego syna, który go nie zauważył ponieważ stojąc przy aucie był zajęty czyszczeniem garnituru upačanego lodem z butki z naprzeciwka. A nawet gdyby wyrodny tatuś go zobaczył, po tylu latach pewnie i tak by go nie poznał. Co innego Thomas, ta twarz ojca znikająca w oddali utknęła mu w głowie na lata.

Gdy po pierwszym dniu pracy chłopak wrócił wreszcie do domu czekała na niego matka i ciekawski Bony, był on tak miły że nawet zrobił przyjacielowi herbatę i grzecznie oczekiwał na sprawozdanie.

Młody Romero oczywiście na pierwszym miejscu wrażeń umieścił super auto z francuskim silnikiem, w którym przez krótką chwilę mógł się poczuć jak ktoś wysoko usytuowany. Jeszcze teraz wyobrażał sobie, że siedzi w wygodnym skórzanym fotelu i odpala zapalniczką cygaro pod nieobecność szefa.

Bony siedział przy stoliku i z zaciekawionymi oczyma aż kiwał głową, ale jeszcze większym zaskoczeniem było dla niego to, że właśnie tam jego kumpel spotkał nieznaną z nocnej zabawy.

— No proszę... jaki świat jest mały — dodał.

Lourdes także wtrąciła swoje trzy grosze i dobrze syna ostrzegła przed zbytnią życzliwością do tej dziewczyny, ponieważ znała ją od dziecka i zdawała sobie sprawę, jakie ta uznawała wartości i jaki rodzaj ludzi ceniła. Mimo tego, co się stało rankiem Thomas nie odczuł wobec panienci żadnej złości, wprost przeciwnie uznał że jest ona całkiem ładną złośnicą i gdyby tylko chciała to mogliby się zaprzyjaźnić, ale najwyraźniej nie wsłuchał się dobrze w słowa matki, że to straszna materialistka, co zresztą zaczął odczuwać już po kilku dniach pracy. Za każdym razem, gdy tylko próbował zbliżyć się do dziewczyny lub tylko trochę porozmawiać ta przypominała mu, że jest on tylko zwykłym szoferem w dodatku według niej dosyć marnym. Te ciągłe śmiechy i chichy za plecami chłopaka po jakimś czasie zaczęły go irytować. W dodatku Laura zaczęła się robić na tyle złośliwa, że pewnego dnia pozwoliła sobie wylać mu wiaderko wody na głowę, gdy ten mył auto.

— Czy to aż tak cię bawi?! Przecież staram się być wobec ciebie miły...

— Co mnie obchodzą uprzejmości kogoś takiego jak ty — roześmiała się arogantka.

Thomas przychodząc do pracy zastanawiał się jak przetrwać kolejny dzień z wariatką, która nieustannie go dręczyła dla własnej przyjemności. Po prostu się na niego uwzięła, ale mimo tego on nadal nie tracił cierpliwości, zresztą nie mógł sobie na to pozwolić ponieważ od tej pracy zależały jego studia, nie warto było ich tracić przez rozpieszczoną smarkulę, do której i tak nic nie docierało, więc w końcu postanowił zastosować taktykę neutralności i omijać tę sekutnicę szerokim łukiem no chyba że trzeba było ją gdzieś zawieść wtedy nie dało się nic zrobić. Gdy wybierali się gdzieś razem, Laura zawsze musiała komentować sposób jazdy swego

szofera, a to za wolno, a to za szybko ale po drodze nie tylko on padał ofiarą, zazwyczaj obrywało się też przechodniom którzy pędzili w pośpiechu przez jezdnię akurat w momencie, gdy nadjeżdżała Seniorita Monroy. Wystawiając głowę przez szybę, padały z jej strony bardzo różne i mało wysmakowane epitety. Jednym z jej dziwnie dobranych określeń była różowa landryna i pewnie nie byłoby w tym nic śmiesznego, gdyby właśnie nie trafiło to na jakąś biedną staruszkę ledwo idącą przez ulicę. Ot właśnie Thomas zachodził w głowę co wspólnego ma ta starowinka z landryną, przecież była ubrana tylko na brązowo. Pewnie to przez te różowe okulary Laury. No cóż...mało myśląc młody szofer ruszył szybko przed siebie ze wstydu, ponieważ ludzie zaczęli się za nimi oglądać. Znając furiackie zachowanie jego podwładnej ktoś mógł by dostać po głowie jej złotą torebką od Prady, więc należało się szybko ulotnić nie wzbudzając większych kontrowersji wśród ludności na pasach.

Rozdział 7

Ten dzień był dla młodej milionerki wyjątkowy, właśnie wypadały jej dwudzieste urodziny. Na ten czas w ogrodzie za domem stanęła orkiestra i kilkanaście elegancko nakrytych stołów dla gości z bardzo wyszukanym menu. Między innymi podane zostały homary po szwedzku oraz francuskie tościiki z żabich udek. Natomiast jabłkowe galaretki z kremem jagodowo-pomarańczowym w pucharkach pełniły funkcję deseru. Po minach gości można było zauważyć, że byli bardzo zadowoleni. Nie zabrakło też miejsca dla prasy, która miała przygotowany specjalny stolik tuż przy basenie.

Nadszedł czas wręczania prezentów, było ich mnóstwo, więc kolejka ustawiła się do solenizantki. Ktoś wręczył drogi zegarek a ktoś bransoletkę z diamentami. Nie mogło oczywiście zabraknąć prezentu od rodziców, którzy zafundowali córce pobyt w najdroższym spa na Manhattanie oraz sesję zdjęciową, która miała się odbyć już za chwilę. Pomiedzy gośćmi na jeden dzień w roli kelnera brylował także Thomas, miał on wyraźnie dosyć te nadętej paniusi, która cały czas coś sobie życzyła. W końcu w tym dniu tylko ona była gwiazdą... lecz nie wszystko mogło być tak piękne, jak by się jej wydawało.

Szczerłość gości była stanowczo poddana w wątpliwość kiedy chłopak sprzątajac naczynia ze stołu na srebrny wózek słyszał ich szept. Tak naprawdę większość z zaproszonych zjawiała się tutaj tylko i wyłącznie przez wzgląd na interesy z Monroyem. Wystarczyło się wkupić w łaski jego córeczki poprzez wręczenie drogiego podarku a Valentino już patrzył na takiego przychylnym okiem. Jednodniowy kelner dowiedział się także że kilkoro gości było najzwyczajniej w świecie opłaconych, ponieważ tak naprawdę oprócz Toni, Laura nie miała przyjaciół. To była tylko złuda, która otaczała jej ego.

Jeden z gości powiedział wprost do swojej żony, że jubilatka jest straszną idiotką i nie ma w ogóle serca. Gdy Thomas usłyszał, te słowa po raz pierwszy naprawdę zrobiło mu się jej żal, postanowił więc zrobić coś co przekona gości, że jednak ta samolubna modnisia posiadała serce choć do końca sam w to nie wierzył. Po konsultacji z Don Valentinem, który także miał już dosyć nowobogackiego towarzystwa, chłopak oddalił się na ubocze, wyciągnął z kieszeni swoją komórkę i wystukał numer do przyjaciela.

— Halo... Bony, nie mam zbyt wiele czasu ale posłuchaj, biegnij do Brudnego Mayka i powiedz, że jest impreza u Monroyów, niech da znać ludziom na ulicy. Temu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zaraz powiadomił kogo trzeba i pobiegł na pobliskie targowisko, gdzie nie brakowało biedoty.

— Hej ludzie! W rezydencji Monroyów mają dzisiaj gest! Jest darmowa wyżerka! — krzyknął Brudny Mayk.

— A impreza będzie?! — odezwał się ktoś z tłumu.

— Będzie!

Wszyscy rzucili swoje miejscówki i ruszyli czym prędzej. Nawet dwaj zebracy przestali wydzierać sobie kawałek kielbasy ze śmietnika, kto by się tam o to bił podczas gdy u tych bogaczy można by napęlić brzuch do syta. Po drodze jakaś kobieta pędziła w jednym bucie bo drugiego nie zdążyła kupić, za nią podążał staruszek wymachując laską i krzycząc

— Ostatnim razem pamiętam te lata w trzydziestym dziewiątym.

Po piętnastu minutach w bramie zjawiała się horda ludu pracy.

Ochoczy tłum wypełnił miejsca przy stołach, natomiast solenizantka zdębiała.

— Co to ma znaczyć? Niech oni się stąd wynoszą natychmiast!

— Córeczko należy dzielić się z potrzebującymi — tłumaczył Don Valentino.

— Ale ja ich tu nie zapraszałam, nie chce ich tutaj, oni śmierdzą, zobacz jak rzucili się na jedzenie — tupąła ze złości dziewczyna.

— Oj tam zaraz się rzucili, najedzą się to sobie pójdą.

— Zaaamorduję szofera, to na pewno jego pomysł!

Ten chcąc wyprostować sytuację wskoczył na mównicę gdzie wygłaszano podziękowania i oznajmił wszystkim, że oto ten wspaniały poczęstunek zawdzięczają młodej damie obchodzącej właśnie swe dwudzieste urodziny, która wiedząc, że głodujący są wśród nas nie mogłaby spokojnie świętować. Paparazzi uznali to za przejaw solidarności ze strony solenizantki i zaraz zaczął się blask fleszy. W końcu też ktoś dał znać dla orkiestry aby zaczęła grać. Jeden z nowo przybyłych gości nawet odśpiewał hymn urodzinowy

— Sto lat, sto lat ło ho oho ho... I zaczęła się fiesta. Donia Cecilia wraz z mężem świetnie się bawiła, ponieważ także nie miała nic przeciwko. Uważała, że to lepsze od nudnych fałszywych uśmiechów. Szkoda tylko że jej córka nadal tego nie dostrzegała...to był jej wybór skoro rezygnował z tak świetnego przyjęcia i siedziała naburmuszona przy stole, od czasu do czasu udając uśmiech tylko ze względu na fotoreporterów. Pod koniec gdy już lud pracujący zaczął opuszczać przyjęcie, jeszcze tylko jakieś dziecko wskoczyło za stół łapiąc Laurze sprzed nosa tackę z ciastem i pospiesznie biegnąc do bramy wyjściowej.

Nad ranem zostało tylko paru pijanych gości z ulicy. Ktoś leżał z podpartą głową na stole marnie trąbiąc fanfarem a ktoś inny odśpiewywał „ostanie pożegnanie” z niedokończoną butelką szampana w ręku. Gdy ostatni z imprezowiczów opuścił rezydencję, Lourdes zabrała się za sprzątanie pustych butelek i brudnych naczyń. Po opłakanym stanie ogrodu można było śmiało stwierdzić, że przyjęcie było jak najbardziej udane. Gdy tylko pomysłodawca tej balangi zjawił się rankiem w pracy Laura miała ochotę zrobić mu krzywdę ale

powstrzymywał ją jedynie świeży artykuł w gazecie o bogatej samarytance, która nie zapomniała o potrzebujących. Oczywiście zaraz pod nim nie brakowało kolorowych zdjęć. Pani samolubna i tak uważała, że wśród tej hołoty wyszła najbardziej fotogenicznie. Z czasem jednak zaczęła przechodzić jej złość i zapomniała o całej sprawie.

Minęły kolejne dwa dni, było spokojne popołudnie. Pan domu jak zazwyczaj po pracy odprężał się majstrując coś przy swoim samochodzie, tym razem zmieniał przednie koło które ciągle flaczało, nie zlecił tego kierowcy ze względu na swoją pasję.

Sięgając z tyłu po klucz do odkręcania śrub zobaczył na nim postawioną czyjaś stopę... odwracając się dokładniej ujrzał nad sobą twarz Baldura palącego cygaro.

— Co tu robisz...? Przecież mówiłem żebyś nie przychodził bo ktoś z mojej rodziny może cię zobaczyć.

— Nie denerwuj się tak przyjacielu, przyszedłem ci złożyć małą wizytę.

— Czego chcesz?

— Czy ja muszę czegoś chcieć aby cię odwiedzić...to tylko mała wizyta z mojej strony.

— O co ci chodzi?

— Chce tylko zobaczyć jaką część forsy udało ci się zebrać

— Przecież wiesz, że oddam wszystko.

— Muszę ci z przykrością przypomnieć, że zostało ci nie wiele czasu a moje rekiny są coraz bardziej wygłodniałe...

Kiedy mężczyźni stali przed garażem Lourdes wybierała się do szefa aby zapytać o to co przygotować na kolację. W pewnej chwili zatrzymując się za drzewem ogrodowym, z nie dowierzaniem otworzyła oczy... ponieważ w stojącym gościu obok pana poznała swojego męża, którego widywała tylko od czasu do czasu na ulicy w eleganckim samochodzie z nowymi panienkami ale nigdy nie przypuszczała, że spotka go właśnie tutaj w swoim miejscu pracy.

— Przecież to ten bydlak! Co on tutaj robi? To nie wróży nic dobrego...

Jeszcze chwilę tak stojąc, służąca wróciła do kuchni i usiadła przy stole, nagle ogarnął ją dziwny chłód który przeszył jej ciało...

Upływał właśnie wyznaczony czas. Przegrany hazardzista nie zdołał uezbiierać ustalonej sumy pieniędzy i nie miał pojęcia co dalej będzie...

Trzy dni przed tragedią jaka miała nastąpić w tej rodzinie, Laura niczego nie przeczuwająca, zażyczyła sobie od szofera, aby zawiózł ją na spotkanie z Tonią, z którą umówiła się w lodziarni. Byli już spóźnieni, ponieważ panienska jak zwykle dosyć długo malowała usta i przymierzała odpowiednie stroje a potem obrywało się kierowcy, że za długo czyścił lusterka przy przednich szybach.

Wreszcie gdy para wyjechała, po pół godziny wysłuchiwania skarg i zażaleń

na temat mało gramotnej jazdy oboje dotarli na miejsce spotkania. Czas dziewczynom płynął mile a gdy wyczerpały im się już wszystkie możliwe tematy, Tonia zerkając przez szybę zwróciła uwagę na stojącego przy samochodzie Thomasa. Jego widok po raz pierwszy w życiu ją zaintrygował.

— Wiesz, jak tak patrzę na niego to muszę ci przyznać, że jest całkiem, całkiem.

— Kto? On? Nie wygłupiaj się, może i jest przystojny ale to zwykle zero — oburzyła się Laura.

— Może i zero, ale nie brzydkie.

— Odkąd go spotkałam ciągle prześladowe mnie pech.

— Naprawdę nie korci cię się, żeby chociaż raz na niego spojrzeć? Słyszałam że tacy biedacy są lepsi niż butelka whisky.

— Nie interesuje mnie to i nie mam zamiaru na niego zerkać, a poza tym niby co miałabym z nim robić? Kury pasać?

— A gdyby miał pieniądze?

Laura spojrzała za szybę i chwilę wpatrując się na chłopaka zastanowiła się trochę.

— Gdyby był bogaty...czy ja wiem...? No ale przecież nie jest i nie mamy o czym mówić. Tacy jak on zawsze będą należeć do najniższego plebsu.

Kiedy nadęta bogaczka zakończyła spotkanie z koleżanką, uznała, że resztę popołudnia

spędzi na zakupach. W sklepach akurat były dosyć kuszące oferty więc nie mogła sobie odmówić takiej przyjemności. Wędrując z jednego salonu do drugiego, uzbierał jej się po drodze niezły bagaż, którego noszeniem oczywiście obarczyła już ledwo zipiącego szofera podążającego za nią krok w krok. Kiedy ten wreszcie widział już koniec, odetchnął z ulgą. Oboje wsiedli do windy i zaczęli zjeżdżać na dół do wyjścia.

Ten dzień wreszcie dobiegłby końca, gdyby akurat w tym momencie nie brakło prądu, w jednej chwili winda zatrzymała się, a Thomas został sam na sam, z rozwrzeszczaną Laurą... która za nic nie chciała się uspokoić, spanikowana zaczęła naciskać guzik z numerem jeden, który chwilowo był bezużyteczny.

— No nie stój tak, tylko otwórz te drzwi!

— Sama sobie otwórz! Nie widzisz że nie ma prądu!

Chłopakowi od tych pisków puściły nerwy więc oboje zaczęli się przepychać rękoma jak dzieci... cóż było robić, co mogły pomóc wrzaski kiedy winda i tak stała w miejscu. Nie pozostawało nic innego jak usiąść na podłodze i czekać na wyzwolenie z rąk jakiegoś łaskawego elektryka. Czas strasznie się dłużył, wreszcie po pół godziny milczenia i wrogiego spoglądania na siebie ukradkiem musiał przyjść przełom chwilowo łagodzący spory. Zrezygnowana dziewczyna wyciągnęła z torby wino, które kupiła na jakąś specjalną okazję. Thomas spojrzał

się na nią nietypowo, ponieważ odkąd ją poznał, zawsze wydawała się sztywna i arogancka, a tu proszę...sama postanowiła rozluźnić sytuację, zupełnie jak na ich pierwszym spotkaniu.

— No nie patrz tak, mam już dosyć tej ciasnoty a poza tym zdaje się że szybko stąd nie wyjdziemy — stwierdziła i odkręcając korek, pociągnęła łyka z butelki na dodatek zechciała także poczęstować na ten czas „kolegę” który odmówił z powodu swojego stanowiska kierowcy, jakie pełnił. Przez kolejną godzinę pobytu w tym niedziałającym pudle cała francuskie „Szata” zostało opróżnione co do kropelki, szofer ze zdziwienia aż pokiwał głową. Zdarzało mu się czasem upić winem, ale samotnie i w takim tempie...?

— Musi być naprawdę przerażona albo zdesperowana — pomyślał. Widząc że ta utracjuszka była już na tyle oszołomiona, że zaczynała coraz bardziej marudzić i popłakiwać, postanowił ją czymś zająć aby nie doszło do jeszcze większej desperacji. Więc delikatnym i podchwytliwym głosem zapytał.

— Może pokażesz mi, co tam sobie kupiłaś?

— Chcesz zo-zobaczyć moją kolekcję ubrań?

— A pewnie, może coś mi się spodoba i od ciebie odkupię — zachichotał podstępnie cwaniaczek.

— No to patrz, to jest naajnodniejsza torebka w tym sezonie od Giciego.

— Aha...

— A to buty czerwone, chcesz przymierzyć?

— Nie, nie, dziękuję są za małe.

— E tam no nie wstydz się, przymierz.

— Nie, naprawdę dziękuję, na pewno na twojej nóżce będą wyglądać znacznie bardziej elegancko a w tej torebce co masz?

— To jest sukienka od Versace. Ty masz pojęcie kto to jest...? Oczywiście że nie, bo ciebie to w ogóle nie interesuje...jesteś podły, nie chciałeś się ze mną napić a teraz się ze mnie śmiejesz.

— Nie no co ty, masz fajny gust.

— Naprawdę? Podoba ci się to wszystko?

— Oczywiście że tak.

— To pośpiewajmy trochę...czasem czuję się taka samoootna hej... — ludzie którzy przechodzili obok zepsutej windy, mieli okazję posłuchać tych zawodzeń. Kiedy śpiewaczce wyczerpały się wszystkie tony i poczuła się zmęczona, przysnęła opierając głowę na ramieniu swego towarzysza.

— Może ty nie jesteś taka zła tylko rozpieszczona — pomyślał sobie Thomas wpatrując się w różowe policzki lalencji. Wtedy po raz pierwszy dostrzegł, że ta rozpieszczona damulka, gdy spała wcale nie była taka najgorsza, nie wrzeszczała ani nie obrażała, wręcz była spokojniutka jak aniołek. Gdyby tak już zawsze chciała upijać się winem z rana, reszta dnia przebiegałaby z pewnością

bezstresowo, ale młody mężczyzna przyglądając się tak dłuży czas na dziewczynę zauważył trochę więcej niż powinien szofer. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na jej długie czarne rzęsy, które w tej chwili wydawały się takie zalotne, ani też na małe czerwone usta mające jeszcze smak wina, a te jej blond włosy... takie miękkie i lśniące. Dlaczego wcześniej ich blask tak nie urzekał...

Odurzona alkoholem Laura tak słodko spoczywała na ramieniu swego pracownika, szkoda że po przebudzeniu znów miała się stać tą samą żołą co zwykle.

— Gdybyś nie była tak krnąbrna na pewno potrafilibyśmy znaleźć nie porozumienia, może nawet coś więcej... — rozmarzył się szofer który niechcący pomyślał, że swoją otwartością i miłym sposobem bycia zmieni te wyrachowaną damę.

Rozdział 8

Od czasu, gdy Thomas trochę lepiej przypatrzył się Laurze...przynajmniej takiego przekonania nabrał, że nie była ona taka najgorsza, na każdym kroku starał się jej usługiwać, najlepiej jak tylko potrafił, jedna chwila w windzie zmieniała jego stosunek do tej dziewczyny w coś nie oczekiwanego, kompletnie nie mógł się oderwać od myśli z nią związanej, nie rozumiejąc jeszcze stanu, w jaki popadał coraz bardziej, zaczął tracić głowę. Miał cichą nadzieję, że zwróci na siebie jej uwagę... i rzeczywiście się nie pomylił. Seniorita Monroy widząc większe zaangażowanie dla niej niż przedtem, stała się miłsza wręcz całkiem miła, szkoda tylko że z jej strony było to udawaniem, i podłym żartem. Kokietka ta zorientowawszy się, że może sobie biednego naiwniaka owinąć wokół palca, wpadła na pomysł, aby go trochę wykorzystać a przy okazji móc się pośmiać jeszcze bardziej. W końcu co jej szkodziło, przecież to tylko głupi pracownik, który według niej był mało inteligentny.

Gdy tylko nadarzała się okazja, ta zaraz miłymi słówkami omamiała biednego poetę, który już kłaniał jej się wierszami i głębokim spojrzeniem. Dziewczyna nie mogąc już wytrzymać ze śmiechu, od czasu do czasu chowała się za drzewem lub zamykała w pokoju i opowiadała wszystko Toni ze szczegółami przez telefon. Gdyby wiedziała, co znaczy ranić ludzkie uczucia, nigdy by się nie odważyła ich podeptać, ale i tego musiał przyjść kres... Minęły ostatnie trzy dni splaty długu. Don Monroy nie mając już wyjścia, chciał powiedzieć żonie prawdę zabierając ją w jakieś spokojne miejsce po obiedzie. Miał jeszcze marną nadzieję, że być może po wysłuchaniu go wszystko zostanie mu wybaczone, a później zabierze rodzinę i wyjadą gdzieś daleko, gdzie nikt ich nie znajdzie. A ten zbir Baldur niech by zabrał wszystko, kiedyś na pewno się udławi swoją pazernością.

Było południe, Seniorita przechadzała się po swoim pięknym ogrodzie pełnym kolorowych kwiatów, Thomas przypatrując jej się ukradkiem, nagle rozmarzył się o wspólnej przyszłości... wreszcie postanowił wziąć los w swoje ręce. Ściął najpiękniejszą różę i podszedł do swej wybranki serca. Trochę drżącym głosem wręczając kwiat zapytał...

— Dużo nad tym myślałem i ...

— Ale nad czym?

— No wiesz, ja... znamy się już parę tygodni, więc postanowiłem wreszcie wyznać ci co do ciebie czuję. Zauważyłem, że i ty ostatnio jesteś dla mnie miłsza więc...

— Poczekaj... — dziewczyna już na starcie postanowiła ukrócić to co chciał jej wyznać ten głupiec. Miała już dosyć nudnego szofera, który coraz bardziej nie potrafił się od niej odczepić.

— Thomasie Romero to że ja ostatnio byłam dla ciebie miła, to był tylko żart... dałeś się wpuścić w maliny i tyle... powiedzmy, że troszkę mi się nudziło. Zrozum między nami nigdy nic nie było i nie będzie. Spójrz na siebie...nie możesz mi nic dać, jesteś tylko zwykłym szoferem a ja...dziedziczką firmy Monroyów. Więc przestań za mną chodzić i robić sobie nadzieję — mówiąc te okrutne słowa dumna bogaczka rzuciła różę, którą dostała pod nogi pechowego marzyciela, pozostawiając go w smutku.

Aż żal było patrzeć na tego biedaka...jednak odchodząc Laura zauważyła że z jej palca sączyła się kropla krwi, przez swą arogancję nawet nie zwróciła uwagi na to kiedy się ukuła odrzucając różę podarowaną od serca.

Wybiła pora obiadowa więc rodzina zebrała się w jadalni na posiłek, który zaraz miał być podany do stołu. Chwilowo Państwo Monroy raczyli się białym „Porto” poruszając jednocześnie kwestię wyjazdu, jak miała myśleć Cecilia, chwilowych dłuższych wakacji. Nie do końca zgadzała się z mężem, wiedząc ile pracy miał w biurze. Dwa miesiące temu także proponowała mu odpoczynek ale on kategorycznie odmówił tłumacząc się ilością spraw, jakie miał na głowie. Jednak po dłuższej konwersacji dała się przekonać na podróż do Francji w której zresztą jeszcze nigdy nie miała okazji być. A więc tak...decyzja została podjęta, wyjazd miał się odbyć prywatnym samolotem nazajutrz z rana. W takim razie trzeba było wybrać się na małe, szybkie zakupy. Jedynie córka jak zwykle marudziła, że może by polecieć po południu, bo przecież rankiem nie była przyzwyczajona wstawać, jednak ojciec jako głowa rodziny nie wiadomo dlaczego uparł się koniecznie wyjechać skoro świt, przekonywał że tak będzie szybciej, jego zdenerwowanie dostrzegła żona. Już lekko zaniepokojona i podejrzliwa miała zapytać męża, czy coś jest jednak nie tak, skoro z tego pośpiechu na jego twarzy rysował się cień smutku... lecz rozmowę przerwała kucharka, wnosząc do jadalni zupę krabową w biało kwiatowej wazie, ale gdy chciała nalać obiad na talerz Laury, niechcący się potknęła o kotkę, która właśnie wynurzała się spod stołu, pod którym w czasie posiłku lubiła przebywać. Zupa która była na łyżce wazowej, wylądowała na nowej sukience tej damulki, która wstając z piorunową miną, już nie mogła dłużej zdzierżyć takiej nieudolności... więc zamachnęła się swoją rękę i z całej siły uderzyła Lourdes w twarz.

— Co ty wyprawiasz głupia! Nawet podać do stołu nie potrafisz?!

— Opanuj się! — krzyknęła Donia. Służąca trzymając rękę na policzku, pobiegła z płaczem do kuchni, w której rozgoryczony szofer siedząc przy stole myślał o zajściu w ogrodzie.

— Co się stało?! — zapytał.

— Nic synku, nic się nie stało — kobieta już miała pozostawić tę sprawę bez odzewu dla świętego spokoju, ale jej syn był w tak złym nastroju, że nikomu nie mógł przepuścić zniewagi, zwłaszcza dotyczącej jego matki.

— Jak to nic skoro płaczesz, mów natychmiast...!

— Niechcący wylałam zupę na tę... a ona... — nic więcej nie trzeba było mówić, tego już było za wiele. Chłopak od razu zrozumiał, co się stało i wybiegł jak szalony prosto do salonu.

— Co chcesz zrobić...? Stój...!

— Nigdy więcej nie waż się bić mojej matki! — wrzasnął Thomas... i oddał Laurze policzek nie gorszy od tego, który ona sprzedała Lourdes.

— Dziewczyna spojrzała na rodziców z pokrzywdzoną miną

— Nie, nie patrz tak... ja tym razem cię nie obronię, zasłużyłaś sobie, wypijesz piwo którego nawarzyłaś — mówiąc stanowczo te słowa, Cecilia poszła za pracownikami do kuchni, aby ich przeprosić i jakoś tę sytuację zrekompensować, lecz ci nie dali się ubłagać. Opuścili rezydencję w ciągu piętnastu minut. Państwo Monroy przez głupie zachowanie córki zostali bez pracowników i to akurat wtedy gdy już zaplanowali wyjazd. Nawet nie miał się kto zaopiekować domem podczas ich nieobecności.

Don Valentino także był wściekły na Laurę i mimo że ona to właśnie jemu chciała wylać swe bezsensowne żale jednak ten w ogóle nie chciał jej słuchać więc podjął decyzję, że razem z żoną pojedą za swymi służącymi, być może nie było za późno...był gotowy zaproponować im nawet podwyżkę, byle by tylko wrócili w końcu po tylu latach uważał, że Lourdes stanowi część jego rodziny a jej syn także dał się poznać jako odpowiedzialna osoba, przez te parę tygodni pracy ani razu się nie spóźnił i mile odnosił się do swych pracodawców, czym już budował swe zaufanie.

Więc nie było na co czekać. Cecilia poparła męża i wspólnie udali się do auta. Valentino odpalając kluczyk zapomniał jednak o groźbach Baldura... które mogły go dopaść wszędzie, ponieważ termin oddania długu właśnie minął... a ten był bardzo przebiegły i jeszcze nie słyszano aby pozwolił uciec swojej ofierze. Para poruszała się dosyć ruchliwą ulicą. Po drodze zastanawiając się, gdzie popełnili błąd, w wychowaniu swego dziecka i dlaczego miało ono tak skamieniałe serce...na drodze nie było zbytniego ruchu, samochód szybko osiągnął prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów. Na pasy wyszedł pieszy, więc Monroy nacisnął nogę na hamulec chcąc zwolnić, nacisnął po raz drugi... i trzeci...ale samochód nie chciał hamować ale był coraz bliżej pieszego... Cecilia zaczęła coraz bardziej panikować, więc kierowca nie chcąc staranować przypadkowego człowieka, szybkim ruchem szarpnął kierownicą w prawo...rozpędzony samochód obrócił się dwa razy i uderzył w słup! Który przełamując się na pół, swym ciężarem upadł miażdżąc dach pojazdu i dokańczając dzieła jakie rozpoczął Baldur... Nagle nastąpiła cisza... jak by czas stanął w miejscu, wokół widać było tylko dym unoszący się z rozbitego porsche i strach paru spłoszonych ptaków... Laura nieświadoma wypadku swych rodziców siedziała oburzona na kanapie w salonie.

Wciąż nie mogła pojąć, jak jej rodzice mogli ruszyć za tymi nieudolnymi służącymi.

— A żeby ich licho — mruzczała rozzłoszczona ponieważ spodziewała się tego że gdy tylko znów postawią stopę w rezydencji będzie musiała ich przeprosić, inaczej ojciec za karę zablokuje jej wszystkie karty kredytowe jakie posiadała, a tego by nie zniosła.

No i cały czas miała na twarzy ślad po policzku jaki został jej wymierzony o tę głupią kucharkę.

— Nigdy mu tego nie wybaczę. Jak on śmiał!

Podczas gdy samolubna impertynentka była pochłonięta myślami jak po raz kolejny upokorzyć szofera, do drzwi zadzwonił dzwonek...to okropne, że trzeba było je

otworzyć samemu...

— Może lepiej, żeby ta głupia kuchta wróciła...? — zamruczała po raz kolejny ze złości pyszałka i łaskawie ruszyła się z kanapy.

W progu rezydencji stanął wysoki mężczyzna o dziwnym spojrzeniu, który przyglądając się jej przez kilka sekund, nie odezwała się ani słowem.

— Dzień dobry, kim pan jest?

Po chwili człowiek ten bez pytania wszedł do salonu.

— Zupełnie jak by był u siebie... halo! Czy to grzecznie wchodzić w taki sposób do czyjegoś domu? Może należałoby powiedzieć dzień dobry, nie sądzi pan?

— Sądzę, że powinnaś mnie wysłuchać — odezwał się wreszcie obcy mocno stonowanym głosem.

— Ja? Dlaczego ja?

— Jestem bliskim współpracownikiem pani ojca, nazywam się Santos Mendosa.

— Rodziców nie ma ponieważ wyjechali, nie wiem kiedy wrócą.

— Ja nie przyszedłem do nich lecz do ciebie.

— Do mnie?

— Nie wiem jak to wyjaśnić ponieważ to bardzo delikatna sprawa ale państwo Monroy przed godziną mieli wypadek samochodowy.

— Wypadek? Jaki wypadek?!

— Co z moimi rodzicami? Są w szpitalu tak? To pospieszmy się, nie ma na co czekać. Muszę jak najszybciej do nich jechać, na pewno mnie potrzebują — Laura już chciała biegnąć do wyjścia, kiedy adwokat złapał ją za rękę

— Oni nie żyją...

Ta bogata tyranka nagle stanęła jak osłupiała... wpatrując się w nieznanego, jakby wymyślił sobie głupi żart którego ona nie rozumiała, po chwili dotarło do niej że to prawda...cała ta doskonała rzeczywistość znalazła się

jak by poza nią, tracąc przytomność osunęła się na szklaną ławę, tłukąc porcelanowy dzban z kwiatami które zerwała jej matka.

W czasie pogrzebu rodziców zrozpaczonej córce towarzyszyły dwie ciotki, które tak naprawdę nigdy jej zbytnio nie lubiły i nie miały ochoty jej pocieszać.

Don Mendosa pomógł załatwić wszystkie formalności z tym związane. Uroczystość nie należała do przyjemnych ze względu na ogrom tragedii oraz jeszcze młody wiek denatów.

Monroyowie mieli na swej ostatniej uroczystości bardzo wielu żałobników, ponieważ byli bardzo szanowanymi ludźmi.

Gdy wszystko się zakończyło osamotniona dziewczyna Miała wrócić do domu w towarzystwie Santosa, ponieważ ten chciał z nią porozmawiać o bardzo ważnej sprawie lecz po pogrzebie nagle się rozpląnął... więc do domu odwiozły ją dwie siostry ojca nie odprowadzając nawet do drzwi, ponieważ już spieszyły się na otworenie testamentu, które miało się odbyć za godzinę w firmie, nie zabrały ze sobą bratanicy, ponieważ ta nie miała ochoty niczego wysłuchiwać a poza tym pamiętała iż adwokat chciał z nią pomówić...ale najwyraźniej zmienił zdanie skoro zniknął.

Kiedy pogrążona w żałobie weszła do salonu, zaczęła kręcić się wokół...było tak pusto i smętnie. Nikt na nią nie wylał zupy ani nikt nie nakazywał za nic przeproszać. Ta cisza niczym nie różniła się od ciemności. Żeby chociaż kotka pałętała się koło kanapy ale widocznie wystraszyła się krzyków w jadalni i gdzieś uciekła, najwyraźniej też dosyć miała takiego traktowania.

Wreszcie do jedynej teraz właścicielki całego majątku zaczęło docierać, że została sama w tak wielkim domu... z żalu osunęła się na kolana i zaczęła płakać jak jeszcze nigdy w życiu.

Nagle usłyszała czyjeś kroki... odwracając głowę, spojrzała w górę i zobaczyła nad sobą mężczyznę trzymającego cygaro w ustach...

— Kim pan jest? — spytała ocierając łzy.

— To nie istotne, ważne kim ty już nie jesteś. Masz minutę aby opuścić mój dom.

— Słucham?

— Czyżby tatuś nic nie powiedział...? Oo jaka szkoda, że nie zdążył... Jestem Baldur Romero, właściciel kasyna w którym twój ojciec utopił swój majątek, a tak przy okazji...nowy pan tej rezydencji.

— Co to za brednie?! Proszę stąd wyjść ale już!

— Nie, to ty się stąd wyniesiesz i to zaraz! Od tej chwili to wszystko należy do mnie.

Zbir szarpiąc kobietę za ramię, wyprowadził ją siłą z rezydencji i prowadząc za bramę, wyrzucił na ulicę.

— Pozbędę się ciebie jak przyjdzie pora — pomyślał

— Ty staruchu...! Dowiem się gdzie jest to twoje kasyno, pamiętaj! Zwrócisz wszystko złodzieju! — krzyczała Laura szarpiąc za zamkniętą bramę. Kiedy mężczyzna oddalił się, z przerażeniem do niej dotarło że nie miał jej już kto bronić, a jej życie w jednej sekundzie zamieniło się w jakiś koszmar, z którego nie mogła się obudzić. Od Tego dnia ta zachłanna i próżna dama jeszcze nie wiedziała, że śmierć jej bliskich i utrata domu przyczynią się do tego, że z woli losu dostanie nowe i całkiem inne życie, którego sama nigdy by nie chciała...

Rozdział 9

Była już milionerka od dwóch dni włóczyła się po ulicy bez celu, wszystko dookoła ją brzydziło, nie mogła patrzeć na tych obszarpańców przy śmietnikach, jednak powoli sama zaczęła stawać się brudną biedaczką, na którą w jej dawnym otoczeniu nikt by nie zwrócił uwagi. Głód popchnął ją do tego, aby ukraść jedną marną bułkę ze sklepu. Wcześniej uważała, że tylko lenie i obiboki mogli posunąć się do czegoś takiego a teraz gdyby ją ktoś zapytał dlaczego to robi, pewnie odwróciłaby wzrok i udała, że nie słyszała pytania. Ekspedientka wyskoczyła za złodziejką ze sklepu krzycząc coś z daleka ale ta zdołała już uciec. Nie miała jeszcze pojęcia, że to nie będzie jedyna ucieczka w jej życiu. Na rozkaz Baldura była cały czas obserwowana, gdy tylko sprawa śmierci państwa Monroy miała przycichnąć ta zniknie bez świadków.

Pewnego dnia, gdy zmęczona przysiadła na chodniku usłyszała czyjś głos — Patrzcie, patrzcie czy to nie ta która brzydziła się bezdomnymi?

Oglądając się za siebie w jednym z nędzarzy Laura zobaczyła człowieka, którego kiedyś obraziła gdy grzebał w śmietniku. Chciał on do niej podejść i zaproponować pomoc choć sam miał nie wiele ale ta była już tak przerażona całą sytuacją, że znów zaczęła uciekać teraz sama nie wiedziała dokąd...była przed siebie.

Mijały kolejne dni, które nie przynosiły nic dobrego oprócz łez i coraz większej tęsknoty za domem, którego już nie było.

Pewnego razu gdy biedaczka przeszukiwała śmietnik, natknęła się na gazetę w której...widniało zdjęcie jej byłego szofera, więc z ciekawości wzięła ją do ręki i zaczęła czytać krótki artykuł:

BYŁ BIEDNY ALE W JEDNEJ CHWILI ZGARNAŁ FORTUNĘ.
CHŁOPAK Z MONTERREY THOMAS ROMERO STAŁ SIĘ
POSIADACZEM SZCZĘŚLIWEGO KUPNU LOTTO, TERAZ JEST
MILIONEREM, GRATULUJEMY WYGRANEJ.

Dziewczyna zdębiała...usiadła z zaskoczenia na chodniku wpatrując się na szczęśliwą twarz na zdjęciu, po chwili odwróciła gazetę na drugą stronę, a tam o ironio losu widniał kolejny artykuł, tym razem o nieszczęśliwym wypadku jej rodziców i o nowym właścicielu firmy Baldurze Romero.

Z wściekłości wstając, rzuciła gazetą o śmietnik chcąc jak najszybciej o niej zapomnieć.

Artykuł ten przeczytał jeszcze ktoś, kto wiedział jak wykorzystać informacje w nim podane na swoją korzyść...

Minął miesiąc, odkąd życie stanęło na głowie. Pogodziona już ze swym losem bezdomna radziła sobie znacznie lepiej niż na początku, nauczyła się

walczyć o najmniejszy okrucuch, parę razy wdała się też w bójkę. Jej ubranie stawało się coraz bardziej obszarpane a włosy i ręce brudne. Już w niczym nie przypominała panienki z dobrego domu, która brylowała na wystawnych przyjęciach i zajadała się homarami w eleganckich restauracjach.

Ten świat okazał się znacznie brutalniejszy niż mogła sobie wyobrazić. Głód i bieda często doprowadzały bezdomnych do popadania w skrajne sytuacje nałogowe. Każdy tutaj walczył sam o siebie. Nie było ciepłego łóżeczka ani pokojówki na zawołanie. Jednak dla Laury los był pomimo wszystko ciągle łaskawy i skoro zabrał jej rodzinę to w zamian podarował coś równie cennego, o czym miała się wkrótce przekonać.

Gdy była zajęta wygrzebywaniem niedojedzonych resztek ze śmietnika za sobą usłyszała delikatny, piszczący głosik

— Umm, psepasam bardzo ale aktualnie znajduje się pani na moim metrażu.

Gdy dziewczyna się odwróciła nie było nikogo, ale spoglądając troszkę niżej, zobaczyła małego obszarpanego chłopczyka, który mógł mieć około pięciu lat i dalej coś do niej mówił przemądrzale po swojemu.

— Nie chce być nie gzcny, ale chciałem powiedzieć że to mój kos, co będę jadł gdy ty wyciągniesz wszystko?

Bezдушna kobieta po raz kolejny miała za nic innych, nie wyciągnęła chyba jeszcze wniosków z poprzedniego życia, więc rękoma odepchnęła malucha.

— Nic mnie to nie obchodzi, że jesteś głodny! Uciekaj stąd gówniarzu, ale już!

Malec upadł i zranił sobie rączkę o twarde chodnik, więc nie dyskutując już, więcej z płaczem odszedł w swoim kierunku.

— Głupi bachor nie będzie mi rozkazywać!

Upłynęło parę dni zanim Laura zaczęła rozumieć jak potrafią ranić tak okrutne czyny i słowa, ale przedtem idąc pomału ulicą bez celu, na swojej drodze spotkała znajomą twarz. Była to jej dawna koleżanka Tonia w towarzystwie nowej znajomej. Więc obszarpana dziewczyna podbiegła do niej mając nadzieję, że ta jej szukała i teraz chciałaby pomóc...nigdy nie spodziewała się odrzucenia. W końcu sądziła, że miała najwierniejszą kumpelę na świecie, co jak się okazało przy pierwszym trudnym życiowym zakręcie, zostało szybko udowodnione.

— Odejdź ode mnie, ja cię wcale nie znam, czego chcesz brudasko?

Takie to słowa usłyszała Laura i już wiedziała, że łączyły ich tylko karty kredytowe i ciągła chęć zysku.

W jednej chwili zdała sobie sprawę, że ich przyjaźń była tylko obłudą więc nie podejmowała już dalszej próby rozmowy.

Idąc dalej zaczęła się zastanawiać komu właściwie ufała przez tyle lat...przypomniała sobie też swoich rodziców, za którymi strasznie tęskniła, ale była świadoma, że nie zobaczy ich już nigdy. Gdy przechodziła obok eleganckiego

sklepu z ubraniami w którym za czasów swojej świetności robiła często zakupy, przystanąła. Teraz mogła tylko przez szybę z zazdrością obserwować piękne kreacje,

które już nie bardzo pasowały do jej brudnej twarzy i poplątanych włosów.

Gdy chwilę się tak wpatrywała, zobaczyła w tej samej szybie swoje odbicie.

— Jestem teraz poszarpaną brudaską... oto los, który mnie spotkał za moją arogancję — myślała i ze spuszczoną głową poszła dalej.

Na rogu jednej z ulic dobiegał jakiś pisk więc zaciekawiona dziewczyna podeszła bliżej. Z początku nie bardzo wiedziała co się dzieje, ponieważ nigdy nie była świadkiem przemocy, ale gdy trochę bardziej wyteżyła wzrok, z daleka dostrzegła jakiegoś okrutnego człowieka, który ręką okłada małe dziecko.

— Przecież to ten mały, który zaczął mnie przy śmietniku — stwierdziła i natychmiast przypomniała sobie, jak sama odepchnęła tego nieszczęsnego malca. Natychmiast do niej dotarło dlaczego chłopczyk od razu uderzył w płacz, sama by tak zareagowała, gdyby była ciągle upokarzana więc nie czekając na nic, rzuciła się mu na ratunek.

— Zostaw go ty zbirze — krzyczała, podbiegając do oprawcy. W jednej sekundzie łobuz leżał na ziemi z odbitą pięścią na twarzy. Laura w dzieciństwie uczęszczała na kurs samoobrony, więc w bójkach dawała sobie śmiało radę.

— Spróbuj zadrzeć z kimś takim jak ja, baranie! A nie bić to niewinne maleństwo! — dodała i ująwszy dziecko za rączkę, zabrała je z daleka od tego zbira.

— Co to było? — mówił do siebie leżący mężczyzna z ręką na czerwonej twarzy.

Laura mogła być z siebie dumna, po raz pierwszy w życiu komuś pomogła a w dodatku bezinteresownie.

Gdy razem z chłopczykiem była już daleko od tego brutala, przystanęli na jakimś chodniku, aby odpocząć i porozmawiać.

— Mały dobrze się czujesz?

— Aha — kiwnęło główką dziecko.

— A ten tam, dlaczego zaczął cię bić? Kim on był?

Osóbka tym razem wzruszyła ramionami, ponieważ chciała uniknąć odpowiedzi, było jej wstyd przyznać, że podniósł na nią rękę własny ojciec.

— Jak mi nie powiesz, to cię odeśle do tego pana z powrotem, no słucham...

— To mój tatuś.

— Jak to tatuś? A może czymś sobie zasłużyłeś?

— Nie... casem jak jest pijany, wścieka się o byle co ale ja jestem psyzwycajony.

— No to ładnego masz tego tatusia.

— A twoja mama na to pozwala?

— Ja nie mam mamy.

— Jak to nie masz? Przecież każdy ją ma a poza tym z księżycą się nie wzięłeś prawda?

Biedna blondynka jeszcze do końca nie rozumiała, że życie nie dla każdego mogło być kolorowe.

— Moja mama zmarła zaraz po moim urodzeniu, więc minęliśmy się w drodze i nie miałem okazji jej poznać.

— Aha...no więc mówisz, że nie masz właściwie nikogo poza tym tyranem...? No nic, trochę mi cię żal ale wiesz, już ci chyba dosyć pomogłam i pora na mnie także do zobaczenia, może się kiedyś spotkamy a może nie...na razie, pa, pa.

Nie zdolnej jeszcze do współczucia żebraczkę gdy tylko usłyszała że chłopiec był prawie sierotą, zaraz przeszło przez myśl że pewnie potrzebował opieki, wiecznego przytulania i kołysanek, przecież ona w życiu nie zajęła się nawet własnym kotem a co dopiero dzieckiem. Odruchy czułości wciąż były u niej mizerne, więc szybko chciała dać nogi za pas, ale nie wiele uszła, bo gdy się tylko odwróciła, dziecko było tuż za nią.

— Co tak za mną idziesz, zgubiłeś coś?

— Nie.

— No to o co chodzi?

— Zapomniałaś mnie ze sobą zabrać.

— Że jak? O nie kochaniutki ja ci tylko pomogłam, a teraz ty idziesz w prawo a ja w lewo no już sio, sio — tłumaczyła Laura i znów chciała czmychnąć ale ten uparciuch nie dał za wygraną, podążając za swoją nową znajomą.

— Słuchaj mały... odczep się i przestań za mną łązić, bo ja nawet nie mam nic do jedzenia dla siebie a co dopiero dla ciebie, o noclegu nie wspomnę.

— Ale ja się boje tatusia...

Panna Monroy patrząc na niewinnego malca pomyślała przez chwile i jednak troszkę zrobiło jej się go szkoda

— No niech będzie, dwa dni... zgoda?

— Aha — smyk znów kiwnął główką już weselej, podskakując ze szczęścia, że chociaż przez chwilę nie będzie sam.

— Ale potem sobie pójdziesz?

— Aha

— A jak ci w ogóle na imię? Bo mi Laura.

— Mówią na mnie Elvis, nie chcę się psechwalać, ale jestem dosyć psystojny jak na swoje młode lata — stwierdził skrab, mrugnął lewym oczkiem i bystro poprawił sobie stojący kołnierzyk od małej jeansowej kurteczki.

— A i jeszcze jedno... jak już masz zamiar za mną łązić, to wołałabym

żebyś udawał że cię trochę nie ma no wiesz, nie gadaj do mnie zbyt często ani nie mlaskaj przy jedzeniu, o ile je znajdziemy, dobrze?

— Aha.

— No i nie mów do mnie ciągle Aha, jasne?

— Tak jasne, a mogę tsymać cię za rękę?

— O to, to nie.

— A troskę pośpiewać?

— Dobrze, ale nie zbyt głośno.

Rozdział 10

Para nowo poznanych bezdomnych przechadzała się po mieście licząc drobniaki, które zarobili na myciu przejeżdżających samochodów. Elvis oczywiście dobrze nie znał się na pieniądzach bo był jeszcze mały i głupiutki, więc jego towarzyska, korzystając z chwili nieuwagi podopiecznego w swoją kieszeń wsunęła kilka monet więcej, ale ten i tak cieszył się z tego co dostał bo mógł kupić sobie za to loda śmietankowego w truskawkowej polewie, która była jego ulubioną. Przez dwa dni Laura nawet polubiła chłopca ale wciąż się bała, że on zbyt mocno się do niej przywiąże i nie będzie chciał odejść, a jej nie w głowie było wychowywanie dzieci, do tego jeszcze cudzych, więc kiedy nadarzyła się okazja, zaraz postanowiła się go pozbyć.

Mały łasuch akurat był zajęty tkwieniem przy budce, przyłożył główkę do szyby i stojąc na paluszkach, pokazywał pani sprzedającej, którego loda sobie życzył, tak naprawdę to chciałby spróbować wszystkich smaków, ale starczyło mu tylko na ten jeden. Gdy dostał do rączki zasłużoną białą różową kulkę, zaraz z apetytem zaczął się nią zajadać i już chciał podbiec do swej opiekunki myśląc, że cały czas czekała na niego przy parkowej ławce, jednak nigdzie jej nie zauważał... ona tymczasem stała ukryta za jakimś samochodem i wyglądała ukradkiem, miała nadzieję że ten mały natręciuch da już sobie spokój z tą przyjaźnią i pójdzie w swoim kierunku. A jednak się myliła on nigdzie nie odszedł, nawet już nie miał ochoty na swój przysmak, przystanął sobie obok tej nieszczęsnej ławki w parku, ze spuszczoną główką i opadniętymi ramionami, pochlipując cichutko pod nosem. Trwał tak godzinę pośród mijających go ludzi zrozumiał, że po raz kolejny odrzucił go ktoś, komu zaufał. Z początku obojętna kobieta ciągle zerkając z ukrycia była zła na malca, ponieważ według niej tylko stał i beczał, zamiast iść w swoim kierunku...naiwnie myślała że może ktoś inny go przygarnie, lecz gdy po dłuższym czasie zaobserwowała, że nikt nie zwracał uwagi na takiego małego obdartusa, wreszcie zrozumiała czym była ludzka obojętność i brak serca, więc wzięła się za siebie. Wychodząc z kryjówki, natychmiast zobaczyła z daleka jeszcze zapłakane, rozpromienione oczy dziecka, którego od teraz już nikomu bezdusznemu nie miała zamiaru oddawać.

— Jesteś, myślałem że mnie zostawiłaś

— Jak bym mogła, jakaś pani prosiła żeby umyć jej auto, a potem nadjechało następne i trochę mi to zajęło czasu, a ty się popłakałaś mała bekso? Oj ty głupiutki brzdącu, możesz zostać ze mną ile zechcesz.

— Sama mówiłaś że będę mógł spędzić z tobą tylko dwa dni i dwie nocki

— Nie, no co ty, jeżeli chcesz możesz spędzić ze mną trochę więcej czasu.

— Naprawdę? — uradowany brzdąc, słysząc tak wspomniała dla niego

nowinę, zaraz rzucił się swej nowej znajomej na szyję i czule ją ucałował. Przez taki właśnie moment Laura poczuła, że po raz pierwszy w życiu sprawiła komuś radość, tak całkiem bezinteresownie, zaczęła też dostrzegać czym była przyjaźń za pieniądze a czym od serca. Powoli wybierała to drugie. Od tej chwili wesoło płynął czas razem. Jednak ta przygoda dopiero się rozpoczęła, ponieważ przeszłość wciąż ukrywała się za rogiem...

Jak co dzień włócząc się bez niezbyt konkretnego celu po ulicy, para znajomych przechodziła spokojnie przez jezdnię, kiedy z naprzeciwka w ich kierunku nagle ruszyło pędzące auto...

— Ratunku! — krzyknął wystraszony Elvis

Laura w ostatniej chwili, chwyciła go w ramiona i przetoczyła się na drugą stronę drogi.

— Nic ci nie jest? — spytała dysząco, leżąc na bruku.

— Nie jestem cały.

— Co to za wariat! O mało nas nie zabiłeś kretynie! — dziewczyna nie miała pojęcia że to miał być jej koniec, ten wariat jak go nazwała, właśnie dostał rozkaz od Baldura aby dokończyć sprawę Monroyów.

Ten chytry zbir był bystry i podstępny wiedział, że gdy jego ostatnia przeszkoda żyła, władza w firmie była zagrożona, zdawał sobie sprawę, że w prawdziwym testamencie którego wciąż szukał była klauzura wyraźnie mówiąca o tym, że Laura Monroe w wieku dwudziestu jeden lat mogłaby przejąć pełnię władzy nad firmą wtedy wydałoby się że ten testament, który już został odczytany, był po prostu sfalszowany to by był definitywny koniec, kasynowego mordercy, który nie wiedział że razem z tamtymi papierami przepadły także dokumenty o defraudacji i praniu ogromnej ilości pieniędzy. Valentino może i był naiwny, ale nie aż tak głupi. Santos był świetnym hakerem, dla tego bez problemu włamał się do komputera w kasynowym biurze, ale aby ujawnić te akta, już nie starczyło czasu, ponieważ Monroy zginął. Mendosa wiedział, że daleko z nimi nie ucieknie, więc porządnie je ukrył.

Valentino na wszelki wypadek, gdyby się jednak nie zdołał wypłatać z kłopotów, zabezpieczył córkę tyle że ona o tym nie wiedziała ponieważ dowiedzieć się nie zdążyła, jedyną osobą która miała wgląd na ten temat był adwokat ojca, który nagle zniknął i od jakiegoś czasu nikt nie miał z nim kontaktu.

Kiedy już o mało co niedoszli denaci ochłonęli, znów ruszyli w swoim kierunku, którym było wesołe miasteczko. Wokół panował śmiech bawiących się dzieci. Laura jednak zauważyła, że jej mały przyjaciel nagle posmutniał...

— Co się stało? Dlaczego masz taką minę? — chłopiec wzruszył ramionami.

— Nie podoba ci się tutaj?

— Podoba się tylko ze, ja nigdy nie jeździłem na takiej karuzeli, tez bym chciał.

— Jak to Nigdy?

I kto tu był głupiutki, ona jako dziewczynka miała takie zabawy na co dzień, skąd mogła wiedzieć jak żyły takie dzieci.

— Zeby się tak fajnie psejechać tseba kupić sobie bilecik a ja nie mam pieniążków.

Słyszając to, dziewczyna spojrzała na swego podopiecznego, pomyślała chwilę i bystrym okiem rozejrzała się na tych, którzy obsługiwali karuzele.

— Nic się nie martw, wrócimy tu jak nikogo nie będzie.

— Cyli kiedy?

— Jak zaświecą gwiazdki.

Gdy zrobiło się ciemno a wesołe miasteczko było już puste, para znów pojawiła się przy zjeżdżalniach. Młoda pani mechanik wsadziła swojego kompana na sztucznego, kolorowego konika i po kilku nieudanych próbach przestawiania guzików włączyła mechanizm odpalający karuzele.

Mały Elvis ruszył do przodu, a jego twarz tak się rozpromieniła, że stojącej obok Laurze zrobiło się przyjemnie. Potem dołączyła do chłopca. Jeździli chyba na wszystkich konikach, kaczkach i filizankach, była też trampolina i samochodziki. Czy można było wyobrazić sobie wspanialszy wieczór...byłej dziedziczce żadna karta kredytowa nie dała tyle szczęścia co ta chwila. Już nie marzyła o pięknych strojach i luksusowych pałacach, teraz liczyło się tylko to że mogła komuś podarować uśmiech.

Trzy miesiące później...

Młody Romero był teraz bardzo bogaty, ukończył studia i został psychologiem, jak marzył. Mieszkał w pięknej rezydencji, wreszcie jeździł autem z francuskim silnikiem. W kolejce do niego ustawiał się sznur dziewczyn. Żadna z nich nie dawała za wygraną. Te głupiutkie panny były gotowe kłaniać się mu po same stopy, byle tylko na nie spojrzeć lecz szczęściarą okazała się kobieta o imieniu Oriana, biedaczka z domu dziecka, równie cwana co zarozumiała. Od kilku tygodni obserwowała Thomasa, wiedziała gdzie mieszkał i gdzie pracował więc знаła także miejsca, gdzie najczęściej przebywał. Dobrze się przygotowała do tego, aby go złowić.

Gdy tylko nadarzyła się okazja, zwinęła ciuchy z markowego sklepu, ponieważ uważała, że taki Elegancki mężczyzna jak Thomas nie zwróciłby inaczej na nią uwagi i udając bogatą damę, wbiegła pod koła samochodu swego wybranka, który zaraz dał się nabrać na jej niewinną minę i urok osobisty. Chcąc jej wynagrodzić to, że jak myślał o mało jej nie potracił, zaraz zaproponował kawę.

Z takim darem przekonywania Oriana szybko została dziewczyną milionera, ale kobieta ta nie była tylko zwykłą oszustką finansową, obarczało ją coś więcej. Jej tajemnicy z przeszłości nie znał nikt oprócz niej samej...

Rozdział 11

Laura i Elvis na dobre stali się przyjaciółmi. Spędzali razem całe dni. Zarabiali na jedzenie myjąc przejeżdżające taksówki, czasami z głodu zwinęli ze sklepu jakąś bułkę lub batona.

Raz wybrali się do opery, wchodząc od tyłu, Dziewczyna z dawnych czasów dobrze знаła wszystkie wejścia, oczywiście mały usnął po pięciu minutach.

Reszta chwil papużkom nierozłączkom mijała na opowiadaniu sobie kawałów i leżeniu pod mostem. Byłej bogaczce zaczęło podobać się takie życie, gdzie wreszcie przestała być niewolnicą luksusu i nowych ofert sklepowych. Tutaj nie żyła pod dyktando wyznaczone przez pieniądź, lecz przez wolność i rzeczywisty obraz tego, jakie naprawdę było życie. I choć teraz była biedna bardziej od myszy kościelnej, to rozpierała ją duma, że mimo trudności dała sobie radę i przede wszystkim, że miała przy sobie kogoś, komu mogła okazać swoją troskę, Elvis w zamian odwdzięczał się swoim małym, uroczym uśmiechem i ciągłym gadaniem. Pewnego dnia, gdy towarzysze ucieli sobie wieczorną drzemkę na jednej z parkowych ławek, zdarzyło się dosyć przykre zdarzenie, które wpłynęło na sytuację życiową dziecka. Gdy ten chrapał w najlepsze, nagle poczuł na sobie czyjąś dłoń, która chwyciła go za kurteczkę i zaczęła ciągnąć za sobą...!G dy szerzej otworzył oczy, zobaczył przed sobą pijanego ojca.

— Elvis do domu ale już!

Chłopczyk zaczął się wyrywać i gryźć ojca w rękę, ale był Jeszcze za mały, aby poradzić sobie z dorosłym mężczyzną, na szczęście Laura ocknęła się w porę i słysząc wołanie przyjaciela, zaraz ruszyła mu na ratunek, chwyciła go za rączkę i przeciągnęła za siebie.

— On nigdzie z panem nie pójdzie

— Nie wtrącaj się kobieto, to mój syn i pójdzie ze mną

Bernardo, bo tak miał na imię ten pijaczyna, jeszcze raz chciał szarpnąć małego za ramię, ale uparta dziewczyna stanowczo go zasłoniła

— Jeszcze raz powtarzam, proszę się odsunąć i oddać mi mojego...

— Nigdzie z tobą nie idę, spójj na siebie! jak ty wyglądas! — wtrącił Elvis.

— Synku ja chciałem tylko żebyś wrócił, tęsknie za tobą.

— Aha... i znów będzie go pan bił?

— Przepraszam ja nie chciałem, po prostu tamtego dnia za dużo wypilem.

— Nie tatusiu, zbyt często cię się zdaza mówić słowo „za dużo”

— Słyszał pan syna, dopóki nie przestanie pan pić on zostaje ze mną.

— Wezwę policję! — zagroził ojciec.

— Tak? I co im powiesz... że mały uciekł, bo się bał...?zaraz by go zabrali do bidula a wtedy marne szanse na jego ponowne odzyskanie.

— Tatusiu ona ma rację, idź na odwyk a wtedy ja będę mógł do ciebie wrócić. Stwozys mi dom o którym zawsze tak mazyłem.

Alkoholik spojrział na tę błagającą wzrokiem istotkę, jakby nagle wylała się strumieniem na niego cała krzywda, której przez swe zaślepienie dokonał. Upadł na kolana i uderzył w płacz, nie mógł sobie wybaczyć, że nie potrafił być prawdziwym, kochającym rodzicem.

Elvis przytulił ojca i wypowiedział słowa po których nawet Laura uroniła łzę...

— Ja wiem że to nie twoja wina, to wszystko dlatego że brakło mamy, ona zawsze cię wspierała ale gdy jej brakło ty się pogubiłeś, jeżeli pujdziesz na odwyk to ja ci wybacę wszystko, tylko już nie pij tatusiu. Zobacys ze znów będziemy rodziną.

Bernardo Melgar wreszcie się ocknął, dotarło do niego że los odebrał mu ukochaną żonę ale w zamian podarował wspaniałego brzdąca którego on teraz musiał odzyskać. Mocno go przytulił i obiecał że jak tylko się wyleczy z nałogu alkoholowego, wróci po niego... nie kłamał, już następnego ranka wywalił ze swojego mieszkania wszystkie butelki po alkoholu i choć odczuwał ogromne pragnienie kupienia następnej, to cały czas w głowie miał obietnice, jaką złożył, to też dlatego zapisał się na terapię odwykową.

Jakiś czas później...

Dwie włóczęgi z Monterrey wybrały się na festyn pomidora zwany Tomato, który polegał na obrzucaniu się tym cennym warzywem. Wiedzieli, że takie festyny zawsze odbywały się w Hiszpanii, więc skoro do ich miasta zawitała taka tradycja, to jako jego pełnoprawni mieszkańcy, postanowili w niej uczestniczyć. Pogoda także dopisywała i zapraszała do świetnej zabawy. Jeszcze po drodze chłopiec spotkał paczkę swych kumpli, z którymi się dawno nie widział, małego sześciolatniego Alfreda pulchniutkiego jak serdelek, czteroletniego

Romea w dużych okrągłych okularach oraz Stefana, wiecznie wyprostowanego, który był z tej ekipy najstarszy, ponieważ liczył sobie już prawie osiem wiosen. Romeo pochodził z dość bogatej rodziny, ale do swojego domu kumpli nigdy nie zapraszał, ponieważ jego matka zazwyczaj przeganiała wszystkich miotłą. Mimo to był bardzo miłym chłopcem i zawsze wiernym swojej paczce. Gdy tylko nie było tych nudnych lekcji francuskiego i gry na fortepianie ten zawsze wymykał się z domu. Jak dotąd Laura nie miała jeszcze okazji poznać znajomych swego podopiecznego, ale wywarli oni na niej bardzo miłe wrażenie. Oczywiście Romeo zaraz zaczął mrugać oczkiem do zielonookiej blondyny, ale

to jeszcze nie była jego liga. Zbyt duża różnica wieku...niestety.

Jednak po kilku zamienionych słowach Elvis zauważył że jednego kolegi brakowało.

— Chłopaki a gdzie Lalo? — zapytał.

— Przymknęli go w zeszłym tygodniu — odpowiedział Stefan.

— Jak to? Za co siedzi?

— Za pyskowanie i plucie z okna. Jego mama powiedziała, że za takie zachowanie należałoby mu się dożywocie, ale ostatecznie złagodziła karę do tygodnia garowania w pokoju — wyjaśnił Alfred.

Nim chłopcy zdali między sobą sprawozdanie na temat ważnych spraw dotyczących ich małego społeczeństwa, festyn rozpoczął się na dobre, a pomidory poszły w ruch. Po kilku minutach czerwonego szaleństwa wszyscy wyglądali, jakby byli skąpani w sosie pomidorowym, ale panna Monroy nie zdawała sobie jednak sprawy, że tuż za tłumem obserwował ją Anacleto — wspólnik Baldura, z pistoletem pod kurtką. Szukał tylko okazji, aby muc oddać strzał w jej kierunku, lecz pomiędzy takim tłumem nie było łatwo trafić w swój cel niepostrzeżenie, więc postanowił wyczekać odpowiedni moment.

Gdy Laura i Elvis postanowili się oddalić kończąc zabawę, zbir już chciał ruszyć za nimi kiedy nagle... zniecka dostał pomidorem w twarz, od przypadkowego zabawowicza, następnie rzucił się na niego cały tłum czerwonych fanów. W tym czasie niedoszła denatka, nieświadoma niczego, zniknęła gdzieś pomiędzy ludźmi wraz ze swym kompanem.

Tymczasem Baldur czekał w rezydencji na sprawozdanie z pozbycia się jedynej przeszkody jaka mu pozostała, przeliczając pieniądze swych naiwnych ofiar, które sobie przywłaszczył. Gdy drzwi się otworzyły był pewny że wreszcie usłyszy wiadomość, na jaką czekał więc z niecierpliwością wstał z fotela...ależ miał minę, gdy w drzwiach zamiast wykwalifikowanego mordercy stanął żalorny Anacleto cały upačkany pomidorami. Nieumiejętnie rozgrywając tę sprawę, przyniósł hańbę sobie i całej, bandyckiej delegacji. Gdyby jego brat Edmund się o tym dowiedział, pewnie pękał by ze swego rechoczącego śmiechu.

— Jak ty wyglądasz kretynie?! — krzyknął Baldur.

— Nic na to nie poradzę, zostałem zaskoczony a potem mnie otoczyli

— Kto cię zaskoczył? Gadaj co z dziewczyną?

— Już miałem ją na muszce ale natarł na mnie cały tłum, kiedy już się wydostałem, tamta uciekła.

— Co ty pleciesz! Dałeś się pokonać jakiejś rozwrzeszczanej bandzie?

— Szefie to nie moja wina, mówiłem żeby od razu się jej pozbyć

— A jak miałem to niby zrobić?! Przecież wzbudziłbym podejrzenia, a teraz jakaś obdarta żebraczka jest już mniej warta niż milionerka.

— A testament? Przecież gdy się znajdzie to i tak się wszystko wyda.

— Już moja w tym głowa, żeby go znaleźć. Na szczęście Mendosa już nikomu nic nie powie, chyba że rybom... a jeżeli papier znajdzie ktoś inny, ja pierwszy będę o tym wiedział.

— Szefie trzymam cię za słowo, bo inaczej wszyscy pójdziemy na dno.

— Na dno to pójdziemy jak się zaraz nie wykąpiesz ty ofiaro...! Z kim ja pracuję...

Tak... żeby odnieść sukces, należałoby najpierw zainwestować w porządnego gangstera...

Laura i Elvis jak zwykle wybrali się na wycieczkę w nieznane, tym razem po zastanowieniu się nad miejscem docelowym, wybór padł na dawny dom upadłej milionerki, chciała go jeszcze raz zobaczyć po tak długim czasie, a poza tym mały smyk był bardzo ciekawy, gdzie wcześniej mieszkała jego znajoma, tyle się od niej nasłuchał o pięknej posiadłości z dużym ogrodem, że w końcu też chciał ją zobaczyć. Gdy byli już na miejscu podszli niedaleko bramy tak, aby zbytnio nie rzucać się w oczy właścicielowi. Laura nie miała pojęcia, jak bardzo ryzykowała, zbliżyła się do swego prześladowcy jak mysz do kota, wiedziała że był on złodziejem ale nie sądziła, że także mordercą, który na nią polował. Zaglądając ukradkiem przez bramę była bardzo rozczarowana, zastała smutny widok zniszczonego ogrodu, dawniej dbał o niego stary Levente, a teraz nikogo już nie obchodziły zniszczone róże i podeptane kwiaty, za to wokoło było ponuro i szaro tak jak by nigdy nie pojawiło się tam życie. Laura przypomniała sobie też swoje nianie, jak wiecznie latały za nią po rezydencji z łyżką zupy, oraz matkę, która czekała na córkę z otwartymi ramionami, gdy ta wracała do domu ze szkoły. Ach...gdyby jeszcze raz można byłoby to przeżyć choć odrobinę, ale to niestety już niemożliwe. Został tylko żal do samej siebie, że wcześniej nie potrafiła tych małych chwil szczęścia dostrzec i uszanować więc westchnęła smutno i wzięła maluszka na rękę, aby mu pokazać dokładniej teraz... już tylko obiekt mieszkalny

— To tutaj się wychowałeś?

— Aha, ogromne to wszystko, prawda...

— Ja cię kręcę miałaś szczęście, ja pewnie w takim wielkim domu bym się zgubił. A dlaczego już tutaj nie mieszkasz?

— To długa historia, na razie nie zrozumiesz bo jesteś dzieckiem ale jak podrośniesz to ci opowiem.

W pewnej chwili żebraczka zauważyła że brama przy której stała, zaczęła się odsuwać. A z garażu wyjeżdżało auto, więc szybko stawiając malca na ziemi, pociągnęła go za rękaw i ukryła się za drzewem.

— Dlaczego się chowamy?

— Widzisz tego pana w samochodzie?

— Aha...

— Pewnie by mu się nie spodobało że tu jesteśmy, on nie lubi biedaków.

— A dla czego?

— Nie ważne, później ci to wyjaśnię — odpowiedziała pani detektyw. Gdy pojazd z Baldurem w środku odjechał, ta wystawiła rękę i szybko złapała nadjeżdżającą taksówkę, zabierając ciekawskiego podrostka ze sobą.

— Za tym panem proszę

Rozdział 12

Śledząc auto tego przestępcy taksówką, Laura dojechała w miejsce, które po cichu z nadzieją spodziewała się zobaczyć, aby móc dokładniej poznać człowieka, który odebrał jej rodzinny dom. Nie domyślała się, że także i rodziców. Z wnętrza kasyna, przed które zajechał Romero, wyszedł Anacleto aby przywitać szefa, Laura wychylając lekko głowę zza szyby samochodu miała wrażenie, jakby gdzieś już widziała tego człowieka, a przecież to on próbował ją przejechać. Z nienawiścią w sercu przyglądała się, jak te dwa zbiry wchodziły do środka budynku.

— Przysięgam ci że cię zniszczę! — szeptała do siebie zaciskając pięści. Już wiedziała, gdzie ten typ miał swoje siedlisko zła i powoli w głowie kłębiły jej się myśli jak wykorzystać te informacje. Po tym co ją spotkało była zdolna do wszystkiego. Czekala tylko na odpowiedni moment. Po kilku minutach odjechała, zapamiętując bardzo dokładnie dane miejsce...

Po drodze para przyjaciół postanowiła wysiąść na cmentarzu, aby móc położyć kwiaty na grobie rodziców Laury. Ona nie była tam odkąd odbył się pogrzeb, nie potrafiła stanąć przed ich pomnikiem, nie miała nawet odwagi, aby tam zapłakać, a to dlatego, że zbyt szybko przyszła ta samotność i gorycz. Dopiero teraz nadszedł czas, aby rany pomалу zaczęły się zablizniać, a ona spokojnie mogła położyć kwiaty i zapalić świeczkę. Na widok zdjęć jej rodziców na pomniku wspomnienia zaraz powróciły jak żywe, tylko dzięki Elvisowi łatwiej było znieść tę pustkę.

— A twoja mama gdzie jest pochowana? — zapytała dziewczyna, mała sierotka wzruszyła ramionami, bo nie miała o tym pojęcia.

— Jak to, to ty nie wiesz?

— Nie... tatuś nigdy mnie tam nie zabierał, na cmentarz zawsze chodził sam z butelką wódki, a potem wracał do domu zatacając kółka.

— Hmm, to smutne. A wiesz chociaż jak się nazywała? Tak może byśmy odszukali jej grób?

— Tata mówił że moja mamusia miała na imię Kryspina.

— Aha, ładnie a nazwisko?

— Melgar.

— W takim razie chodź, poszukamy Kryspiny Melgar.

Stęskniona córka pożegnała się ze swoimi rodzicami, całując ich zdjęcia. Biorąc Elvisa za rączkę, zaczęła przeszukiwać z nim wszystkie nazwiska na grobach, nie było łatwo, ponieważ jak to na cmentarzu, wszędzie mnóstwo grobów i mnóstwo nazwisk...ale po uważnym prześledzeniu każdego z nich, w samym końcu przy murze miał swoje miejsce skromny mały pomnik, na którym widniało trochę źle wyryte nazwisko. Gdy Laura wskazała to miejsce czy jako na pewno

właściwe, chłopczyk ze łzami w oczach zaraz podbiegł do zdjęcia, której kobiety nigdy nie widział ale zawsze marzył, że kiedyś ją spotka. Była dokładnie taka jak w jego snach. Jej wyraz oczu nawet na tej smutnej, fotografii, wydawał się bardzo miły, włosy miała brązowe i choć jej wizerunek był trochę poniszczony przez czas, jaki upłynął to, jednak Elvis z radością stwierdził, że po swojej mamie chyba miał nosek i uszy.

Laura roześmiała się trochę, ponieważ mały z twarzą prawie przyklejoną do fotografii, wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, nie mógł uwierzyć, że wreszcie dowiedział się, jak wyglądała kobieta, która wydała go na świat.

— Myślisz że ona wie że tu jestem?

— Oczywiście, na pewno stoi tuż obok nas i jest szczęśliwa, że ma takiego wspaniałego synka, tylko my jej nie widzimy.

— Dziękuję że mnie tutaj psyprowadziłaś, nie wiesz ile to dla mnie znaczy.

— Dziewczyna uśmiechnęła się ze wzruszenia, ale niestety stwierdziła że już muszą iść ponieważ zrobiło się trochę późno i pochmurno, więc Elvisek ucałował według niego najpiękniejsze zdjęcie, jakie do tej pory widział, jeszcze pomachał rączką i ruszył za

swą opiekunką w stronę bramy wyjściowej.

W drodze powrotnej do miejsca gdzie zwykle przebywali zastała ich ulewa, więc szybko trzeba było się gdzieś schronić, na szczęście nie daleko stała jakaś stara, opuszczona budowa, więc bez większego zastanowienia para zmokłych wycieczkowiczów wbiegła do środka, przezornie zerkając czy coś przypadkiem nie runęłoby im na głowy, ponieważ były to stare niedokończone mury.

— Ale ulewa. Mam nadzieję, że nie będziemy chozy. Ciekawe co to za miejsce?

— Nie wiem, ktoś miał pewnie plany których nie zrealizował.

— Myślisz że mogli byśmy tutaj zamieszkać?

— Nie gadaj głupot, to nie są warunki na dom a poza tym sam widzisz, że oprócz ścian nie ma tu niczego... tylko jakieś stare schody na górę.

Ciekawski urwis oczywiście musiał sprawdzić, co było na tej górze, więc mimo sprzeciwu wbiegł na wyższe piętro.

— Wracaj...! Słyszysz nie wchodzi tam, jeszcze ci coś runie na głowę!

— Zaraz zejdem tylko zobaczę co tam jest!

— Ja nie wiem, w kogo się wdało to dziecko, wszystko musi wiedzieć, jak by było tam naprawdę coś ciekawego...ale przecież to tylko stare mury

Laura, mamrocząc sama do siebie nagle...usłyszała za sobą ciche kroki i czyjś głos

— Witaj panienko Monroy — odwracając się, dziewczyna ujrzała mężczyznę z pistoletem w dłoni, skierowanym w jej stronę

— Czego chcesz? Kim jesteś?!

— A czy to ważne? Ta informacja już do niczego ci się nie przyda.

— Jak to nie przyda? Coś ty za jeden?!

— Mm no dobrze, będę tak miły i ci się przedstawię, bo to i tak będzie ostatnie, co usłyszysz w życiu. Jestem Edmund, a to mój przyjaciel... kula na miot.

— Chyba kulomiot...

Kobieta z irytacją od razu zauważyła inteligencję przestępcy, który chciał popisać się bronią.

— Wszystko jedno, Masz pozdrowienia od Baldura Romero.

— Co takiego?! — w żebraczce zamiast strachu krew zagotowała się ze złości. Ten nędznik nie dość, że pozbawił ją domu, to jeszcze miał czelność wysłać do niej mordercę.

— Sama rozumiesz, że jesteś trochę niewygodna...

— Przecież zabraliście mi już wszystko, nie mam nic więcej

— Nie udawaj głupiej, jesteś dziedziczką firmy Monroy, mogłabyś chcieć odzyskać wszystko, gdybyś tylko posiadała testament!

— Jaki testament...?

— ...mm...mała żal mi cię ale sama rozumiesz taki rozkaz, lepiej będzie jak znikniesz, żegnaj pozdrów rodziców...

Laura chciała wyciągnąć coś jeszcze z bandziora, ale ten furiat wymachując bronią nie miał już nic do dodania.

— Aaaa — z opuszczonego budynku dobiegł strzał z pistoletu...

Rozdział 13

Elvis właśnie zwiedzał górne piętro niedokończonej budowy, kiedy to usłyszał głośną rozmowę, spoglądając na dół ujrzał mężczyznę, celującego do jego przyjaciółki! Więc mało myśląc, wziął do ręki pierwszą cegłę jaka mu się nawinęła i rzucił ją na głowę zbira, dlatego ten zniecała wystrzelił i upadł nieprzytomny na ziemię. Na szczęście kula nie trafiła przestraszonej Laury, która już żegnała się z życiem.

— Wsystko w porządku? Kto to jest? — pytał zbiegając ze schodów mały bohater

— Nieważne, uciekajmy stąd za nim on się ocknie!

— Ty ofermo, spróbuj ze mną zacząć! Nigdy więcej nie napadniesz na kobietę!

— Zostaw go, słyszysz! No już w nogi...

Gdy Laura i Elvis byli już bezpieczni daleko od mordercy, ta wiedziała, że tak tej sprawy nie zostawi, przecież tu chodziło o jej życie, niewinnemu pięciolatki też mogło się coś stać, dlatego zostawiając go śpiącego w bezpiecznym miejscu, pod osłoną nocy sama udała się w miejsce, gdzie znajdowało się to piekielne kasyno, na szczęście już puste więc świadków także nie było. Podrywając jakąś rurkę metalową z ziemi, włamywaczka zaczęła pomału chodzić dookoła budynku, analizując sposób którym mogłaby się dostać do środka. W końcu wybór padł na boczne okno, które było na tyle duże i nisko położone, że pozwalało się przez nie precyzyjnie, więc ta zamachnęła się i z całej siły uderzyła w szybę, która rozpadła się na wiele kawałków. Gdy była już wewnątrz, rozejrzała się dookoła, a następnie zaczęła przeszukiwać wszystkie biurka i szafki. W końcu w jednej z nich leżała niebieska teczka a w środku było kilka zdjęć mężczyzn przekreślonych czerwonym krzyżykiem, wśród tych fotografii Laura znalazła także zdjęcie swego ojca. Biedna w jednej chwili pojęła, że wypadek jej rodziców nie był przypadkowy. To ten potwór odpowiadał za wszystko najgorsze, co ją spotkało. Rozwścieczona otarła kilka łez z policzka i zaczęła rozwalać, kopać i przewracać wysokie meble. W końcu wyciągnęła z lewej kieszeni zapalniczkę i podpaliła srebrną firankę wiszącą nad wybitym oknem. Gdy wydostała się z budynku, nie miała zamiaru przepuścić takiego widoku, upajała się końcem tej wstrętnej jaskini hazardu, która coraz bardziej stawała w ogniu.

— Szkoda, że ta buda nie płonie razem z tobą. Baldurze Romero! Oby to był początek twojego końca!

Gdy z tej dziupli nie zostało już nic, Laura wróciła po Elvisa, który chrapał w najlepsze, nic nie wyjaśniając, postanowiła razem z nim uciekać w góry. Było to jedyne miejsce, gdzie mogli być bezpieczni. Gdy Romero zorientował się, co się stało ci byli już daleko za miastem. Bandzior po kolejnej porażce zamordowania

prawowitej spadkobierczyni od razu domyślił się, kto odpowiadał za spalenie jego głównego przyływu gotówki. To właśnie w tym nieistniejącym już miejscu, załatwiał swoje najczarniejsze machlojki, a teraz został tego pozbawiony z powodu jakiejś głupiej dziewczyny, której ciągle udawało się przeżyć. Dlatego też za tę niekompetencję ktoś musiał odpowiedzieć. Ktoś, kto zawiódł dwa razy... Edmundowi cudem udało się ocalić swoje życie z paszczy rekina pod warunkiem, że za trzecim razem zrobi to co należy, do tego czasu miał się na oczy nie pokazywać szefowi, dostał wyraźny rozkaz

— Masz przeszukać każdą dziurę w tym mieście i każdy śmietnik. Ta przeklęta zapłaci za wszystko z nawiązką!

Gdy uciekinierzy byli już w górach, wreszcie poczuli się bezpiecznie, lecz dopiero teraz zaczęło się prawdziwe wyzwanie, bo jak przetrwać wśród takiego dzikiego lasu...?

— Długo jeszcze będziemy tak sli? Nózki mnie boją

— Nie mam pojęcia, jedyne co wiem to to, że musimy poszukać jakiegoś schronienia, żeby nie nocować pod gołym niebem.

— A co będziemy jeść? Ja już jestem głodny.

— Przestań marudzić, jakoś sobie poradzimy, chyba...

— A czy tu są misie?

— Nie no co ty, chyba nie...

— A wilki?

— Nie bój się, nawet gdyby były to ja cię obronię.

— Złapię wilka za usy?

— Hi hi, pewnie złapiemy go za uszy, za ogon i dostanie burak za swoje.

Idąc tak przez głuchy las, mały smyk dostrzegł coś w oddali

— Zobac, zobac — wskazał paluszkami na coś, co z daleka przypominało starą chatę, więc szybko ruszył w jej kierunku. Podchodząc bliżej, para uważnie się rozejrzała wokół, lecz witała ich tylko głucha cisza. Laura zapukała do drzwi sprawdzić czy ktoś tam mieszkał jednak nie było odzewu. Elvis stając na paluszkach zajrzał przez okno, które znajdowało się obok, ale było pusto... więc oboje postanowili wejść do środka. Gdy lekko uchyłili skrzypiące drzwi i wsunęli stopy za próg, jako pierwsza powitała ich pajęczyna, którą dziewczyna szybko strząsnęła z siebie. Wewnątrz stał mały stolik z trzema krzesłami, kilka starych garnków i dwa łóżka przykryte czymś w rodzaju skóry po niedźwiedziu. Wszystko było zakurzone, ale poukładane. Na ścianie wisiały poroża i wypchane ptaki, więc można się było domyśleć, że mieszkał tutaj ktoś, kto lubił polować. W głębi chaty były jeszcze jedne mniejsze drzwi, zamknięte na mały skobelek, gdy Laura je otworzyła, ujrzała kilka łuków, strzały i jeden nóż, ucieszyła się, bo teraz na pewno łatwiej będzie zdobyć jej coś do jedzenia o ile się je znajdzie. Gdy usiadła na jednym z łóżek, chcąc odpocząć, zaraz z krzykiem podskoczyła w górę. Spod

grubego kożucha wyskoczyła mała, szara myszka. Elvis oczywiście miał ubaw po pachy z pani dorosłej, która bała się takiego miniaturowego stworzonka. Chwycił miotłę stojącą przy małym kominku i wygnał maleńką koleżankę na zewnątrz.

— Sio, sio myszko, idź do lasu bo ta dama ma słabe serce, poszukaj sobie nowego domku

Chłopiec od zawsze miał poczucie humoru w przeciwieństwie do swej towarzyszki, która zaraz się oburzała.

— Bardzo śmieszne...

Resztę dnia nowi mieszkańcy lasu spędzili na sprzątaniu swej chatki. Gdy cały kurz i pajęczyna zniknęły, a na stole pojawił się mały dzbanuszek, z kwiatkami zerwanymi po drodze przez Elvisa, wreszcie można było przyznać, że wszystko wokół zajaśniało. Ostatni kolega pajak wyprowadził się z przykrością, gdy w górny róg chaty dotarła miotła.

Gdy oboje sprzątający skończyli, padli jak dłudzy na swych nawet wygodnych, drewnianych łóżkach przykrytych kożuchami z niedźwiedziej skóry. Wreszcie mieli czas, aby odpocząć i trochę porozmawiać.

— Laura, czy my jesteśmy psestępcami?

— Nie...co ty, skąd ci to przyszło do głowy?

— Bo tak sobie myślę że, to wszystko pseze mnie, gdybym nie wziął sobie tego jednego pysnego lizacka ze sklepu, to nie musielibyśmy uciekać.

— Co ty za bzdury opowiadasz to nie tak, jesteśmy tutaj, ponieważ chodził za nami ten niedobry pan, któremu spuściłeś cegłę na głowę i lepiej dla nas, żeby przez jakiś czas nie miał okazji nas spotkać.

— Ten którego chciałem kopnąć w ...?

— Hmm... tak się nie mówi.

— Pseprasam.

— A tak przy okazji... jak ty masz naprawdę na imię?

— ... Dominic, mama dała mi to imię kiedy jeszcze mieskałem u niej w bzusku.

— Bardzo ładnie, dlaczego nikt tak do ciebie nie mówi?

— Ponieważ tatuś uznał że, gdy słyszał to imię to zaraz ona mu się psypominała i robiło mu się psykro, więc postanowił je zmienić, a poza tym i tak uważał że, do takiego psystojniaka, jak ja pasowało coś bardziej superowego.

— Aha, no dobrze Dominiku Elvisie Melgarze... jak na swój wiek jesteś strasznie skomplikowany.

Laura w duchu poczuła jak ten mały chłopiec po przejściach, z dnia na dzień rozjaśnił jej życie swoim dziwnym, czasami śmiesznym sposobem myślenia. Nie potrafiła wyrazić tego, jak bardzo się cieszyła, że pewnego pochmurnego dnia to właśnie on stanął przy jej śmietniku.

- Opowies mi bajeczkę na dobranoc?
- Bajeczkę? ale ja nie umiem.
- Jak to? Pseciez wsycy dorośli znają jakieś bajeki.

No właśnie, wszyscy ale nie ta rozpuszczona paniusia, która przegoniła wszystkie swoje nianie. Nawet gdy Donia Cecilia chciała opowiedzieć jej jakąś historyjkę, ta zawsze zatykała uszy, ponieważ wiecznie miała coś do Kubusia Puchatka. Uważała, że ten lekkoduch był za gruby i niepotrzebnie opychał się swoim miódkiem, w dodatku łapkami...skandal.

Natomiast pszczółka Maja została oskarżona o wywołanie buntu wśród wykorzystywanych mrówek, które rzuciły prace przy budowie mrowiska i wreszcie udały się na nadmorskie wakacje, ale najbardziej nielubiany był kaczor Donald, według dziewczynki była to ciapa bez przyszłości... i nie mogła ona pojąć, dlaczego żaden kot jeszcze nie połknął myszki Micki! Nic więc dziwnego, że nie znała się na bajkach których nigdy nie lubiła słuchać, dlatego teraz gdy ten uroczy brzdąc ją tak ślicznie prosił, musiała to zadanie postawić sobie za punkt honoru i wymyślić coś, co by mu się spodobało...

- Czy słyszałeś kiedyś bajeczkę o zubrach?
- O cym?
- O zubrach, takich wiesz co mają wielkie rogi i duże uszy.
- Nie...
- No to słuchaj.

Był sobie starszy pan, który codziennie jeździł na targ z miotłami swoim wozem przez polną dróżkę, a potem przez las i tak jeździł i jeździł...

— Az mu się znudziło?

— Nie słuchaj dalej. Pewnego dnia nie dotarł do swojej pracy, ponieważ na leśnej drodze stanął mu żubr, a już od dawna biedak słyszał o tej bestii, która straszyla wszystkich ludzi wokół, teraz miał okazję stanąć z nią oko w oko... i wiesz, co było dalej?

— Z tego pana zostały się same kosteczki?

— O nie mój drogi, ale mało brakowało, ten człowiek był bardzo odważny tak jak ty więc wskoczył rozwścieczonej bestii na grzbiet, złapał go za rogi i pognął aż na skraj lasu, gdzie podłe zwierzę już nikomu nie mogło zrobić krzywdy. Za ten czyn został uznany za miejscowego bohatera a jego miotły rozchodziły się jak świeże... — zanim nastał koniec bajki, mały chrapał w najlepsze... oczekiwał jednak, że z tego pana zostaną same kosteczki.

Jednak gawędziarka sama długo nie mogła jeszcze usnąć. Cały czas miała w pamięci słowa tego zbira z budowy na temat jakiegoś testamentu, którego w życiu nie widziała na oczy, jej ojciec także o nim nie wspominał. Czy to możliwe, aby można było znów odzyskać swój majątek i rodzinny dom? Czyżby Santos Mendosa właśnie o tym chciał z nią porozmawiać...? Przecież gdzieś

przepadł na pogrzebie... mimo że przez chwilę ta myśl wydała się realna, to jednak najwłaściwiej było zapomnieć o tej sprawie, a poza tym po co wracać do przeszłości, z którą już nie ma związku i odgrzebywać stare rany. Lepiej skupić się nad tym, co będzie na obiad następnego ranka, który nadszedł bardzo szybko.

— Jeżeli nie chcemy być głodni, musimy wziąć się w garść i ruszyć głową — pomyślała ranna ptaszyna i szybko zerwała się z łóżka. Na szczęście ten, kto mieszkał w tej chacie, pierwszy pozostawił po sobie narzędzia do polowania. Więc czego więcej brakowało, chyba tylko pomysłu jak ich użyć. Gdyby pani mądralińska była szatynką albo choć lekko rudawą szatynką może by się połapała, ale ona była zwykłą blondynką więc musiała się wysilić bardziej niż zwykle, a poza tym przecież nie po to była ta ucieczka w góry ratująca życie, żeby teraz przyszło umrzeć marną śmiercią głodową. Na szczęście z pomocą przyszedł mały super bohater, fan westernów i Billy'ego Kida. W filmach które oglądał często z czegoś strzelano, może akurat nie do kaczek ale zawsze to coś. Elvis w przeciwieństwie do swej kumpeli umiał odróżnić łuk od strzały, zapamiętał jak posługiwał się nim „Czarne pióro” więc po przygotowaniu sprzętu i wymalowaniu odpowiednich barw wojennych para przyszlých orłów myślistwa udała się na polowanie, ale cóż można było złapać, skoro nawet mrówka nie chciała się pojawić... więc rada wojenna składająca się z dwóch członków postanowiła że oddalą się troszkę dalej od chaty, w głąb lasu. Z każdym dalszym krokiem zaczęły pojawiać się ptaki i wiewiórki które...skutecznie omijały każdą strzałę wypuszczoną przez łowców amatorów. Jedyne co zostało na razie upolowane to mucha, w dodatku marna, ale grunt to się nie poddawać i próbować dalej. Po dwóch godzinach Laura miała już dość, a że zachciało jej się na stronę, więc postanowiła skorzystać z pobliskich krzaków. Gdy już miała wygodnie przykucnąć, nagle wytrzeszczyła oczy i wyskoczyła z zarośli jak szalona... Elvis miał na muszce dorodną wiewiórkę, którą ta wrzeszcząca kobieta właśnie wystraszyła... a to pech.

— Uciekaj! Niedźwiedź!

Na te słowa malec ze strachu rzucił to, co miał w ręku i wskoczył za uciekinierką na drzewo. Niedźwiedź, a raczej małe niedźwiedziątko które biegło za nimi, szukało matki.

— Ty głuptasie, to tylko mały misio, w dodatku pseślicny i urocy — Elvis zauroczony stworzonkiem postanowił zejść na dół, aby go pogłaskać, już wyciągał rączkę do puchatego pyszczka, kiedy zza drzew naprawdę wyskoczył niedźwiedź tym razem o wiele większy...była to matka małego, więc już mniej odważny bohater z powrotem wskoczył na swoją gałąź, tym razem jeszcze szybciej niż poprzednio.

— I co mądralo, to też jest misio? — zapytała ironicznie współniczka łowów.

Minęły trzy godziny, a oni wciąż siedzieli na drzewie.

— Uważam ze, to wszystko psez ciebie — odezwał się chłopczyk zarozumiale.

— Jak to przeze mnie?

— Gdybyś nie wesła w te ksaki nic by stamtąd nie wyskoczyło.

— O przepraszam panie mądraliński, niby gdzie miałam pójść, przecież ktoś mógłby mnie zobaczyć.

Elvis z ironią aż przyklapnął sobie rękę do czoła.

— Pseciez tutaj nikogo nie ma opróc nas.

— Nie zganiaj wszystkiego na mnie, gdyby twój żołądek nie domagał się tak łapczywie jedzenia, nie tkwilibyśmy tutaj jak dwa nietoperze.

Kolejna godzina upłynęła pod znakiem milczenia, ale młodszy poszukiwacz pokarmu, jakiegokolwiek mając się za troszkę mądrzejszego, postanowił przełamać lody.

— Hm...hm...będziemy siedzieć tutaj do końca świata?

— Nie, jasne że nie, poczekamy aż te zwierzaki sobie pójda.

— Ale ich juz dawno nie ma.

— Nie bądź taki pewny, zawsze jakiś może wybiec z krzaków.

W końcu po chwili rozejrzenia, się i rozpoznania sytuacji, jednogłośnie zdecydowano o zejściu na dół, ale gdy dwoje pogromców lasu już miało się spuszczać z drzewa, dwie gałęzie nad nimi zaczęło się coś ruszać, o ironio losu...był tam jakiś duży ptak, na gnieździe. Biedaki...nie zauważyli, że tuż nad nimi siedział łup wojenny. Więc Laura bardzo cichutko weszła jedną gałązkę wyżej i przygotowała łuk tuż za ogonem tego ptaszyska.

— Z takiej odległości na pewno trafię — pomyślała i wypuściła strzałę.

Wreszcie było coś do jedzenia po tak emocjonującym dniu. Gdy nieustraszeni wojownicy wrócili do chaty, rozpalili ognisko w kominku i upiekli swoją zdobycz, oczywiście Laura co do wypatraszania miała spore obiekcje, ale jeżeli chciała przeżyć w tej dzikiej puszczy, musiała się tego nauczyć.

Elvis jednak coś dziwnie się nie odzywał... lecz siedział przy stole z podpartą głową i trochę nietęgą miną patrzył raz na panią kucharz, a raz na Kurczaka.

— Co się stało? Coś robię nie tak?

— Billy Kid najpierw obdzierał piórka, a potem psyżądał mięsko...

— O...no widzisz wiedziałam, że było coś przedtem.

I tu nie można się było dziwić panience, która nigdy nie wyściubiła nosa ze swych salonów, więc nie znała podstawowych zasad gotowania.

Wreszcie obydwójce siedzieli przy kominku, trzymając kije ze zdobyczą na końcu, gdy Laura wręczyła współnikowi, kawałek i sięgnęła po swój, zauważyła że małemu prawie zebrało się na płacz.

Zrobił on dziwną minę i zaczął pociągać noskiem.

— Co ci jest? Dlaczego nie jesz?

— Jestem potworem, zamordowałem ptaska, on żył a teraz już nie żyje a ty go tsymas w zębach...

— Nie wygłupiaj się, on już dawno pofrunął do nieba, a my tylkojemy to, co z niego zostało.

— I już nie cierpi?

— No jasne że nie, już dawno zapomniał, kto wykonał na nim wyrok.

— Ale na pewno pofrunął do nieba? Może zablądził?

— Nie, na pewno trafił na samą górę i fruwa teraz z innymi wróbelkami i gołąbkami, ty też tam pofruniesz jak zaraz nie zaczniesz jeść.

W końcu chłopiec przełknął gorycz tej zbrodni i ugryzł kawałek.

— Nie psyprawione...

— O jaki grymaśny, przepraszam zaraz skoczę do sklepu po sól... tylko jest mały problem, trochę stąd za daleko nie sądzisz...

Kolejne dni dla tych dwojga były coraz bardziej pomyślne. Każda próba polowania uczyła ich nowych doświadczeń. Mogli także przetrwać dzięki rybom, które udawało im się wyławiać z rzeki na skraju lasu. Od tej pory oprócz zdobywania pożywienia wolny czas spędzali na uczeniu Elvisa literek, ponieważ w końcu był coraz starszy, a także na struganiu mieczy z drzewa, które służyły im do walk rycerskich, często też chodzili na piękną polanę. Można tam było zaobserwować uroki przyrody oraz mniejsze i większe zwierzątka takie jak zajęce czy sarenki. Łąka ta posiadała także mnóstwo precudnych, kolorowych kwiatów a niebo nad nią było bardziej niebieskie, oprócz tego płynął tam mały strumyk, który delikatnie szumiał. Tak właśnie uciekinierom mijał beztroski czas...

Rozdział 14

Minęło pół roku, od kiedy dwie włóczęgi były zmuszone uciekać i zamieszkały poza miastem, podczas gdy Baldur Romero przewrócił niebo i ziemię aby znaleźć dziewczynę, która zniszczyła jego dorobek życia. Mimo to w dalszym ciągu się nie poddawał, nigdy nie zdarzyło się aby darował cokolwiek swoim wrogom, na szczęście nie miał już pojęcia gdzie jeszcze ich szukać. Co to za kryjówka, w której można było się rozplątać...

Jak gdyby nigdy nic ci właśnie wypoczywali w najlepsze nad strumykiem, gapiąc się w gwiazdy. Laura czuła się wolna, z dala od zgiełku miasta i kłopotów, na pewien czas zapomniała, że ktoś czyhał na jej życie.

— Ale ten kosmos wielki prawda? Żałuję, że w dzieciństwie nie spędzałam tak czasu, tych gwiazd jest tyle że mieni mi się w oczach.

— Wies ze na jednej takiej gwiazdce siedzi moja mama...

— Tak? I co tam robi?

— Kieruje ruchem zeby statki kosmiczne się nie zdeżyły.

— Co takiego?

— Tata tak mówił.

— A wiesz co ja myślę, że oprócz tego powierzono jej też inne, równie ważne zadanie

— Jakie?

— Twoja mama pewno czuwa, żebyś był zawsze bezpieczny i wyrosnął na mądrego chłopczyka.

— To ona mnie widzi?

— Pewnie że tak.

— Ale jak? Pseciez te gwiazdki są bardzo wysoko.

— To nic, ona ma taką długą lunetę, przez którą na ciebie patrzy.

— W takim razie pewnie wie ze niedługo mam urodzinki...

— Urodzinki? A kiedy?

— Jeden... dwa... za tsy tygodnie. I wiesz co jesse...na pewno to ona mi cię psysłała zebym nie był sam, ty jesteś jak ta moja mama na gwiazdce.

— Dziękuję, bardzo mi miło że tak uważasz

— A myślis ze ona opiekuje się też moim tatą?

— Oo na pewno pilnuje żeby wyzdrowiał, a jak już się tak stanie to on wróci po ciebie.

Elvis nagle zamilknął...

— Dlaczego znów jesteś smutny?

— Bo...bo kiedy tatuś wróci to wtedy ty odejdziesz.

— A widzisz tu się mylisz, gdybym nawet zamieszkała w innym miejscu

to i tak zawsze będę się tobą opiekować, sam przed chwilą powiedziałaś, że jestem jak twoja mama, więc moją rolą jest, abyś wyrosnął na przystojnego i porządnego obywatela.

Od kiedy Laura dowiedziała się o urodzinach pięciolatka, całe dni w ukryciu spędzała na tworzeniu prezentu, niechcący zaniedbując chłopca. Więc ten niczego się nie podejrzewając, zaczął czuć się niepotrzebny. Mimo że jego ojciec był alkoholikiem, to jakimś cudem o urodzinach swojego synka, zawsze pamiętał i jeden dzień w roku zamiast butelki wódki, przynosił do domu mały skromny torcik, który jego synek po zdmuchnięciu świeczek zjadał ze smakiem.

W końcu po raz szósty nadszedł ten wymarzony dzień, więc solenizant przestał się obawiać czego kolwiek. Zdawał sobie sprawę, że nie było możliwości aby mógł spróbować pysznego tortu, ale na pewno i tym razem będzie mógł świętować. W końcu tak poważny wiek zdarza się raz w życiu.

Więc gdy wstał rankiem, poderwał się ochoczo z łóżka i postawił małe stópkę na podłodze, ale rozglądając się dookoła, nikogo nie było. Gdy ubrał swe małe spodnie na siebie, wybiegł na zewnątrz, tam na pewno coś na niego czekało...ale cóż to...nikt nie złożył mu życzeń, nawet wiewiórka uciekła na drzewo dając do zrozumienia że o niczym jej nie powiadomiono.

Najwidoczniej Laura zapomniała, nic dziwnego skoro od zawsze w jedną datę jaką pamiętała wypadało jej święto.

— Ostatnio w ogóle nie miała dla mnie czasu, nic dziwnego że odesła skoro już nie jestem jej potrzebny, ale dlaczego w moje urodzinki?

Chłopiec wszedł z powrotem do swojej chatki, do pasa przywiązał swój drewniany miecz, wziął swój mały tobolek, przyczepił go na koniec kija i niczym mały włóczykij ze spuszczoną główką ruszył wsinał dal...

Jednak Laura wcale nie odeszła. Po pół godziny wróciła do chaty, w której nikogo nie zastała.

— Gdzie on się podział? — zaczęła się zastanawiać ze zdenerwowania. Szukała wokół domu i na łące gdzie zwykle przebywali, ale nigdzie nie znalazła dziecka. W końcu dotarło do niej, że ten ostatnio chodził jakiś dziwnie smutny.

— O rany! Byłam tak zajęta szykowaniem prezentu, a on na pewno pomyślał sobie, że już go nie chcę! Muszę go szybko odszukać, ale gdzie? Przecież w lesie może być niedźwiedź...

Laura ruszyła w głąb puszczy, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy

— Elvis gdzie jesteś?! — krzyczała, biegnąc po trzaskających gałęziach.

— Elvis! Dominic! Gdzie jesteś?

Tymczasem malec idąc przez las nagle pomylił drogę i zaczął kręcić się w kółko, więc kiedy dotarło do niego, że się zgubił uderzył w płacz, nie wiedział jak wrócić do chaty.

Laura już godzinę szukała swego przyjaciela, na chwilę przystanąła ze

zmęczenia, nagle...usłyszała krzyk... oko w oko z dzieckiem stało jakieś okropne duże psisko, które warczało i było coraz bliżej.

— Dobry wilcek — zająkiwał się chłopczyk — idź sobie stąd... aaa — mały skulił się ze strachu.

Pies jednym odbiciem od ziemi skoczył w jego stronę...

Rozdział 15

Znienacka zwierze z całej siły zostało uderzone dużym drewnianym kołkiem w pysk i z piskiem uciekło w las. Laura w ostatnim momencie zdążyła!

— Dlaczego uciekłeś?! Widzisz, co mogło się stać!?

— Pse...psepraszam, ja nie chciałem, mówiłem temu wilckowi żeby sobie posedł, ale nie chciał słuchać.

— Już dobrze nie płacz, na szczęście nic ci nie jest. Wyjaśnij mi, dlaczego odszedłeś bez pozwolenia

— Chciałem wrucic do miasta, bo ty juz mnie nie chces.

— Co ty opowiadasz? Skąd taki pomysł?

— Ostatnio w ogóle nie mas dla mnie czasu więc pomyślałem...

— Nie miałam dla ciebie czasu, bo byłam zajęta prezentem dla ciebie.

— Prezentem?

— A coś ty myślał głuptasie, że zapomniałam?

— Choć ze mną, pokażę ci co dla ciebie przygotowałam.

Kiedy opadły emocję Laura zaprowadziła Elvisa na polanę, gdzie stała jego niespodzianka.

— Czekaj, jeszcze nie otwieraj oczu, czekaj... teraz.

sześciolatek oniemiał z zachwytu, jego oczom ukazał się poskładany z drewna mały samolocik na kółkach, do którego mógł wsiąść.

— Ty pilotuj, a ja będę pchać z tyłu samolot — zaproponowała Laura.

— Dobrze — kiwnął Elvis i szybko zasiadł za sterami.

— Czy kapitan już gotowy?

— Tak jest, zacynajmy odlicanie.

— Trzy...dwa...jeden...

— Rusamy wii iii... uwaga odbijamy się od ziemi...

I tak dwaj piloci biegali po łące aż do znudzenia. To były jedne z najlepszych urodzin tego urwisa. Podczas gdy on spędzał ze swą przyjaciółką cudowne dni nad płynącym strumykiem, zbir Baldur zaczynał się już niecierpliwić. Miał już dosyć ciągłej niekompetencji Edmunda, który ciągle nawalał w sprawie, która została mu zlecona. Minęło tak dużo czasu, a ten ciągle nie znalazł swej przyszłej ofiary więc boss mając już po wyżej uszu ciągłych tłumaczeń i narzekañ, na pewien czas kazał zejść sobie z oczu, dopóki powierzone zadanie nie zostanie wykonane, inaczej marny los Edmunda, gdyby się pokazał wcześniej. Więc nie mając wyboru, wpierv postanowił wybrać się za miasto na mały odpoczynek, by zebrać myśli i zapolować na coś szybko biegającego. Kiedy szedł przez las do swej chaty, w której dawno nie był, marudząc coś pod nosem, jak na złość do nogawki od spodni przyczepiła mu się wiewiórka, która za nic nie chciała się odczepić.

— Głupie namolne zwierze, wynoś się! — wrzasnął bandzior potrząsając nogą, w końcu gdy pokazał jej jaką broń dysponuje wiewióreczka zrozumiała, że to nie żart i dała spokój. Gdy zbir był już blisko chaty, nagle usłyszał czyjś śmiech, więc szybko schował się za drzewo. Wychylając się, zobaczył...małe dziecko i znajomą twarz.

— Proszę, proszę, ja tu przyjechałem zapolować na króliki, a ustrzele sarenkę, kto by pomyślał że byłaś tuż pod moim nosem... — roześmiał się Edmund i zaraz po cichu ruszył za parą, która gdzieś się wybierała.

Laura i Elvis właśnie mieli zamiar złowić kilka ryb na obiad, dlatego zmierzali nad rzekę. Przygotowawszy przynętę, na dwie wędki zarzucili je na wodę i spokojnie mieli czekać na owocny połów, kiedy to za ich plecami czyhał oprych z opuszczonej budowy, który wyciągnął sznurek z tylnej kieszeni, miał zamiar szybko skończyć swoje zadanie i odzyskać względy szefa. Powoli zbliżał się do swej ofiary, chcąc zacisnąć pętle na jej szyi...

— Laura uwazaj! — krzyknął malec, odwracając się po robaka, który był w pudełku.

Dziewczyna szybko odskoczyła, pociągając chłopca za siebie.

— To znowu ty? Jak nas tutaj znalazłeś?

— Oo bardzo prosto, jednym słowem wpadłaś w paszczę lwa, zamieszkałście w mojej chacie ale nic się nie bój, postaram pozbyć się ciebie bezboleśnie, a dzieciaka wypuszczę, jeżeli nie będzie robił hałasu...

Oprawca już zbliżał się do swej ofiary, która cofając się nie bardzo wiedziała jak tym razem uciec...ale znów do nogawki tego nieudacznika przyczepiła się ta wstrętna wiewiórka! Która najwyraźniej nie polubiła jego rudych spodni, pewnie to dlatego, że miała co do nich złe skojarzenia.

— To znowu ty?!czego chcesz paskudny zwierzaku... wynocha! — drań wymachując nogą tak się zamotał... że nie chcący wpadł do rzeki ale jego największym pechem było to że nie umiał pływać, więc zaraz zaczął się topić i łapać haustami powietrze...

Laura już chciała uciekać, ponieważ teraz miała jedyną szansę, aby się uratować...ale słysząc błagalne wołanie o pomoc, nie mogła odmówić i wskoczyła na ratunek swemu prześladowcy, przyciągając go do brzegu. Ten sapiąc i dysząc, spojrzał na swą wybawczynię, podnosząc ociekającą, mokrą głowę i nie bardzo wiedział co powiedzieć, przecież jeszcze przed chwilą chciał ją pozbawić życia, a teraz ona mu je uratowała. Jeszcze przez moment nic nie mówiąc, odważył się podnieść wzrok.

— Dziękuję...

Dwie niedoszłe ofiary nadal się go obawiały, więc chciały jak najszybciej zniknąć mu z oczu ale ten zatrzymał ich, mówiąc...

— Zaczekajcie, nic wam nie zrobię... uratowałaś mi życie, więc mam u

ciębie dług

Laura niepewnie podchodząc do Edmunda, podała mu rękę i pomogła wstać, ale mimo wszystko oczy miała dookoła głowy, bo nadal nie wiedziała, czy ten znów nie zmieni zdania i nie zechce ich skrzywdzić. Jedyne co posiadała to jego słowo. Zresztą już nie miała innego wyjścia jak zaufać, ponieważ nie było dokąd uciec.

Pozostało być czujnym.

Edmund wrócił ze swoimi niedoszłymi ofiarami do chaty i przebywał tam z nimi kolejne dwa dni, chcąc zapolować na zwierzynę, w tym celu przybył do tego lasu. Laura i Elvis wciąż trzymali się z boku i w jego obecności nie mówili zbyt dużo. Jednak wieczorem, gdy za moment wszyscy mieli kłaść się spać, mały zadziora delikatnie podszedł do nieprzystępnego i naburmuszonego mężczyzny siedzącego przy stole i jedzącego kawałek mięsa z królika.

— Czemu mi się tak przyglądasz?

Malec tylko wzruszył ramionami.

— Nie wiesz?

— Cemu mas takie duże usy? Billy Kidd miał malutkie...

— ...mam takie po mamie a tobie nic do tego...!

— A gdzie jest twoja mama?

— Na cmentarzu, bo co?

— Moja też...

Elvis nie przeszkadzaj panu i kładź się spać — upomniała Laura, obawiając się, że może on zdenerwować łapczywie jedzącego przestępcę.

— Mały...co jej się stało?

— Odesła psy moich narodzinach.

— Aha...współczuję.

W nocy kiedy chłopczyk chrapał w najlepsze, panowała jakaś nerwowa cisza, która nie mogła zwiastować niczego dobrego. Odkrywając pomału kołdrę, złoczyńca nikogo nie budząc, wstał z łóżka, włożył na siebie swoje ubranie, wyszedł z chaty i gdzieś się udał... po kilku minutach wrócił z dużym drewnianym kołkiem w rękę i kilkoma drobnymi gałęziami.

Kołkiem tym zabarykadował drzwi wejściowe, układając pod nimi także gałęzie, z przedniej kieszeni spodni wyciągnął paczkę zapalek. Pociągając jedną z nich o pudełko, przyłożył ją na palenisko które wykonał następnie odszedł kilkanaście metrów dalej i spokojnie czekał aż z chaty, która zaczęła stawać w ogniu, zostanie tylko popiół i zgliszcza.

— Wybacz maleńka, nawet was polubiłem ale tylko tak mogę odzyskać względy szefa...

Rozdział 16

Chata, która przez pół roku służyła jako dom i schronienie, teraz cała zanurzona była w ogniu. Edmund wreszcie mógł odetchnąć z ulgą i stanąć przed Baldurem bez obawy o swą Skurę.

Tymczasem nie przewidział sprytu, jakiego nauczyła się Laura podczas próby przetrwania na ulicy. W nocy dla pewności spała z otwartymi oczyma, dlatego gdy morderca wyszedł z chaty, ta już wiedziała że jednak nie można mu było ufać i że nie oznaczało to nic dobrego, dlatego natychmiast obudziła Elvisa, wyglądając zza lekko uchylonych drzwi, poczekała chwilę, aż zbir się oddali i wybiegła za tylną część domu w las, tam ukryła siebie i małego. Rankiem, gdy z chaty zostały tylko zgliszcza, podpalacz właśnie zdawał relację swemu dowódcy, który był wniebowzięty ponieważ wreszcie był przekonany, że jego główny wróg zniknął na dobre i zapłacił za zniszczenie kasyna. Tymczasem Laura, wykorzystując sytuację, że dla Romero była martwa, na pewien czas wreszcie spokojnie mogła wrócić do miasta, po to, aby zdobyć trochę pieniędzy na podróż, a potem razem z podopiecznym muc wyjechać gdzieś daleko. Chłopcu obiecała także, że gdy tylko już będą zupełnie bezpieczni, wrócą po jego ojca, który na razie był w trakcie kuracji odwykowej. Kiedy wrócili na stare śmieci, od razu wzięli się do pracy i zaczęli myć przejeżdżające samochody, aby zarobić na bilety do lepszego świata i jedzenie, ale nie domyślali się, że życie miało dla nich po raz kolejny niespodziankę i to wcale nie małą...

Kiedy młoda żebraczka była zajęta pracą, Elvis odpoczywał smakując roztapiającego się loda na jednej z ławek, gdy nagle usłyszał za sobą głos.

— Hej mały...

Odwracając się dziecko zobaczyło za sobą, elegancko ubranego pana z karteczką w ręku.

— Widziałem jak pracujesz, ze swoją koleżanką, pomyślałem, że pewnie jest wam ciężko i twoja znajoma potrzebuje stałej pracy, jeżeli bylibyście zainteresowani, przyjdźcie pod ten adres, proszę...

Kiedy chłopczyk wziął do rączki karteczkę, zeskoczył z ławki i pobiegł do Laury, aby jej o wszystkim powiedzieć.

— Laura, Laura, spójz.

— O co chodzi, co tam masz?

— Jakiś pan mi to dał, powiedział że ma dla nas prace i żeby tam iść.

— Gdzie? Jaki pan? Praca gdzie?

Gdy Elvis odwrócił się, chcąc wskazać na nieznanego, ten już gdzieś zniknął.

— Hmm nie ma nazwiska, no cóż ważne że jest adres, w takim razie...

pójdziemy tam jutro z rana i sprawdzimy.

Drugiego dnia obydwójce stali już przed bramą rezydencji naciskając domofon i wyciągając głowy za bramę w stronę drzwi wejściowych.

— Nikt nie wychodzi, może ten człowiek zmienił zdanie i już nie chce pracownika?

— Alez ty jesteś niecierpliwa, poczekajmy jeszcze może ktoś przyjdzie.

— Aha... zobaczysz, będziemy stali tak cały dzień aż ktoś z litości żuci nam jałmużnę.

Po dziesięciu minutach wyczekiwania pojawił się wysoki chudy lokaj w trochę przydużym garniturku i jak to zazwyczaj z lokajami bywa z muchą na szyi.

Otworzył bramę, naciskając pilot i zapytał:

— Witam, czy to pani jest tą nową pracownicą?

— Tak to ja, ale...

— Proszę wejść.

— Ale nie bardzo wiem, co miałabym tutaj wykonywać?

— Szef nic nie wyjaśnił?

— Dostaliśmy tylko wizytówkę.

— Proszę się nie martwić, mam dokładne wytyczne co do was, zapraszam do środka. A czy to pani syn?

— Nie, to mój mały przyjaciel, którym się opiekuję.

— Aha, co do stanowiska będzie pani pracować w charakterze pokojówki oraz pomocy kuchennej czy taka praca odpowiada?

Panna Monroy zawahała się trochę, ponieważ nigdy nie pracowała jako służąca, zawsze miała je za niższą klasę społeczną... lecz po chwili postawiła siebie do pionu.

— Ależ oczywiście

— W takim razie witamy, jestem Fermin i kontroluję tutaj wszystkich pracowników.

— Czy pan domu już na nas czeka? — zapytała świeżo upieczona służąca.

— W tej chwili przebywa w swoim gabinecie, ale jest bardzo zajęty, więc ja pokaże wam wszystko, zapamiętajcie, że służba zawsze wchodzi od tyłu.

Spoglądając w górne okno, rezydencji Laura zauważyła odsłoniętą firankę, ktoś spoglądał na nich z góry, nie zdążyła się jednak przypatrzeć, ponieważ Elvis szybko pociągnął ją za rękę.

— No chodź szybciej, gdy nowi pracownicy weszli za lokajem do kuchni, przy stole pijąc kawę, siedziała jedna młodziutka pokojówka imieniem Eva, wydawała się dosyć miła dlatego zaraz przypadła do gustu Elvisowi. Po krótkim zapoznaniu się Fermin zaprowadził nową pokojówkę i jej małego podopiecznego do ich sypialni, którą mieli dzielić z nowo poznaną Evą. Na łóżku od ściany już czekał czyściutki i wyprasowany fartuszek, dokładnie taki jakim panią w

przeszłości się brzydziła, teraz przyszedł czas, aby to ona stanęła po drugiej stronie lustra.

— Proszę, przebierz się i przejdź do kuchni, Eva pokaże ci, co masz robić, a chłopiec niech tutaj na razie zostanie — objaśnił Fermin i wyszedł z pokoju wykonywać swoje pozostałe obowiązki lokaja.

Nowi mieszkańcy tego nieznanego im jeszcze domu usiedli na swych łózkach, chwilę rozglądając się wokół.

— Co o tym sądzisz?

— Lepse to niz ulica, psynajmniej nie będziemy chodzili głodni.

— Racja, poza tym ta pracownica wydała się bardzo miła, nie sądzisz?

— Tak, w ogóle nie zwróciła uwagi na nase kiepskie stroje, od razu się psywitała.

— Tak... potraktowała nas dobrze, wcale nie oceniając. Wiesz... znałam kiedyś taką jedną rozkapryszoną czarownicę, która takich jak my zaraz wyrzuciłaby z hukiem na ulicę.

— Tak? A gdzie ona teraz jest?

— Odleciała na miotle nie wiadomo gdzie — uśmiechnęła się Laura i poszła do łazienki, włożyć swój nowy strój.

Gdy się przebierała, pod jej nieobecność do sypialni wszedł ten sam mężczyzna, który zaproponował jej pracę, teraz wręczył małemu kredki oraz papier. Był to oczywiście pan domu.

— Witaj brzdącu...

— Dzień dobry

— Pomyślałem, że pewnie byś się nudził więc przyniosłem ci coś do zabawy, narysuj mi coś ładnego. Czy mile was tutaj przyjęto?

— Tak, bardzo dobrze

— W takim razie cieszę się

— Juz pan wychodzi? Moja Laura chciała pana poznać...

— Laura mówisz...? — przekaż, że porozmawiam z nią później, ponieważ w tej chwili jestem bardzo zajęty.

Gdy pracodawca wyszedł, Elvis zaraz położył się na łóżku, wziął do rączki kolorowe kredki i w swoim śmiesznym rozumku zaczął wymyślać obrazek.

Po chwili z łazienki wyszła pokojóweczka w nowo nałożonym stroju, gładząc go rękoma.

— I jak na mnie leży?

— Mm...bardzo ładnie.

— Skąd masz te kredki? Były w jednej z półek? Nie można brać niczego bez pytania, odłóż je na miejsce.

— Nie, psyniół mi je ten pan

— Jaki pan?

— Ten, który nas tu zaprosił.
— To on tutaj był? Dlaczego mnie nie zawołałeś?
— Bo zaraz wyszedł, powiedział że ma dużo pracy.
— Kim on jest? Jak wygląda?
— Jest wysoki i miły i ma małe usy.
— W ogóle ci się nie przedstawił?
— Nie — pokiwał główką kilkulatek i znów zabrał się za rysowanie czegoś, co już prawie przypominało jakąś postać.

Gdy nowa pomoc domowa już była gotowa, udała się do kuchni, gdzie od swej nowej koleżanki po fachu, zaraz otrzymała polecenia. Pierwszym zadaniem z pozoru bardzo błahym dla niej, było obranie ziemniaków na popołudniowy obiad dla państwa. Laura już wiedziała, że nie obiorą się one same jak za czasów jej dawnej świetności. Starając się nie marudzić zabrała się, do mogłoby się kiedyś wydawać, haniebnej czynności, którą jej dawna służąca przerabiała codziennie. Z początku szło to dosyć nie zgrabnie, ale po kilku zacięciach nawet zaczęło jej się podobać.

— Dlaczego wcześniej patrzyłam tak krzywo na panią Lourdes? Byłam taka niemądra...

— Co tam mówisz? — spytała Eva, mieszając zupę.

— Ja tak...sama do siebie.

— Aha, gdzie wcześniej pracowałaś?

— Mm... tu i tam, różnie to bywało.

— To znaczy?

— ...pracowałam w...w...

— Wiesz, muszę wyjść na chwilkę do łazienki, jak wrócę jeszcze porozmawiamy. Dokończ, proszę zupę, wystarczy, że ją tylko doprawisz.

— Oczywiście — odpowiedziała lekko dygocząc kucharka amatorka.

Gdy tylko Eva wyszła, ta wybałuszyła oczy na garnek, jakby stał przed nią bulgocący się potwór.

— Królik w lesie był o wiele prostszy, wystarczyło go tylko upiec — mamrotała drapiąc się po głowie i wymyślać, w końcu doszła do wniosku, że:

— Tutaj się dosoli, tutaj się dopieprzy i... jakoś to będzie!

Wszystko byłoby w porządku, gdyby chociaż raz spróbowała odrobinę tego dania, ale wyszła z założenia, że skoro wygląd był w porządku, to ze smakiem pewnie też nie mogło być gorzej. Gdy skończyła, do kuchni wszedł Fermin.

— O widzę, że dobrze sobie radzisz

— Już skończyłam

— Aha, w takim razie zaparz kawę, szew sobie życzy, abyś podała mu ją w gabinecie.

— Kawę? Ja nie wiem, który to gabinet.

— Nie martw się, ja ci pokarzę.

Lokaj usiadł przy stole, całe szczęście tyłem do dziewczyny, która znów musiała się głowić jak wykonać to jakże trudne polecenie.

Kawa ta może byłaby całkiem smaczna, gdyby jej nie pomyłono z cynamonem stojącym obok w słoiku. Do tego cztery łyżki soli i gotowe.

— Skończyłaś już?

— Tak oczywiście możemy iść.

Jeszcze jeden ruch łyżką w filiżance i amatorka czuła się dumna, że wszystko tak świetnie jej szło.

Gdy dotarli na górne piętro, Fermin wskazał gabinet.

— Zapukaj dwa razy, poczekaj i wejdź

— A pan?

— Ja mam swoje obowiązki, nie mogę cię prowadzić za rączkę, nie martw się nasz szew jest w porządku.

Wobec tych zapewnień nowicjuszka zapukała dwa razy, po czym usłyszała głos ze środka gabinetu.

— Proszę wejść

— Przyniosłam zamówioną kawę.

W fotelu odwróconym w kierunku okna tyłem do biurka siedział pan domu.

— Zamknij drzwi i postaw ją proszę.

Służąca wykonała polecenie, wlepiając zaciekawione oczy w fotel. Zarządca wstał i odwrócił swą twarz.

Znów była bogaczka poczuła jakie życie potrafiło być przewrotne, za karę że nie potrafiła wdzięcznie na nie patrzeć. Był to istny chichot losu.

Rozdział 17

— Witaj — odrzekł właściciel rezydencji, w którym Laura rozpoznała swego dawnego szofera, teraz ze wstydu spuściła głowę.

— Czemu nic nie mówisz? Tak cię zdziwiło to, że taki prostak, jak ja zdobył coś w życiu i stoi tu przed tobą jako twój szew...?

— Nie...

— A może przeklinasz mnie teraz w myślach?

— Nie naprawdę, jestem po prostu zaskoczona.

— Tak że nie masz odwagi na mnie spojrzeć? Uważałaś że do niczego nie dojdę sam a spójrz teraz kim się stałem.

— Z całego serca gratuluję.

— Ty z całego serca...? Wiesz dlaczego cię tutaj sprowadziłem?

— Nie.

— Ponieważ widziałem, jak męczysz się na ulicy, myjąc samochody, zrobiło mi się cię szkoda. Tak w ogóle to przyjmij kondolencje. Słyszałem, co spotkało twoich rodziców przed rokiem. W przeciwieństwie do ciebie byli wspaniałymi osobami.

— Dziękuję, to był najgorszy cios który mnie spotkał.

Laura nie miała jeszcze pojęcia że Baldur Romero który za wszystko odpowiadał był ojcem Thomasa, uważała że to samo nazwisko łączące te dwie osoby to tylko zbieg okoliczności.

— Tak...to bardzo smutne. Mam nadzieję, że życie na ulicy sprowadziło cię trochę na ziemię, jeżeli będziesz zachowywać się stosownie, bez żadnych awantur to ja też będę wobec ciebie w porządku, zapewnię ci dach nad głową i utrzymanie, ale pod warunkiem, że nie będziesz się lenić, ponieważ nie znoszę niekompetencji, rozumiano?

— Tak jest — opowiedziała służąca z jednak lekko zaciśniętymi zębami.

— Aha chcąc tu mieszkać, musisz mi wyjaśnić jeszcze coś, bo nie rozumiem...skąd wytrzasnęłaś to dziecko? Bo chyba w szafie go nie ukrywałaś?

— Nie to Elvis, chłopiec którego spotkałam na ulicy, chwilowo się nim opiekuje ponieważ jego ojciec jest na odwyku a matka nie żyje.

— Ahaa nagle stałaś się samarytanką. Mam nadzieję, że go dobrze traktujesz!

— On stał się częścią mojego życia, nie potrafiłabym go zostawić.

— Mam nadzieję że jest tak jak mówisz, bo inaczej będzie z tobą krucho, pamiętaj! Będę cię obserwował. Dziękuję za kawę, możesz już odejść.

Kiedy pokojówka wyszła z gabinetu z nosem spuszczonej na kwintę, Thomas zasiadł za biurkiem i wziął do ręki zaparzoną filiżankę kawy.

— Jaka zrobiła się potulna — dodał wyniosłym głosem i biorąc łyka do ust, zachłysnął się po same uszy.

— Co to jest...! No tak...czego ja się spodziewałem.

Gdy gospościa doszła do swego pokoju, wlekąc po podłodze fartuszek, z ciężkim sercem usiadła na łóżku, spojrzała na małego artystę, który uciął sobie drzemkę i na kartkę papieru, na której była narysowana trochę koślawa, pyzata postać z kitkami po bokach głowy i uśmiechem od ucha do ucha. Pod obrazkiem był napis „Dla mojej Laury”.

Ta rozpromieniła się i od razu wrócił jej humor.

Do pokoju weszła Eva. Była to bardzo miła nieco roztrzepana dziewczyna z dużymi, brązowymi oczami i z tak różowymi ustami jakby pomalowanymi kredką. Siadając na krześle przy toalecie, wlepiła swój wzrok w nową współlokatorkę.

— Więc jesteś Laura? — zapytała.

— A ten mały?

— To mój podopieczny, mam nadzieję że nie zajęłam niechcący twojego łóżka.

— Nie, nie martw się moje jest to od ściany, ten suseł pewnie jest nieźle zmęczony skoro zasnął. A tak w ogóle to skąd jesteście?

— Mieszkaliśmy kilka przecznic dalej.

— Aha, poznałaś już szefa?

— Przed chwilą zaniósłam mu kawę na górę.

— Przystojny prawda? W dodatku bogaty, szkoda że już zajęty — Westchnęła Eva.

Laurze trochę zrzędzła mina.

— Zajęty? Jak to?

— Od kilku miesięcy ma dziewczynę, okropna baba, nie rozumiem co on w ogóle w niej widzi, podobno jest bogata ale ja w to nie wierzę. Na moje oko to ona coś kręci, ale...to już nie nasza sprawa. A tak w ogóle to przyszedłam ci powiedzieć, że za chwilę podajemy obiad.

— O to świetnie, bo już jestem bardzo głodna.

— Ha, ha, niee...my zjemy później, najpierw podamy obiad państwu.

— A tak...najpierw państwo potem my.

— Pracowałaś już kiedyś jako służąca?

— Ja... tak... w domu państwa Monroy.

— Naprawdę? Słyszałam, że byli to bardzo mili ludzie, ale podobno ta ich córeczka to niezła lafirynda. Chodziły słuchy, że ich śmierć to nie przypadek...nigdy nie wiadomo z kim tacy bogacze mieli powiązania i zresztą to nie nasza sprawa. Przyjdź za pięć minut do kuchni, ten śpioch gdy wstanie. Pewnie też będzie głodny.

Gdy Eva wyszła z pokoju, Laurze jeszcze przez chwilę było głupio usłyszeć

o sobie, co naprawdę myśleli o niej ludzie, gdy była bogata, wydawało jej się że wszyscy jej zazdrościli, ale teraz dopiero usłyszała prawdziwe zdanie na swój temat. Te zakłamanie lale z wyższych sfer nigdy by się nie odważyły na takie słowa, bojąc się stracić tak ważną przyjaciółkę, która zawsze służyła pomocną kartą kredytową.

Gdy wybiła godzina 13.00. W jadalni zebrali się zgłodniały państwo. Na obiadowym wózku miała wjechać waza z francuską zupą. Na drugie danie miało być coś w rodzaju spaghetti ze szpinakiem i do tego białe wino. Zastawa także nie przypominała tej, na której Thomas jadał jako biednie żyjący człowiek. Dzięki swej pracowitości, oraz odrobinie szczęścia, zmienił całkowicie swój stan materialny. Co prawda od czasu do czasu lubił się pochwalić tym co zdobył, lecz nigdy nie starał się sięgać głową chmur, wołał stać twardo na ziemi. Gdy Eva i jej pomocnica dotarły z obiadem, nowa pokojówka, spoglądając w stronę stołu, cofnęła się odrobinę i jak by trochę schowała za koleżankę a to dlatego, że przy stole tym siedziała Lourdes, którą panienska Monroy spoliczkowała za poplamione ubranie. Teraz trochę się wstydziła i obawiała, jak sama zostanie przyjęta. Po zimnym wzroku Pani Romero można było wywnioskować, że cały czas miała w pamięci ten policzek i raczej nie była przychylna temu, że znów codziennie będzie musiała oglądać twarz tej rozkapryszonej złośnicy. Po krótkim zawahaniu się bez woli wyboru Laura wzięła do rąk wazę i podeszła do stołu zaczynając nalewać zupę. Najpierw jednak spojrzała przymrużonymi oczami na Thomasa, ponieważ wciąż szumiało, jej w głowie słowo „dziewczyna” jakby, nie chciało się odczepić...następnie podeszła do Lourdes, ze strachu ręce jej drżały, a talerz dygotał jak na pełnym morzu. Kiedy na szczęście nie wylała ani kropelki odetchnęła z ulgą i znów pociągając za sobą wózek, stanęła obok Ewy, czekając, aż obiad dobiegnie końca. Biedna myślała, że po roku spędzonym na ulicy już potrafiła wszystko, a tu znienacka przyszła jeszcze trudna lekcja gotowania.

Kiedy Thomas i jego matka wzięli po pierwszej łyżce do ust, nie minęły nawet dwie sekundy jak zaczęli zionąć, łapczywie pić wodę i machać rękoma.

— Czemu ta zupa jest tak słona i pieprzna?! Czy ta kucharka oszalała... — krzyknęła seniora Romero

— To ja... wydawało mi się, że będzie smaczna ale zapomniałam spróbować, przepraszam — odpowiedziała Laura.

— Aha to wszystko wyjaśnia — odrzekła zdenerwowana kobieta i spojrzała na syna, kiwając głową. Dobrze wiedziała, że jej dawna przełożona nie miała zielonego pojęcia, o czym kol wiek, a już na pewno o kucharzeniu.

Młody Romero otarł usta, rzucił chusteczką o stół, wstał i podchodząc do Laury. Chwycił ją za rękę, wołając także drugą służącą, udał się do kuchni.

— Evo masz jej stąd nie wypuszczać, dopóki nie nauczy się gotować, zrozumiano!?

— Tak jest szefie. Dziewczyno co ci strzeliło do głowy, państwo o mało się nie zakrztusili, a w dodatku przez ciebie ja też mogłam wylecieć.

— Przepraszam, to nie moja wina że zachciało im się zupy, jak by raz pochodzili głodni, to by się im nic nie stało.

Takie to były niezbyt trafne tłumaczenia kuchareczki, która resztę pierwszego dnia pracy spędziła na poznawaniu zasad kulinarnych.

Natomiast Lourdes w gabinecie obok salonu ostro skrytykowała syna za nową pracownicę.

— Przecież ci mówiłam, że ona nam się do niczego nie przyda.

— Miałem pozwolić, żeby umierała z głodu na ulicy!?

— Dawała sobie radę o dziwo przez rok, poradziłaby sobie i dalej.

— Ja wiem że w głębi duszy nie potrafisz jej wybaczyć tego policzka, ale wydaje mi się że ona już dostała za swoje, przecież dobrze wiesz co ją spotkało.

— ...w takim razie niech tu zostanie ale pod warunkiem, że nie będzie się do mnie zbliżać, ja jej po prostu nie toleruję.

Gdy matka z synem prowadzili konwersację, zza drzwi dobiegło cichutkie stukanie, gdy się delikatnie otworzyły, stanęła w nich mała postać trzymająca się klamki.

— Co to za dziecko...?

— To podopieczny Laury.

— Jaki znów podopieczny?!

— Zapomniałem ci pow...

— Psepraszam bardzo — wtrąciło dziecko — Cy wie pan może, gdzie jest Laura? Wsędzie jej sukam, ale nie mogę znaleźć i chyba się zgubiłem, a jestem już taki głodny.

— No gratuluję! Niedługo przygarniesz tutaj całą ulicę — oburzyła się pani domu i wychodząc z gabinetu, trzasnęła drzwiami.

— Cy ta pani też jest głodna?

— Nie, dzisiaj ma po prostu zły humor chodź, pójdziemy coś zjeść.

Thomas wziął chłopca na ręce i udał się do kuchni, gdzie siedziała pilna uczennica, z nosem utkwionym w książce, starając się zapamiętać wszystkie tajniki gotowania.

— Oo wstałeś już...

Sześciolatek szybko wskoczył na kolana swej przyjaciółki.

— Gdy się obudziłem to cię nie było więc postanowiłem cię posukać, ale w tym domu się zgubiłem.

— Duży prawda...

— On w nicym nie psypomina nasej chatki.

— Przyprowdziłem go tutaj, ponieważ jest głodny wiec, jeżeli cokolwiek już ci utkwilo w głowie z tej książki, to masz mu podać obiad, zrozumiano?!

— Łacha ha, ha, bardzo śmieszne.

— I nie pyskuj bo cię zwolnię.

Thomas już w niczym nie zamierzał pobłażać Laurze ani nabierać się na łzy biednej sierotki. Wiedział że teraz szala leżała po jego stronie.

Rozdział 18

Minęło kilka spokojnych dni, nowi mieszkańcy rezydencji zdążyli się już zaaklimatyzować i zaprzyjaźnić z pozostałą służbą. Obowiązków było sporo. Sprzątanie pokoi, odkurzanie i pomaganie w kuchni. O dziwo Laura spokojnie ze wszystkim dawała sobie radę i wcale nie narzekała. Pewnie to dlatego, że zaznała już smaku nieco innego życia. Nie była już tak rozkapryszona a więc nareszcie stała się wzorowym pracownikiem. Całe szczęście, że łaskawy los postanowił zwrócić uwagę na tę samolubną dziewczynę i dać jej szansę poprawy.

Zbliżało się popołudnie. W odwiedzinach do Thomasa jak zazwyczaj to bywało, wpadł Bony Miranda, jego odwieczny przyjaciel służący zawsze dobrą radą.

Czekając w salonie pozwolił sobie na odrobinę whisky, stojące na szklanym barku.

— To się nazywa życie bogacza, sam luksus — stwierdził z dumą.

— Ty masz pojęcie, ile ten luksus kosztuje? — odezwał się Thomas, schodząc ze schodów.

— Stary nieważne ile kosztuje, ważne jak smakuje. Masz teraz tyle kasy, że możesz sobie pozwolić na całą cysternę.

— Gdybym chciał żyć tak jak ty, na pewno już bym nic nie miał, zostaw ten kieliszek i siadaj na kanapie, mam dla ciebie coś lepszego.

— To ta mająca mnie zaskoczyć niespodzianka, o której wspominałeś przez telefon?

— Tak.

Thomas wziął do ręki mały dzwoneczek, już chciał nim potrząsnąć i zawołać lokaja, ale ten jak zwykle był pierwszy.

— Tak proszę pana?

Fermin był dosyć nietypowym majordomusem, nie tyle chodziło o wygląd co o charakter. Ten trochę dziwny, a zarazem śmieszny człowiek znany był z tego, że zawsze szybko chodził, w godzinach szczytu nawet zdarzało mu się biegać. Jego długie i wiecznie zaplątane nogi pozwalały na to, aby ten nigdy i nigdzie się nie spóźniał.

— O już jesteś? Jak ty to robisz, że nigdy nie muszę cię nawet wołać, a ty już jesteś na miejscu...

— Wie pan, że ja zawsze jestem do pańskich usług.

— W takim razie powiedz tej nowej służącej, żeby przyniosła nam dwie kawy, tylko tym razem zaparż je osobiście.

— Już się robi.

— Zaraz zobaczysz moją nową pomoc domową.

— Nie rozumiem, co takiego ciekawego może być w służącej, niech zgadnę, pewnie to jakaś czarownica...

— Lepiej, popatrz...

Po chwili do salonu weszła Laura z dwiema filiżankami kawy, wprawiając Bonego w osłupienie. Pewnie w tym salonie prędzej by się spodziewał diabła z gromnicą niż tej dziewczyny.

— Przyniosłam panu...

— Tak wiem, pamiętasz chyba mojego przyjaciela?

— Oczywiście.

— On jest naszym stałym gościem i prawie członkiem rodziny więc zapamiętaj sobie, że masz go traktować z należytych szacunkiem, zrozumiano...?!

— Tak jest.

— A i jeszcze jedno, dzisiaj przyjedzie moja dziewczyna, spędzi u nas kilka dni więc przygotuj dla niej sypialnię, Fermin pokaże ci którą. To wszystko, możesz odejść.

Pokojówka odbąkując coś pod nosem, wyszła z salonu naburmuszona bardziej niż burak.

— Skąd ty ją wytrzasnąłeś? Myślałem, że słuch dawno o niej zaginął.

— Spotkałem ją na ulicy, jak myła samochody, wyglądała jak obdartus, więc postanowiłem dać jej szansę.

— Kto by pomyślał...ale stary, teraz możesz się wreszcie na niej odegrać.

— Już to zrobiłem, przyjmując ją tu.

— Nie, mówię o czymś innym.

— Pamiętasz chyba, jak cię potraktowała...

Teraz ty zrób to samo, uwiedź ją a potem pożegnaj.

— Myślisz...?

— Pewnie, niech wie co to znaczy.

— A jak Oriana się dowie?

— Nie dowie się, niby kto miałby jej powiedzieć? Przyjedzie, wyjedzie a ty masz drogę wolną.

— Hmm...masz rację, wtedy mnie odrzuciła bo byłem biedny, ale teraz wszystko się zmieniło. Jestem pewien, że nie przepuści takiej okazji aby znów poczuć smak pieniędzy.

Na początek zacznę być dla niej miły, a potem kupię jakiś drobiazg...

Po południu Laura zabrała się za przygotowanie pokoju, w którym na kilka dni miała zatrzymać się niejaka Oriana, a ponieważ Elvis się troszeczkę nudził, postanowił dotrzymać jej towarzystwa.

— Kto tutaj będzie mieszkać? — spytał wchodząc do pomieszczenia.

— Tutaj będzie spać narzeczona naszego szefa.

— Jak to? Pseciez on nie ma nazeconej...

- Ale na pewno niedługo się zaręczy.
- To ja go nie będę lubił.
- Dlaczego, przecież nie znasz tej pani.
- Ale ja bym chciał... ja mu powiem żeby się ożenił z tobą.

Laura jakby trochę poczerwieniała, ale nie zwracała sobie głowy głębszym myśleniem na ten temat, ponieważ miała zbyt dużo pracy więc zaraz zabrała się za ścieranie kurzu z półek, natomiast ten urwis nie mając co ze sobą zrobić, wdrapał się na miękkie łóżko, po którym wysoko się skakało.

- Nie skacz po czyimś łóżku to nie ładnie.
- Mm... a posiedzieć mogę?
- Możesz.

Widząc, że podopieczna sprzątała, chłopiec zaczął się znów nudzić, więc korzystając z chwili nieuwagi wyciągnął z kieszeni zabawkę tarantulę, jaką dostał od Thomasa w prezencie.

Wsunął ją pod kołdrę i cichutko zachichotał się sam do siebie, kładąc się w swoim maleńkim duchu na boki.

Do rezydencji własnym samochodem przyjechała panna Mercado. Szczerze mówiąc Laura była strasznie ciekawa kobiety, która ośmieliła się złowić jej byłego szofera, więc spoglądała na nią stojąc przy wejściu do salonu, ale ta elegancka dama wcale nie zrobiła na niej wrażenia, była milionerka już kiedyś знаła kogoś takiego i wiedziała, że tacy ludzie żyli tylko dla pieniędzy. Na spotkanie swojej dziewczynie wyszedł Thomas ku zgryzocie swej pokojówki, potem oboje udali się na górę, ponieważ Oriana chciała przywitać się z przyszłą teściową. Walizkę, którą przywiozła ze sobą zostawiła w salonie, to służba miała się nią zająć, ale na ich nieszczęście pierwszy był Elvis, który właśnie podśpiewując przechadzał się koło salonu. Zwykle był bardzo ciekawski, więc postanowił zajrzeć do środka, chociaż Laura tyle razy powtarzała mu, że nie wolno mu było ruszać cudzych rzeczy, ale w końcu nie codziennie trafia się na skarb, który mógł być tam ukryty. Więc zapadła decyzja aby ją otworzyć. Co prawda skarbu tam nie było, ale za to w środku znajdowały się eleganckie sukienki oraz kosmetyki. Więc aniołek z różkami rozejrzał się dookoła...

— Nikogo tutaj niema, trosecke się pobawię — pomyślał. Gdy Laura uporała się już ze swoimi obowiązkami, postanowiła odszukać urwisa, który jak zwykle gdzieś przepadł, ale widząc go w salonie po prostu się przeraziła. Ten huncwot miał na sobie jakąś sukienkę, trzy pary naszyjników a na głowie krzywo włożony kapelusz, w dodatku usta miał całe wymazane czerwoną szminką a na nodze jedną złotą szpilkę.

- Zobac ładnie wyglądam?
- Matko kochana co ty wyprawiasz! Zdejmuj to wszystko, zanim ktoś zobaczy! Prędko! Nie powinieneś ruszać tych rzeczy, nie są twoje.

Służąca chciała schować wszystko z powrotem, kiedy ze schodów zaczęła schodzić Oriana z Thomasem. Ten już miał zamiar uderzyć śmiechem, ale widząc surową minę swojej dziewczyny zaraz się powstrzymał.

— Ty mały złodzieju! — krzyknęła jęzsa szarpiąc dziecko za rękę.

— Zostaw go! — wtrąciła Laura.

— Kolejna złodziejka się odezwała! Kochanie widziałeś... trzeba stąd wyrzucić tych prostaków!

Zdenerwowana pokojówka nie czekała na oklaski, lecz odwinęła dłoń i uderzyła te pyską babę w twarz.

— Nikt nas nie będzie nazywać złodziejami!

— Widziałeś ją! No zrób coś!

Chłopak już miał ukarać swą podwładną, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że wtedy nie zdobędzie jej zaufania i nici z jego planu, więc zachował obojętność.

— O co tyle rabanu, przecież to tylko dziecko.

— Ale ona przed chwilą mnie uderzyła!

— Oj... zaraz uderzyła, może niechący — przebiegły Romero dla uiszczenia swego planu wołał zachować się bezstronnie.

— Jak to niechący! W dodatku ten gówniarz zmarnował moją szminkę, jeszcze ci mało...? — zdenerwowana kobieta tupnęła nogą i pobięła wściekła na górę wyżalić się przyszłej teściowej, oczywiście Thomas podążył za swoją ukochaną, przy okazji potykając się na schodach.

— Cukierczku zaczekaj...

— Oni nadają się do cyrku, nie sądzisz Elvisie...?

— Aha...

— Mój drogi, nie myśl że ci się upiecze, postąpiłeś bardzo nie ładnie. Chłopiec został za karę zaprowadzony za jedno ucho do kuchni. Wszystkie brudne naczynia w zlewie należały do niego. Eva słysząc, co zrobił ten łobuziak, miała niezły ubaw.

— Wreszcie ktoś pokazał tej paniusi, kto tu rządzi.

W sypialni na górze Oriana właśnie zwierzała się Lourdes z całego zamieszania, wycierając oczy chusteczką. Najbardziej nie mogła znieść tego, że Thomas w ogóle nie zareagował na to, że uderzyła ją zwykła służąca.

— Tak... mój syn miał do niej słabość, myślałam że po tym co się stało już mu przeszło ale nie...

— Jak to słabość? Chcesz powiedzieć, że oni się znali wcześniej...?

— Niestety tak moja droga.

— Ale skąd?

— Posłuchaj, ta dziewczyna była córką Monroyów.

— Co takiego...?! Tych samych, którzy zginęli?!

— Tak dokładnie tych.

— Ale dlaczego nie przejęła majątku rodziców? Kto jest nowym właścicielem firmy?

— ...mój były mąż.

— Jak to pani były mąż?

— Ja też tego nie rozumiem, zanim stała się ta straszna tragedia, widziałam go w rezydencji rozmawiającego z Don Valentinem, podejrzewam że w jakiś sposób musiał go omamić i co zresztą niedziwne oszukać.

Oriana była zaskoczona tym, czego się dowiedziała i powoli rozumiała, kim dokładnie była nowa służąca spotkana na dole, zorientowała się również że mogła być ona dużym zagrożeniem w drodze na jej szczyt. Przecież ta lisica sama była biedną dziewczyną z przedmieścia, ale ratował ją spryt i przebiegłość, dlatego miałyby pozwolić komuś takiemu odebrać sobie to, co już zdobyła? O na pewno nie, więc postanowiła bacznie obserwować sytuację. Wreszcie wieczorem, gdy już całkowicie ochłonęła ze złości, postanowiła położyć się spać, ponieważ strasznie rozboleła ją głowa. Na Thomasa wciąż jednak była obrażona z powodu jego obojętnego zachowania, więc w ogóle nie miała ochoty wchodzić do jego pokoju, ale gdy tylko przypomniała sobie, że przez swój głupi kaprys mogłaby stracić jego i cały przyszły majątek, ugięła się i jednak przeprosiła za swoje nietaktowne zachowanie.

Kiedy znów wróciła do swej sypialni, trzasnęła drzwiami i usiadła na łóżku zmęczona.

Gdy się przebrała w swoją piżamę chciała się położyć, ale zamiast tego była zmuszona wybiec na korytarz... znów zaczęła wrzeszczeć jak szalona.

— Pająk! pająk!

Po kilku sekundach ze swojego pokoju wyskoczył przerażony Thomas myśląc że stało się coś poważnego, ale widząc na pościeli pluszowego pająka tylko się roześmiał.

— Z czego się cieszysz! Zabierz to stworzenie stąd!

— Przestań histeryzować, to tylko zabawka którą dałem w prezencie temu małemu chłopcu, którego dzisiaj skrzyczałaś na dole.

— Zabawka? Ledwo przyjechałam, a ten gówniarz już chce mnie doprowadzić do zawału! Jestem pewna, że zrobił to celowo.

— Uspokój się ona na pewno wypadła mu z kieszeni, podczas gdy siedział sobie z Laurą, która przygotowywała twoją sypialnię.

Cała ta awantura pewnie nie miałaby końca, gdyby nie spokój i opanowanie rozsądnego młodzieńca, który nie rozwijając dalej tematu ucałował Oriane w czoło i pożegnał na dobranoc.

Rankiem na prośbę Fermina Laura zaczęła swój dzień od porządkowania ogrodu Romerów, który był trochę w nieładzie. Trzeba było przyciąć kwiaty, trawę

i zgrabić stare opadnięte liście. Ogród ten był dosyć spory, więc panna Monroy zaraz wzięła się do pracy, ale żeby jej nie było zbyt smutno samej, Elvis postanowił umilić jej czas swoim towarzystwem śpiewając kawałki Presleya. Jak na takie małe dziecko nawet ładnie mu szło, potrafił czasem wyskoczyć z kilku nut, ale i tak było nieźle.

Była dama w dzieciństwie nigdy nie próbowała się nawet zająknąć, dlatego spoglądając na swoje dawne życie przyznała się, że była jednak strasznie nudna. Sama sobie się dziwiła, jak ci rodzice wytrzymywali z takim nudnym dzieckiem. Przecież gdyby swojej matce dała jeden powód więcej do uśmiechu, korona by jej z głowy nie spadła. Niestety niektórych rzeczy nie dało się już nadrobić, więc do melodii Elvise Laura płaszała z grabkami. Nigdy nie sądziła, że takie zwykłe grabki ogrodowe mogą być niezłym partnerem do tańca, w dodatku można było uniknąć efektu podeptanych stóp.

Gdy ten rozhulał się w najlepsze, jego partnerka odrywając się na chwilę od rzeczywistości, stanęła z utkwionym wzrokiem w auto, którym jej były szofer wraz z dziewczyną gdzieś się wybierali.

Roztargniona marzycielka nagle posmutniała, ponieważ zaczęła żałować tego, jak go potraktowała, on teraz nawet na nią nie spojrział. Gdyby mogła odwrócić czas, na pewno by go nie upokorzyła, ale na to także było już za późno. Wpatrując się tak jeszcze trochę w odjeżdżający samochód pomyślała sobie, czyby było go przeprosić...szczerze mówiąc, trochę obawiała się odrzucenia, więc odłożyła tę myśl na później.

Thomas zabrał swą wybrankę do eleganckiej restauracji, ponieważ uznał, że ostatnio trochę ją zaniedbywał, więc kolacja we dwoje to świetny pomysł na spędzenie miłych chwil razem. Popijając „Szatą di pap” Oriana przez całe spotkanie miała nadzieję, że za chwilę stanie się narzeczoną tego bogatego przystojniaka, który przed nią siedział. Co rusz gdy ten sięgał ręką do kieszeni a to po telefon a to po chusteczkę, ona już myślała że to ta szczęśliwa chwila. Oh ci mężczyźni... zamiast brać byka za rogi, temu kawalerowi zebrało się teraz na czułe słówka.

— Na co komu te amory, gadka szmatka... — pomyślała znudzona panna

W dodatku Thomas po chwili czułych słówek, zaczynał gadać o pracy, czego ta nie znosiła, ponieważ była na nią uczulona, zawsze wołała szybkie pieniądze nieważne za jaką cenę. Gdy tak słuchała tej paplaniny swojego jeszcze na jej nieszczęście nie narzeczonego, już miała rzucić chusteczką o stół i wyjść, ale właśnie donieśli kolejną butelkę wina, która przecież nie mogło się zmarnować. Więc dalej słuchając czulej gadaniny, utopiła żal w kilku kieliszkach.

Tymczasem w rezydencji dzień przebiegał spokojnie. Każdy miał coś do roboty oprócz Elvise, który jak zawsze potwornie się nudził, ponieważ jego przyjaciółka poszła po zakupy, a reszta była zajęta, więc zlitował się nad nim

Fermin, który przy okazji postanowił mu wyjaśnić zasady lokajowania a przy tym wykształcić kolejne przyszłe pokolenie kamerdynerów. Mały był starannym uczniem i słuchał bardzo uważnie tego, jak prawidłowo otwierać i zamykać drzwi, przy czym od czasu do czasu zdarzało mu się ziewnąć. Może rozumiałby to wszystko lepiej, gdyby majordomus nie mówił z prędkością błyskawicy.

— A więc młody człowieku słuchaj uważnie i nie ziewaj... bo jeżeli uśniesz, stojąc przed drzwiami, to gość nigdy nie wejdzie do środka, a co za tym idzie...

— Tak, tak, wiem dziabną mi po premii.

— Nie! Nie! Nie! Młodzieńcze...nie możemy wyrażać się w ten sposób. Należy powiedzieć, odejmą środki pieniężne. A więc co robimy, gdy ktoś puka...?

— Gzecznie otwieramy i witamy na dzień dobry.

— Tak jest i pamiętaj, aby żegnając kogoś, kto właśnie wychodzi, nigdy nie przytrzasnąć drzwiami... o tak... — I właśnie w tym momencie Fermin o mało sam nie zmiażdżył nosa kobiecie, która przyniosła jakiś list do państwa a konkretnie do Doni Lourdes. Zapewne znów był to list, a raczej zaproszenie od dam z wyższych sfer, które po raz kolejny urządziły jakieś przyjęcie. Teraz uznały, że ta kobieta znajdująca się już na ich poziomie społecznym, mogłaby brylować w tym bogatym towarzystwie, lecz ona jednak z doświadczeń poprzedniego życia wolała unikać takich przyjaciółek oraz ich drogocennych porad na temat radzenia sobie w kolejce po ostatnie markowe buty.

Podczas gdy Fermin doszkałał młodego ucznia, na górze w pokoju Oriany sprzątała Eva, która zmieniła już pościel na łóżku, wymyła prysznic i właśnie miała się brać za usuwanie kurzu z biurka, kiedy obok niego w koszu natknęła się na pustą butelkę po whisky. Wyciągnęła ją, aby się lepiej przypatrzeć i z niedowierzania aż pokiwała głową.

— Wiedziałam, że z nią coś jest nie tak, w dodatku nie zostawiła nawet kropelki — Pomyślała pokojówka i gdy już skończyła porządki zaraz zeszła na dół, aby wyjawic tę nowinę koleżance wracającej z zakupami.

— A to ci przyszła pani domu — Roześmiała się. Resztę dnia służba miała ciekawy temat do rozmów. Gdy był już późny wieczór, wszyscy położyli się spać z wyjątkiem Laury, która po kolacji postanowiła jeszcze pozmywać naczynia, aby raniem mieć mniej obowiązków. Gdy już prawie kończyła, do na wpół oświetlonej kuchni wszedł Thomas, aby napić się soku pomarańczowego, lecz sięgając do lodówki, pomyślał jednak, że może dobrze by było pogadać, skoro nadarzyła się okazja, ale siadając przy stole, nie bardzo wiedział, od czego zacząć, bo jednak w obecności tej blondyny o zielonych oczach, jakoś zawsze dostawał lekkiej palpacji serca, mimo iż starał się jej nienawidzić. Najbardziej obawiał się tego, że serce nie jest sługą i znów przez swoje głupie bicie mogło mu przynieść rozczarowanie.

Gdy Laura odłożyła ostatni talerz na miejsce i otarła mokre ręce o ręcznik,

postanowiła położyć się spać i wyjść z kuchni, ale Romeo zatrzymał ją, proponując sok pomarańczowy, który sam jej nawet podał. Mimo że z jednej strony czuł do niej niechęć, to z drugiej odczuwał potrzebę, aby chociaż trochę przy niej posiedzieć. Miał też okazję szybciej zrealizować swój plan podsunęty przez Bonego.

Służąca wpatrując się w swego pracodawcę i popijając jednocześnie sok, zastanawiała się o co może chodzić skoro tak nagle zebrało mu się na rozmowę.

— Może chce mi dać podwyżkę — pomyślała, ale ten wolał zacząć rozmowę od prostszych słów.

Po chwili niepewności tego co mógłby usłyszeć, spytał...

— Jak ci minął dzisiaj dzień?

— Dziękuję dobrze.

— Wyglądasz na zmęczoną...

— Tak, po całym dniu pracy jestem dosyć senna.

— Cieszę się, że wiesz już co to znaczy — oznajmił ten gamoń, który zawsze musiał w nieodpowiednim momencie wsadzić kij w mrowisko.

— Tak... teraz już wiem...

— Nie chciałem, żeby tak się stało ale sama rozumiesz, że zasłużyłaś na to, co cię spotkało. Twój stosunek do innych był nie do wybaczenia, traktowałaś ludzi jak śmieci...

— Ile razy będziesz mi jeszcze o tym przypominać...! Zdaje sobie sprawę jaka byłam ale nie masz pojęcia jak bardzo za to zapłaciłam! Tylko dzięki Elvisowi przetrwałam śmierć rodziców i rok na ulicy, ale ciebie już to nie obchodzi, kiedy wreszcie zrozumiesz, że ja się naprawdę zmieniłam?!

Laura poirytowana ciągłym gadaniem o tym, jakim to była potworem, wróciła zezłoszczona do sypialni. Thomas po prostu jej nie wierzył i miał problem z tym, aby ponownie zaufać. Jego brak potulności był spowodowany tym, że w dzieciństwie zostawił go ojciec. Ta zdrada wpłynęła na całe jego życie i nigdy nie pozwalała wchodzić do tej samej rzeki.

Rozdział 19

Gdy Thomas udał się na górę, aby położyć się spać w jego sypialni właśnie przeżyła się Oriana w satynowej czerwonej piżamie, mając na niego chrapkę. Ogłupiały mężczyzna, rzucając koszulę w kąt, szybko zapomniał o dziewczynie, z którą parę chwil wcześniej rozmawiał na dole. Właściwie nawet sam już nie pamiętał, kim ona była, już chciał dać kochance całusa, kiedy nagle... od drzwi wydobyło się ciche stukanie...

Kiedy je otworzył, do pokoju wbiegł Elvis i skacząc na łóżko, stwierdził, że nie mógłby zasnąć, nie mówiąc dobranoc swemu przyjacielowi.

— Czy Laura wie, że tutaj jesteś? — spytał Thomas.

— Tak spytałem się czy mogę do ciebie psysnąć, a ona powiedziała, że mogę. Opowies mi bajeczkę? Bo ona zawsze tak robi.

— Jasne tylko nie bardzo wiem o czym...

— Może być o zubrach.

— O czym?

— O zubrach, takich co mają duże zęby i długi ogon.

— Acha...

Gdy Elvis wysłuchał opowieści na dobranoc o swym ulubionym zwierzątku, zasnął wtulony w swego kompana, w dodatku spychając Orianą, która nieustępliwie, choć trochę próbowała wygenerować kawałek łóżka. Niestety miała do wyboru albo spać na podłodze, albo wrócić do siebie.

Rankiem, gdy Laura udała się do kuchni, zastała parę kumpli jedzących razem śniadanie, więc przez chwilę postanowiła im nie przerywać tej sielanki. Od razu dostrzegła, że ci dwaj świetnie się ze sobą dogadywali. Stojąc tak przy drzwiach, niezauważalna miała wreszcie okazję przypatrzeć się swojemu byłemu szoferowi, stwierdzając, że nie był on taki najgorszy...

Laura przez te krótką chwilę wyciągnęła wszystkie wnioski ze swojego dawnego zachowania i postanowiła wreszcie przeprosić tego chłopaka, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Miała nadzieję, że wreszcie coś zmieniłoby się między nimi, ponieważ powoli zaczęło jej zależeć na dawnym podwładnym, którego kiedyś tak nie znosiła. Zresztą on teraz wydawał jej się o wiele atrakcyjniejszy niż kiedyś, może to zasługa tego, że jej serce stopniało i wreszcie nabrało ochoty, aby zabić szczerze i bez żadnych przeszkód. Gdy pokojówka stała tak zamyślona, nawet nie zauważyła, że za jej plecami kilka sekund wcześniej pojawiła się, Oriana wpatrując się w konkurentkę podejrzliwym wzrokiem, więc wyprzedzając ją w walce o swoją drogocenną przyszłość, przysiadła się do swojego chłopaka i jego małego towarzysza, który wyraźnie jej nie polubił zresztą z wzajemnością. Orianie pozostało tylko udawać zatroskaną opiekunkę, chcąc przypodobać się przyszłemu

mężowi, ale ten nie mając już czasu, pożegnał ją i Elvisa udając się do pracy tylnym wyjściem kuchennym. Oriana znów się rozłościła, bo ostatnio nic jej się nie udawało, wszystko szło nie po jej myśli, w dodatku Elvis dziwnie się na nią patrzył, jedząc płatki z mlekiem.

— Czego się gapisz gówniarzu! — odburknęła złościca, nie mając już dłużej zamiaru udawać.

Na te okropne słowa szybko zareagowała Laura, która przypatrywała się zachowaniu tej nieznośnej baby i natychmiast stanęła w obronie swojego malca.

— Nie waż się tak do niego mówić!

— Tak? Ty mi zabronisz głupia pokojówko?!dobrze widziałam, jak gapisz się na mojego chłopaka, wydaje ci się, że znów możesz brylować na salonach, to się mylisz, zapamiętaj sobie, że twoją rolą jest zmarnieć w tym okropnym fartuchu służącej!

Laura przez moment nie odezwała się ani słowem, bo domyśliła się, że ta zmija wiedziała o jej pochodzeniu, więc wolała uniknąć konfrontacji i wyjść, ale obrażając jej honor, Oriana obraziła także honor Elvisa, który z miną niczym bomba atomowa wziął w ręce talerz z mlekiem i płatkami śniadaniowymi, których jeszcze nie dokończył i oblał nim sukienkę z najnowszej kolekcji Monnari.

— Nikt nie będzie nas obrażać ty wstrętna ropucho! Lauro, wychodzimy! — oznajmiło dziecko, znikając za drzwiami wraz ze swoją podopieczną, która oczywiście przyznała mu rację.

Czerwonej ze złości paniusi nie pozostało nic innego jak tylko się przebrać i bluzgać pod nosem.

Gdy tylko Thomas wrócił z pracy, jego dziewczyna zaraz przybiegła na skargę, lecz ten nic sobie z tego nie robił, twierdząc, że mały pewnie zrobił to niechcący, więc mając już tego dość, po dwóch dniach pobytu w rezydencji Oriana postanowiła wrócić do siebie. Młodemu Romero oczywiście odpowiadała ta decyzja i specjalnie nie starał się jej zatrzymać, ponieważ wreszcie mógł przejść do planu, który podsunął mu Bony. Gdy tylko kobieta znikła swoim samochodem za bramą on niczym gazela popędził do ogrodu, w który Laura zrywała kwiaty do małego dzbanuszka na stół. Podchodząc niepostrzeżenie, romantyk delikatnie wyciągnął z kieszeni schowaną wcześniej różę, chcąc także załagodzić sytuację z poprzedniego wieczoru, ponieważ zachował się trochę nie czule.

— Co to ma być? — zdziwiła się dziewczyna.

— To dla ciebie.

— Dla mnie? Z jakiej okazji?

— Tak po prostu, zauważyłem, że lubisz kwiaty i często spędzasz tutaj czas, więc chciałem ci jeden podarować.

— Dziękuję.

— Wiesz, mimo że nie okazałem wczoraj zbyt wielkich emocji, to jednak

przemyślałem twoje słowa i doszedłem do wniosku, że może jednak zakopalibyśmy topór wojenny, pracujesz bardzo sumiennie, jestem z ciebie zadowolony, więc nie widzę powodu, żeby się kłócić... — Thomas miał to do siebie, że potrafił wyczarować u siebie nietypowy błysk w oku, który tym razem został zauważony, ale czy taki błysk mógłby powstać ot, tak po prostu? Mimo wszystko chęć odplacenia się była o wiele większa.

— Coraz częstsze spacerunki po ogrodzie we dwoje sprawiały, że Laura coraz więcej czasu chciała spędzać ze swym pracodawcą. Pewnego popołudniowego dnia na jednym z takich spacerów Thomas poczuł się oczarowany tak bardzo przez uśmiech Lury i jej różowe usta, że już chciał ją pocałować... lecz w ostatniej chwili przypomniało mu się, co sobie obiecał. Honor nie pozwalał mu upaść tak nisko, aby ta była bogaczka znów stała się panią jego serca. Sam już nie wiedział, co było właściwe a co nie. Więc szybko udał, że nic się nie stało i z lekkim zawrotem głowy oraz gorączką ponad stan udał się do swego gabinetu zająć się pracą, co było w takiej sytuacji najbardziej pożyteczne, aby nieogarnięte myśli wreszcie dały mu spokój.

Biedna służąca... minęło kilka dni, a ona wciąż nie mogła opędzić się od głosu, które wypełniało jej serce i rozum. Ciągłe chodziła jakaś taka rozanielona, z głową w chmurach. Raz nawet uderzyła nią w ścianę, ponieważ zapatrzyła się na swego szefa kąpiącego się w basenie... który rozpalając serce, postanowił trochę jej unikać.

W końcu po trzech nabitych guzach na czole Laura miała już dość tej mordęgi i przysiadając na swym łóżku w sypialni, postanowiła raz na zawsze z pomocą swego małego spowiednika, odpowiedzieć sobie na pytanie, co ją tak naprawdę dręczyło...co sprawiało, że nie mogła zasnąć...

— A więc...mas dwa guzy na kole tak? — przeypytywał ją mały Sherlock Holmes.

— Trzy, po prostu nie zauważyłam ściany.

— Gdzie wtedy patsyłaś?

— ...a jak myślisz...

— Mas zawroty głowy?

— Jak cholera.

— Mm... mówis ze nie jes i nie śpis od kilku dni...?

— Może to grypa, nigdy się tak nie czułam...

— Moja droga wniosek jest jeden... ty się zakochałaś.

— A ty skąd to możesz wiedzieć?

— Pamiętasz mojego kumpla Romea?

— Tego, którego tego spotkaliśmy na festynie pomidora...

— Tak właśnie tego, on ciągle chodził z guzami na kole bo ciągle się zakochiwał, casami się tez zdazało ze chodził z cerwoną twazą, ale to były

wyjatkowe sytuacje, gdy dopuszczał się zdrad i romansował jednocześnie z Marry Ane i Florensią, to jasne że one musiały się dowiedzieć, osobiście ja też bym mu nie wybaczył ale to ocywiste że wsypał go ten zdrajca Harold.

— W takim razie powiedz mi, co ja mam zrobić, przecież Thomas ma dziewczynę...

— Hmm i tu mamy problem... — zadumał się Elvis, siadając na łóżku obok nieszczęsnej trzpiotki, która rzucając się plecami na kołdrę stwierdziła że dopadło ją najpiękniejsze uczucie na świecie.

Rozdział 20

Laura właśnie wchodziła po schodach na górę, aby posprzątać, gdy właśnie mijała się na nich, jak mówiła sama ze swoją drugą połówką, która na jej widok zaczęła się dziko uśmiechać. Thomas był w siódmym niebie, bo jego plan nabierał coraz szybszego tempa. Teraz wystarczyło tylko puścić przelotne oczko, a kiedy nadejdzie czas, pokazać tej dziewczynie gdzie jej miejsce tak jak zrobiła to ona, lecz pan psycholog nie zdawał sobie sprawy, że zawrócił jej w głowie na dobre i na złe. Cały czas był w przekonaniu, że mimo iż mogła coś do niego poczuć to jej chęć zysku i ponownego znalezienia się w wyższych sferach była większa. Thomas tego dnia szykował się na spotkanie z Orianą, z którą umówił się na miście, jeszcze tylko ostatnie poprawki marynarki w lustrze na dole i... zadzwonił dzwonek do drzwi.

— Fermin otwórz, proszę! Fermin...gdzie on się podział, kto to może być...

Gdy w końcu właściciel sam się pofatygował, aby otworzyć drzwi, zniecała na szyję rzuciła mu się młodziutka dama w kolorowej, krótkiej sukience z ciemnymi kręconymi włosami niczym sprężyny. Nieznajoma, ściskając go mocno, o mało nie urwała mu głowy.

— Przepraszam, kim pani jest? Proszę mnie puścić...

— Witaj kochany braciszku! Nareszcie cię znalazłam.

— Jak? Ale że kim...?

— Mam na imię Amelia, jestem twoją młodszą siostrą, córką Baldura Romero.

Thomas przez chwilę stanął jak osłupiały, ponieważ nie za bardzo wiedział co odpowiedzieć. Przez większość życia nie miał z tym człowiekiem żadnego kontaktu, a tu nagle z podziemi wydobyła się jego siostra.

— Przepraszam bardzo, bo chyba nie wszystkim rozumiem...może wejdiesz do środka, na spokojnie sobie wszystko wyjaśnimy.

Dziewczyna, wchodząc za drzwi, zaczęła się dziwnie rozglądać dokoła, wydawała się trochę onieśmielona i zdezorientowana.

— To jasne, że musisz być zaskoczony, w końcu nie miałeś o mnie pojęcia, ale ja byłam ciekawa, jak wyglądasz, gdzie mieszkasz i czym się...

— Zaraz, zaraz, powoli. Po pierwsze powiedz mi, ile masz lat i kim jest twoja matka...

— Mam osiemnaście lat no prawie dziewiętnaście. Moja matka zmarła trzy miesiące temu na raka.

— Bardzo mi przykro.

— Kiedy umierała, wyjawiała mi kim był mój ojciec i że miał jeszcze jednego syna właśnie ciebie ukochany braciszku...

— Tak, tak, ale to znaczy że ty nie znasz swojego...naszego ojca?

— Nigdy go nie poznałam, ale słyszałam, że to straszna świnia więc to pewnie nic straconego.

— Tak to akurat prawda.

— Gdy moja matka go poznała była sekretarką w jego biurze, dała się nabrać na jego czule słówka i tak urodziłam się ja, sam rozumiesz...ale gdy kochany tatuś dowiedział się o ciąży, nie chciał mieć z nią już nic wspólnego, a teraz gdy zmarła zostałam sama, dlatego postanowiłam cię odnaleźć.

Thomas jeszcze przez kilka chwil przyglądał się nowo poznanej Amelii, która wydawała się lekko zagubiona, lecz szczerza aż w końcu dotarło do niego, że to wszystko prawda. Było jasne, że ten łajdak nigdy nie poczuwał się do odpowiedzialności za los swoich dzieci. Równie dobrze można się było spodziewać, że w drzwiach rezydencji mogłoby stanąć jeszcze kilkoro rodzeństwa.

— A więc Amelio, masz piękne imię... i wiesz, jak tak na ciebie patrzę, to sądzę nawet, że jesteśmy do siebie w pewnym stopniu podobni.

— Dziękuję.

— Może coś zjesz? Bo prawdę mówiąc, jesteś strasznie wychudzona...

— Nie chce sprawiać kłopotu.

— Nie, nie, usiądź na kanapie, ja ci zaraz przyniosę z kuchni jakąś kanapkę.

Gdy Thomas popędził do kuchni, Amelia chciała odpocząć, ale wyraźnie coś jej doskwierało, mimo że silnie starała się to ukryć. Nagle posępniała i z brązowej małej torebki przywieszanej przez pól na pasku wyciągnęła dwie białe tabletki, połknęła je tak szybko, jak mogła. Gdy po kilku sekundach poczuła ulgę, usiadła czekając na posiłek, który obiecał jej nowo poznany brat. Gdy zjawił się z powrotem z kanapką w dłoni, zaczął wypytywać dalej. Amelia, jedząc bułkę z wielkim apetytem, wyjaśniła, że mieszkała niedaleko rezydencji na jednej z ulic,

— Gdy moja matka odeszła zabrano mi dom, ponieważ nie miałam z czego zapłacić czynszu, dlatego nie mam gdzie się podziać. Wszędzie szukałam pracy, ale w dzisiejszych czasach to takie trudne.

— Tak świetnie cię rozumiem, też byłem kiedyś w takiej sytuacji dlatego będzie mi bardzo miło, jeżeli zamieszkas ze mną, oczywiście, jeżeli tylko zechcesz.

— Amelia szybko połknęła ostatni kęs kanaki i znów silnie uściskała Thomasa, który nie zdążył zauważyć, że jej oczy znów wyraźnie posmutniały.

— He, he, wiesz siostrzyczko, jak na taką chudzinę masz mocny uścisk...

— Co to ma znaczyć...? Kim jest ta dziewczyna? — zdziwiła się Lourdes, która właśnie weszła do salonu.

— Mamo chciałbym, abyś poznała Amelię, drugie porzucone dziecko Baldura Romero.

Dziewczyna już chciała wyciągnąć rękę na przywitanie, ale pani domu na

dźwięk imienia swojego byłego męża zachowała stanowczość.

— Thomasie co ty wygadujesz...skąd wiesz, czy to nie jakaś perfidna oszustka...

Gdy syn próbował wytłumaczyć matce całą sytuację, z góry wszystkiemu przysłuchiwała się Laura, którą w pechowy sposób znów ominęło Imię ojca tych dwojga. Widząc niechęć Lourdes szybko zeszła ze schodów i zaproponowała, że przez chwilę zajmie się Amelią, prowadząc ją do kuchni, dała czas Thomasowi, aby mógł spokojnie porozmawiać z matką, która po wysłuchaniu całej historii jednak ustąpiła w swej zatwardziałości i pozwoliła zostać na jakiś czas temu nowo poznanemu podlotkowi w ich domu. Gdy dwie panie weszły do kuchni, po krótkiej chwili od razu złapały ze sobą świetny kontakt. Zresztą nie mogło być inaczej ponieważ Amelia, która nagle zjawiła się w życiu domowników taka właśnie była, radosna i pełna życia. Szybko można było zauważyć, że wokół niej roztaczał się blask, który płynął z jej oczu. Oczywiście Elvisowi nowo poznana przyjaciółka od razu przypadła do gustu, nie to, co ta wstrętna Oriana, która była wpatrzona tylko w siebie i zawsze wszystkich obrażała.

Rozdział 21

Kiedy, Laura szła z tacą przez długi korytarz, na górnym piętrze rezydencji, ze swojego pokoju wyszedł Thomas, zatrzymując ją swoją ręką.

— Czyż byś zapomniała się dziś ze mną przywitać?

— Nie, po prostu od samego rana jestem ciągle zajęta.

— Widziałem cię dzisiaj w swoich snach

— Tak...?

— Wyglądałaś ślicznie, zupełnie tak jak teraz — Thomas przybliżył się do różowego policzka Laury, który zaraz poczerwieniał. Rozanielona dziewczyna nie mówiąc już ani słowa pognąła do swoich zajęć. Mimo że chłopakowi zadrzało serce, nie dopuścił go do głosu. Duma nadal wydawała się pierwsza.

Kiedy służąca zniknęła na końcu korytarza, z pokoju kumpla wynurzył się Miranda, dla którego miał być to pokaz gry aktorskiej, ale patrząc na zamyślonego Thomasa, który utkwiał swój wzrok w martwym punkcie, jakby przez chwilę zapomniał oddychać, Bony zaczął podejrzewać, że jego przyjaciel nigdy nie zapomniał o byłej sympatii.

— Stary daj sobie spokoju z tą głupią zemstą, przecież widzę, że nie możesz żyć bez tej dziewczyny.

— Co ty gadasz...! Zapomniałeś, jak mnie potraktowała?! Zresztą sam mi podsunąłeś ten pomysł, a teraz nagle udajesz świętego...?

— A jeżeli ona naprawdę się zmieniła? Gdy zranisz jej uczucia, może dla was już nie być powrotu.

— Nic mnie to nie obchodzi, może i coś do mnie poczuła, ale nadal liczy na moje pieniądze.

Ten nieugięty w swym postanowieniu osioł nie miał pojęcia, jak bardzo się mylił...

Gdy wszyscy ruszyli za swymi sprawami, a rezydencja opustoszała, dwie niesforne służące czyściły basen, lecz szło im to dosyć mizernie. W dodatku Elvis też siedział z posępną miną, narzekając coś pod nosem.

— Czemu raz w życiu nie możemy dostać porządnego wolnego, nic tylko od świtu do nocy harujemy i harujemy. To takie niesprawiedliwe... — marudziła Eva.

— Psy najmniej Laura coś wie o życiu bogacza a my...? — wypalił Elvis

Służka, spojrzała na niego ze srogą miną, ale Eva już zdążyła zadać pytanie ze zdziwienia.

— Jak to, ale gdzie, kiedy? Nie wspominałaś, że byłaś bogata...

— Bo nie byłam, pracowałam w domu u jednej staruszki, która była bardzo miła i od czasu do czasu pozwalała mi korzystać z ich basenu.

— Aaa... wiecie... wpadłam na świetny pomysł. Rzucam te robotę —

oznajmiła ze śmiechem na ustach Eva, ciskając drucianym drapakiem o basen.

— Skoro jest taki piękny dzień, ja także chcę odpocząć, dlatego mam zamiar się wylegiwać na tym słoneczku, dopóki nie wrócą właściciele.

— Tak jest! Ja także to popieram — dodał Elvis i po kilku chwilach cała trójka spędzała czas, opalając się na trawie w strojach kąpielowych dla lepszego efektu łapania słoneczka.

— To jest życie, całkiem jak za dawnych lat — oznajmiła Laura.

— Ale skąd wytsasnełaś te okulary?

— Oriana zostawiła je w swoim pokoju, wy macie pojęcie, ile ona ma par... a poza tym, jak skończymy się opalać, zaraz je odniosę.

— Jak skończycie się opalać zaraz macie się wynieść z mojej rezydencji! — dobiegł głos z oddali. Na jego dźwięk cała trójka stanęła do pionu. Na ich nieszczęście Lourdes wróciła wcześniej, teraz była wściekła jak osa.

— Co wy sobie wyobrażacie!? czy ja wam płace za leżenie, czy za pracę?

Niestety żadne ze służących nie miało odwagi wydobyć z siebie, choć by najmniejszego dźwięku, na szczęście w porę zjawił się Thomas, który na widok Laury ubranej w bikini zrobił się lekko otumaniony. Próbował spoglądać w inną stronę, ale jakoś trudno mu było oderwać wzrok.

— Co się tutaj dzieje? Dlaczego na nich krzyczysz? — spytał.

— Nie widzisz, co one wyprawiają! Opalały się w tych skąpych strojach pod naszym domem w dodatku przy dziecku! Evo natychmiast go stąd zabierz!

Gdy pokojówka czmychnęła czym prędzej z chłopcem byle tylko nie być na widoku swojej pani, Thomas znalazł dobry wykręt ratujący sytuację.

— Mamo uspokój się, to ja im dałem pozwolenie na odpoczynek.

— Jak to ty?

— Tak to on — wtrąciła się Laura.

— Nie odzywaj się bez potrzeby!

— Przepraszam.

— Pomyślałem, że skoro nikogo przez jakiś czas nie będzie w domu, to dlaczego te piękne...mm pracowite dziewczyny miały, by nie odpocząć.

Po dziesięciu minutach sporu i silnym tłumaczeniu, matka dała za wygraną i odpuściła to niefortunne zdarzenie, które o małe nie przyprawiło ją o palpacje serca. Thomas, opuszczając ogród, jednak jeszcze nie mógł się napatrzeć na pokojówkę, która coraz bardziej przyczyniała się do jego zawrotów głowy.

W kuchni Eva cieszyła się, że jakimś cudem uniknęła poważniejszych kłopotów, ale jednocześnie było jej niesamowicie do śmiechu na myśl o minie właścicielki.

— Nie śmiej się, to nie było zbyt mądre, nie chciałbym znowu wylądować na ulicy.

— Jak to znowu?

— Miałem na myśli to, że ciągle zmienialiśmy domy.

— Aha... — tym razem jednak na chłopca padło trochę podejrzliwe spojrzenie. Skąd ona mogła wiedzieć, co ich spotkało, gdyby zaczęli opowiadać o swej przeszłości, ta informacja mogłaby się donieść do Baldura, chociaż w ich przekonaniu szanse na to były znikome, jednak woleli zachować ostrożność. Zresztą Laura nie miała zamiaru, po raz kolejny tłumaczyć się z tego, kim była, nie chciała by ją znów, kto kol wiek rozliczał z przeszłości. Gdy tylko wróciła z ogrodu, przebrała się i postanowiła udać do gabinetu, w którym siedział Thomas, rozmyślając o całej sytuacji, która się zdarzyła. Gdyby jego matka wyrzuciła niesforną czyścicielkę basenu, on nareszcie miałby święty spokój i nie dręczyłoby go sumienie, że może ta jego zemsta była niesłuszna... z drugiej strony mógłby jej już więcej nie zobaczyć, a to by było nie do zniesienia, ponieważ nieustannie chciał mieć ją ciągle przy sobie, choćby mieli się nienawidzić do końca życia.

— Puk, puk

— Proszę

O to i ona... właścicielka myśli swego szefa weszła do środka, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Thomas natychmiast zdjął nogi z biurka i jak na poważnego bogacza przystało, wstał.

— Co tutaj robisz? — zapytał.

— Przyszłam ci podziękować.

— Podziękować...? Nie myśl sobie, że zrobiłem to dla ciebie, po prostu nie chciałem, żeby Elvis znów znalazł się na ulicy, poza tym przecież niedługo idzie do szkoły, skąd wzięłabyś pieniądze na jego edukację. Zresztą, nic wielkiego się nie stało. To tylko drobny gest z mojej strony, za który oczywiście potrączę ci z pensji, ponieważ bez pytania wzięłaś nie swoją rzecz z pokoju mojej dziewczyny.

— Okulary, a tak przepraszam, zaraz odłożę je na miejsce.

— Mam nadzieję i zapamiętaj sobie, że drugiej szansy nie dostaniesz. Wiesz, że moja matka jest strasznie uparta i nie zdołam cię obronić przy twoim następnym potknięciu. Laura, słuchając paplania Thomasa, nieśmiało zbliżyła się do niego, ponieważ jego oczy tego dnia były bardziej przyciągające niż zazwyczaj.

Nim chłopak zdołał wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowa, ta pocałowała go spontanicznie, zostawiając ślad po różowym błyszczyku na jego ustach. Przez chwilę znów na niego spoglądając, obudziła się ze swego słodkiego transu i dotarło do niej, że jednak może popełniła błąd... więc nic nie mówiąc, z lekkim wstydem wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Thomas, zamiast zrozumieć ten gest jako dowód uczucia do niego, wolał myśleć, że Laura była w stanie zrobić wszystko byle tylko z powrotem stać się bogaczką

z Monterrey. A ten pocałunek był dla niego tego dowodem. Jego nieufny

wyraz oczu mówił sam za siebie i nie pozwalał spojrzeć na tę sprawę inaczej.

Do rezydencji po kilku dniach znów wróciła Oriana, aby mieć na oku przyszłego narzeczonego, który w dodatku ostatnio w ogóle do niej nie dzwonił.

Więc niepewna swojej przyszłości postanowiła nie wypuszczać z rąk, tego, co już trzymała. Nie darowałaby sobie, gdyby ta najlepsza partia, w której mieście podstępnie wyskoczyła pod samochód, teraz dała nogę. Cóż było się dziwić, kobiecie bez grosza, której trafiło się takie ziarno. Oriana już była pewna swej wygranej, ale nagle zauważyła, że na jej drodze do szczęścia stała głupia służąca, za którą chcąc nie chcąc Thomas ciągle wodził oczyma. Stało się to dosyć frustrujące. Te ciągle niewinne miny i ukradkowe spojrzenia wytrącały ją z równowagi. Nie była głupia, dlatego zaczęła się mocno zastanawiać, co by było, gdyby ta prostytutka ośmieliła się całkiem podeptać jej plany.

Rozdział 22

Znów zbliżał się wrzesień. Elvis za kilka dni po raz pierwszy miał iść do szkoły, więc zastanawiał się, jakie będzie to ważne wydarzenie w jego życiu, potrafił już trochę liczyć do ośmiu i pisać dlatego w nowej roli ucznia czuł się nawet pewnie. Miał nadzieję, że w szkole pozna wielu przyjaciół i przy okazji spotka starych, ale na razie zostało jeszcze trochę czasu, maluch jak zwykle nie miał co ze sobą zrobić podczas codziennego zwykłego dnia, więc postanowił porozmawiać sobie z Lourdes, ponieważ ta jakoś ciągle go unikała. Wchodząc do jej gabinetu, uprzejmie spytał, czy może trochę posiedzieć. Kobieta na początku nie była chętna, ale widząc jak ten mały, uparcie wisiał na klamce, pozwoliła mu usiąść przy swym biurku.

— Co pani pise na tej kartce?

— Pomagam mojemu synowi spisać listę gości.

— Gości? A dlaczego?

— To są sprawy dorosłych, proszę przez chwile mi nie przeszkadzaj.

Smyk jak mu kazano, siedział grzecznie, z brodą opartą na biurku i machał nogami w te i wewte. W końcu Lourdes zauważyła, że jego wzrok skupił się na czarnej, dużej teczce, którą Thomas zazwyczaj zabierał do pracy. Dziś jednak była ona wyjątkowo pusta i niepotrzebna.

— Czemu tak patrzysz na ten neseser?

Chłopiec wzruszył wstydliwie ramionami.

— No powiedz, podoba ci się?

— Aha, cy mógłbym się nią troskę pobawić?

— ... Jeżeli odniesiesz ją z powrotem, to proszę bardzo, nie sądzę, żeby mój syn miał coś przeciwko.

— Dziękuję — odpowiedział wesoło malec, zeskakując z krzeselka. Wziął aktówkę ze sobą i wyszedł z biura.

— Ach te dzieci — pokiwała głową Lourdes, która właśnie skończyła pisać coś na kartce papieru. Sięgając do półki pod biurkiem, wyjęła małe pudełko, w którym miała znajdować się pewna suma pieniędzy przeznaczona na zakupy dla niej.

Okazało się, jednak że w środku nic nie było...

— Hmm...ach to na pewno mój syn wziął je na jakąś swoją potrzebę — stwierdziła sama do siebie i odkładając pudełko z powrotem na miejsce, wyszła z biura w zamiarze udania się na górę, aby odpocząć. Okazało się, jednak że przez kolejnych kilka dni pod nieobecność domowników z rezydencji zaczęło zniknąć więcej rzeczy, których brak zaczął się rzucać w oczy. Drogi dzban na kwiaty, który stał w salonie oraz bursztynowa popielniczka przy lustrze z alkoholem były ozdobą

salonu. Czy naprawdę ktoś myślał, że tego nie da się zauważyć...? Lourdes nie wytrzymała ze złości i zaraz stwierdziła swoje fakty. Pędząc do kuchni, szarpnęła za rękę Laure, która robiąc sobie herbatę, kompletnie nie miała pojęcia, o co mogło chodzić.

— Ty złodziejko! Oddaj to, co wzięłaś!

— Przepraszam, ale co się stało? Dlaczego pani tak krzyczy?

— Nie wiesz, co się stało? Przygarnęliśmy cię pod swój dach z litości, a ty nas okradasz?

— Ja nic nie zrobiłam...

— Jak to nic, z domu znikają rzeczy, a ty jeszcze udajesz niewiniątko?!

— Ale ja przysięgam, że nic nie wzięłam

— To w takim razie kto...?!

— Niech pani zapyta złodzieja! — odpysknęła Laura ze złości i wyszła z kuchni, zostawiając za sobą w dalszym ciągu niczego niewiedzącą panią.

Trzaskając drzwiami od swego pokoju, wściekła usiadła na łóżku.

— Jeszcze brakowało tego, żeby ktoś nazwał mnie złodziejem — mamrotała do siebie.

Na szczęście jak zawsze był ktoś, kto potrafił poprawić jej humor. Z łazienki obok wyszedł Elvis z czarnymi okularami na oczach niczym chłopaki w czerni i z dużym neseserem u boku.

— Co ty wyprawiasz?

— Jak to co, niedługo idę do szkoły, muszę się dobrze przygotować, będę tam ządził.

— Ha, ha...usiądź przy mnie i posłuchaj mój mały bossie, do szkoły nie idzie się po to, aby rządzić tylko po to, aby się uczyć.

— To, kto będzie tam ządził?

— Nauczyciele, ponieważ są dorośli i mają do tego prawo, a ty będziesz miał jeszcze na to czas, gdy będziesz duży i pod warunkiem, że będziesz pilnie przykładać się do lekcji. Sam widziałeś, jak żyliśmy na ulicy, poprzez naukę masz okazję odmienić swój los.

— Myślisz że moja mama wie, że idę do szkoły?

— No jasne, że wie.

— A mój tata?

— Jestem pewna, że też o tobie myśli i stara się, aby jak najprędzej do ciebie wrócić.

Elvis to mądre dziecko więc po wysłuchaniu swojej opiekunki zrezygnował z planu, aby zostać Bossem, oprócz okularów oczywiście, w których spacerował do końca dnia, a nawet w nich spał.

Gdy już zapadła cisza nocna, cicho w salonie zjawiała się Lourdes, ponieważ nie zamierzała darować win złodziejowi. Na szklanej ławie położyła swój

drogocenny naszyjnik z pereł, a za lustrem ustawiła kamerę. Była pewna, że w ten sposób wykryje złodzieja. W końcu przecież to był jej dom i nie mogła pozwolić na to, aby ten bezczelny przestępca panoszył się pod jej dachem.

Rankiem, gdy młode służące udały się do swych zajęć, a ich pokój opustoszał, w tajemnicy nad łóżkiem Laury pojawił się Thomas, kładąc jej mały pomarańczowy kwiatek, który zerwał w ogrodzie. I chociaż cały czas tłumaczył sobie, że to tylko część planu jego zemsty to tak naprawdę odczuwał w sercu tęsknotę, której sam do końca nie rozumiał. Z jednej strony ten mały kwiatusek miał być kolejną zachętą, aby nie wypuścić z rąk gołąbka, którego się już złapało, ale z drugiej jednak oznaczał piękną miłość. Biedny chłopak tak się pogubił, że już niczego nie był pewien, mimo to brnął dalej tą drogą, która nie była właściwa.

Podczas gdy on wychodził z pokoju, jego służąca udała się z przyszłym uczniem na małe zakupy. Przecież za kilka dni miał iść do szkoły, więc trzeba było sprawić mu nowiusieńki plecak, który sam mógł sobie wybrać. Chłopiec nie zastanawiał się długo, ponieważ od razu wpadł mu w oczy uroczy tornister z wielką trąbą słonia, nic innego mu się nie podobało. Więc cóż można było zrobić temu małemu uparciuchowi, jeszcze parę zeszytów, piórniki, kilka kredek i pozostało go tylko wyprawić do szkoły. Gdy przyszły uczeń i jego opiekunka szli wolno powrotną drogą do domu, po drodze spotkali Amelię, która wyraźnie się gdzieś spieszyła, więc postanowili ją zatrzymać. Dziewczyna niechętnie stanęła do rozmowy, jednak po paru sekundach odsapnęła, aby nie wzbudzać podejrzeń.

— Dokąd się wybierasz?

— Ja... ja dokąd się wybieram tak? Mm do sklepu, jestem trochę głodna.

— Strasznie musisz być głodna, skoro tak się spieszysz — dodała z uśmiechem Laura — ale przecież Ewa mogła ci przygotować coś w kuchni.

— ... Ja czasem lubię się tak przejść, taka ładna pogoda dzisiaj, to ostatnie takie dni przed zimą, nieprawdaż... — Gdy Amelia zdążyła ledwo co do kończyć zdanie, z nienacka z rozpędu uderzył w nią przypadkowy człowiek, którego akurat ścigała policja. Uciekając tak ją popchnął, że ta upadła. Na szczęście nic jej się nie stało. Laura, podając swą rękę, pomogła jej wstać.

— Ale co to jest? — zdziwiła się, spoglądając na chodnik, na którym nagle znalazły się drogocenne perełki, w dodatku należące do Lourdes, która oskarżyła ją niewinnie dzień wcześniej.

— Skąd je masz?!

— Ja... ja nie mam pojęcia skąd one tutaj...pewnie leżały na ulicy a my ich nie zauważyłyśmy wcześniej.

— Nie gadaj bzdur! Dobrze wiesz czyj to naszyjnik! Jeżeli mi nie powiesz, dlaczego je wzięłaś, to zaraz zawołam policję...

— Nie, nie czekaj... zaraz ci wyjaśnię...

Rozdział 23

Cała trójka usiadła w jednej z kafejek. Laura z niecierpliwością czekała na porządne wyjaśnienie tej haniebnej sytuacji. Taka miła i śliczna dziewczyna nagle miałyby okazać się złodziejką? Wydawało się to nie do uwierzenia, dlatego jej wyjaśnienia były jedyną szansą na obronę.

Elvis także się przysłuchiwał i przyglądał, chociaż się nie wtrącał, rozumiał, że ta sprawa przekraczała jego możliwości małego gaduły i tylko dorośli mieli prawo w nią ingerować, więc zajął się, piciem czekolady kupionej w kafejce.

— No słucham...co było tak ważnego, że posunęłaś się do kradzieży...

— Widzisz, ja znienacka zjawiłam się w rezydencji, ponieważ...

— To, że się tam zjawiłaś, to już wiem i teraz widzę po co!

— Nie to nie tak, proszę, nie oceniał mnie pochopnie, ponieważ ta sprawa wygląda zupełnie inaczej, niż myślisz. Tak jak już mówiłam moja matka zmarła trzy miesiące temu, miała chore serce. Wtedy ja zostałam sama i nie miałabym nic przeciwko samotności, gdyby nie to, że ja także umieram...

— Słucham? Co ty wygadujesz?

— Zaraz po śmierci mojej matki wykryto u mnie guza mózgu, lekarze dają mi tylko dziesięć procent szans na wyzdrowienie pod warunkiem, że będę przyjmować leki, które są bardzo drogie. Nigdy nie byłoby mnie na nie stać, a poza tym ja nie chce umierać sama, dowiedziałam się, że gdzieś obok żyje mój brat, więc jeżeli przyszłoby mi odejść... ostatnie chwile chciałabym spędzić wśród najbliższych, nawet jeśli znamy się bardzo krótko.

— To straszne...ale dlaczego nie powiedziałaś prawdy, przecież Thomas na pewno by ci pomógł.

— Nie chciałam nie litości, poza tym głupio mi kogoś prosić o pieniądze.

— Aha i uważasz, że najlepszym sposobem jest kradzież? to nie żadne rozwiązanie. Wrócimy teraz do rezydencji, a ty wyjaśnisz wszystko, twój brat na pewno cię zrozumie, a te perły odłożymy na miejsce, i nie waż mi się więcej robić takich rzeczy, bo nikt nie zdoła cię obronić.

Kiedy dziewczyny z chłopcem wróciły do rezydencji, w salonie na Amelię czekał zawiedziony brat, z matką, która w rękę trzymała kamerę. Po kilku sekundach tymi samymi drzwiami weszło dwóch policjantów, mając zamiar pochwycić złodziejkę.

— Nie! nie! Zostawcie ją...nie wiecie, co robicie! — krzyczała Laura, broniąc winowajczyni.

— Jak to nie wiedzą! — wrzasnęła Lourdes — Ta dziewczyna nas okradała na naszych oczach, a ty jej jeszcze śmiesz bronić? Im mocniej Amelia się szarpała, tym głośniejsze krzyczała Lourdes, wytykając jej winę, aż w końcu Laura nie

wytrzymała...

— Dosyć! — krzyknęła na cały głos — dosyć... ja to sama pani wyjaśnię, ponieważ Amelia musi porozmawiać z Thomasem i to bardzo poważnie.

Po usilnych błaganiach dziewczyna została wreszcie wypuszczona z rąk policjantów i z rozczarowanym nią bratem udała się na górę do jego pokoju.

Na szczęście on nie był uparty i w małym procencie wierzył w niewinność swojej siostry, dlatego zgodził się ją wysłuchać. Tego, co jednak usłyszał, być może wolałby nie wiedzieć, ponieważ zdążył pokochać Amelię, jakby wychowywali się razem od dziecka, być może byłoby lepiej, gdyby jednak okazała się wyrafinowaną złodziejką. Thomas nie mógł i nie chciał uwierzyć, że tą śliczną i mądrą damę, która pewnego dnia rzuciła mu się w drzwiach na szyję, miałby teraz stracić. Ocierając łzy, mocno ją przytulił i obiecał zrobić wszystko, co tylko było w jego mocy, aby jej nie stracić.

— Skoro jesteśmy rodziną, przejdziemy przez to razem — dodał.

Po całym zamieszaniu, gdy emocje już trochę opadły i zbliżył się późny wieczór, jak zazwyczaj po korytarzu przechadzała się Laura, aby pogasić wszystkie światła na noc, jednak drzwi do pokoju Thomasa były lekko uchylone, więc myśląc, że chłopak już spał, po krótkim zastanowieniu postanowiła zajrzeć do środka. Ten w istocie, wydawało się, że spał więc dziewczyna usiadła na jego łóżku i chwilę się mu wpatrując, pogłaskała go delikatnie po głowie, ponieważ było jej go żal. Gdy już miała wstać i wyjść ten otworzył swe błyszczące oczy i chwycił ją za rękę.

— Czekaj, posiedź tutaj ze mną jeszcze trochę... jak sama widzisz, dzisiaj jestem w kiepskim stanie.

— Wież mi, że nikt nie chciał, aby ta sytuacja tak się zakończyła...

— A co będzie, jeżeli ją stracę...? Przecież tak nie dawno zjawiła się w moim domu, dlaczego życie chce mi ją odebrać, teraz gdy dopiero się poznaliśmy...

Laurze tak bardzo zrobiło się żal Thomasa, że objęła go z całej siły, chcąc pocieszyć. Nie bardzo wiedziała, jak miałaby mu pomóc, była w stanie tylko go przytulić.

— A tak w ogóle to, czemu zawdzięczam twoją wizytę?

— Ja...myślałam, że już śpisz, ale drzwi były uchylone, więc pomyślałam sobie, że ci podziękuję...

— Mi? dlaczego?

— Gdy dzisiaj weszłam do sypialni, na moim łóżku leżał kwiatek.

— Ach... — Thomas jak to facet zaraz postanowił wykorzystać tę dogodną sytuację.

— To nic takiego, pomyślałem, że sprawię ci tym przyjemność.

Udając niewinnego, ten czaruś siedzący na łóżku postanowił oczarować

Laurę, zbliżając swą twarz do jej zaczerwienionych policzków.

— Masz zapach tego kwiatka, który ci podarowałem... — szepnął i skierował swój wzrok na jej usta, które po chwili całował. Speszona dziewczyna, budząc się z tego pięknego snu, wybiegła z pokoju, nie zauważając za sobą Lourdes, która mocno się zastanowiła, co ta służąca robiła o tej porze w pokoju jej syna. Oczywiście z samego rana wezwała go na przesłuchanie i dała do zrozumienia, aby nie zadawał się z tą pokojówką, ponieważ jej zdaniem Laurze tylko i wyłącznie zależało na odzyskaniu pozycji majątkowej. O całej sytuacji dowiedziała się także Oriana, która jak prawie co dzień wpadała w odwiedziny. Tym razem jednak nie wytrzymała presji i natychmiast postanowiła dać nauczkę tej wścibskiej pokojówce za uwodzenie jej chłopaka. Kierując się do jej pokoju, już obmyślała sobie pod nosem, co zrobi, jak ją dopadnie w swoje ręce, ale gdy już miała naciskać klamkę do pokoju dziewczyn, nagle zatrzymała swoją rękę, ponieważ wewnątrz toczyła się jakaś rozmowa.

Pech chciał, że akurat w tej chwili Laura postanowiła wyjaśnić Evie swoje prawdziwe pochodzenie, ale jej największym błędem było to, że wspomniała o Baldurze który sądził, że ta nie żyje.

— Gdyby się dowiedział, że nie zginęłam w tym lesie, pewnie przewróciłby całe miasto do góry nogami, aby znów się mnie pozbyć — tłumaczyła nieświadoma zagrożenia.

Ten fakt wydał się dla Oriany najbardziej istotny, ponieważ teraz miała się okazję pozbyć tej niewygodnej już nie tylko dla niej służki. Postanowiła nie tracić czasu.

Baldur Romero siedząc w swoim biurze, jak zazwyczaj spędzał czas na liczeniu pieniędzy, które zdarł z kolejnego okradzionego chłystka, który dał się nabrać, w swojej obecnej rezydencji należącej kiedyś do zmarłych Monroyów, gdy właśnie zapukał lokaj.

— Proszę — odezwał się dumnie pan domu, wyjmując z ust kubańskie cygaro.

— Przepraszam najmocniej, że przeszkadzam, ale w salonie czeka jakaś kobieta. Mówiłem jej, że w tej chwili jest pan bardzo zajęty, ale ona twierdzi, że ta sprawa pana zainteresuje.

— kobieta? Kim ona jest?

— Nie przedstawiła się.

— Hmm... a to ciekawe, przyprowadź ją tutaj, dowiem się, czego chce.

Baldur wstając, szybko zebrał swoje dolary i w pośpiechu schował je do sejfu znajdującego się za obrazem, w stylu naprawdę martwej natury. Po chwili zobaczył przed sobą młodą elegancką kobietę, której jak dobrze sądził, nie miał okazji do tej pory poznać.

— Proszę...

Oriana trochę nie pewnie rozejrzała się po gabinecie i z gracją usiadła na skórzanym fotelu przy biurku.

— A więc cóż to za pilna sprawa, którą ma mi pani do powiedzenia? Tylko ostrzegam ...na bzdury nie będę tracił czasu, więc proszę mówić konkretnie.

— Spokojnie panie Romero. Ta informacja z pewnością pana zainteresuje. Postaram się nie przedłużać mojej wizyty tutaj, lecz powiem wprost. Zdaje się, że mamy wspólnego wroga, którego obydwójce staramy się pozbyć...

— Co pani plecie? Moi wrogowie już dawno pływają z rekinami — zaśmiał się zbir.

— No to chyba nie wszyscy... zdaje się, że niejaka Laura Monroy całkiem dobrze się ma i w tej chwili nieźle sobie z pana pogrywa.

Baldurowi ze zdumienia cygaro wypadło z ust.

— Tak, dobrze pan słyszy.

— Jak to...? Ona nie zginęła? Gdzie jest?! No gdzie! — morderca zaczął wrzeszczeć jak opętany, wstając od biurka.

— Spokojnie niech się pan uspokoi...

Wściekły Baldur złapał rękoma swą informatorkę i potrząsnął nią z całej siły.

— Mów gdzie ona jest, bo inaczej zaraz sama zginiesz! a jeżeli się okaże, że to głupi żart to zobaczysz, co z tobą zrobię!

— Już dobrze, proszę mnie puścić, przecież po to tutaj przyszłam. Laura Monroy mieszka teraz w domu mojego przyszłego męża... a pańskiego syna...

— Mojego syna...? Mówisz mojego syna...?

— Tak, Thomasa Romero.

Ten drań wiedział już wszystko, nie potrzebował więcej wyjaśnień. Wypędzając Oriane z powrotem za drzwi, wrócił z cygarem w ustach za swoje biurko i zaczął znów coś planować w tej swojej bandyckiej głowie. Po paru minutach krzyknął na lokaja i kazał natychmiast wezwać do siebie Edmunda, który był odpowiedzialny za to, aby pozbyć się tej dziewczyny. Po pół godziny wezwany przestępca wstawił się na dywaniku. Nim zdążył wydobyć z siebie jedno słowo, z miejsca dostał ręką w pustą szarą łepetynę, aż resztki włosów zawiąły mu do przodu. Baldur był tak wściekły, że nie dał ani jednej sekundy na wytłumaczenie takiej pomyłki. Jego wykład trwał godzinę. Chcąc zachować jeszcze jakiekolwiek względy szefa, co już graniczyło z cudem, Edmund musiał wysłuchać, jak już mu się wydawało przemowy pogrzebowej do końca z potem na czole. Był pewny, że z tej opresji już nie wyjdzie żywy, dlatego, gdyby zaistniał, choć cień szansy, postanowił sam przed sobą, odrywając się na krótką chwilę od tych wrzasków, złożyć obietnicę, której miał zamiar dotrzymać.

Rozdział 24

To był wspaniały poranek dla małego Elvisa. Właśnie zaczynał się jego pierwszy dzień szkoły, której już nie mógł się doczekać, więc zbudzony ze snu szybko zjadł śniadanie i pobiegł do łazienki, aby wymyć ząbki i przemyć buzię. Następnie ubrał się w swój nowiusieńki elegancki mundurek szkolny i zakładając plecak z trąbą słonia, wyszedł odprowadzony przez Laurę przed bramę rezydencji, aby poczekać na szkolny autobus. Prawdę mówiąc, troszkę się denerwował, ponieważ pojazd się spóźniał, ale po chwili zajechał przed bramę z mnóstwem dzieci w środku. Elvis wszedł dumnie do środka, siadając koło innych dzieci, jeszcze machając na pożegnanie, odjechał w stronę szkoły, aby zostać jej pilnym uczniem. Laura także miała już wrócić do swych codziennych obowiązków, gdy nagle... drogę zniemacka zagroził jej Anacleto, który wysiadł z samochodu stojącego za autobusem. Ta szybko chciała rzucić się do ucieczki, ale zbir był szybszy. Zatykając jej usta, aby nie było słychać krzyków, chwycił ją obydwoma rękami i wepchnął do samochodu, którym odjechał wraz ze swym pomocnikiem.

Po kilkunastu minutach wszyscy byli na miejscu, które dziewczyna już dobrze знаła. Anacleto znów szarpiąc ją za rękę, zaprowadził na zgliszcza dawnego kasyna, na którym czekał nie kto inny jak jego właściciel. Uprowadzona została zmuszona, aby uklęknąć przed swym oprawcą.

— Witaj panno Monroy...nie sądziłaś, że znów się spotkamy...Anacleto zostaw nas samych. Mamy sobie wiele do powiedzenia. Myślałaś, że zdołasz zniknąć? Przede mną nie ma ucieczki, prędzej czy później dopadam swoich wrogów.

Dumna i wcale nie przestraszona dziewczyna zamiast płaczu uniosła głowę i parsknęła pustym śmiechem, co natychmiast doprowadziło zbira do furii.

— Na nasze spotkanie wybrałaś świetne miejsce, zgliszcza twojego imperium...

Boss z wściekłości chwycił swą ofiarę za włosy, ściskając je mocno.

— Śmiejesz się z tego...?! Wydaje ci się to aż tak zabawne?! Dokładnie się rozejrzyj, co zrobiłaś! bo to będzie ostatni widok w twoim życiu...

— Nic mnie to nie obchodzi — odpowiedziała Laura, odważając się podnieść i stanąć twarzą w twarz ze swoim śmiertelnym wrogiem.

— Zabiłaś moich rodziców ty psie! — krzyknęła na cały głos.

Gangster nie miał zamiaru słuchać tej kolejnej zniewagi, dlatego odchylając rękę, z całej siły uderzył kobietę w twarz, aż ta upadła na ziemię, ale ona po chwili znów podnosząc się, otarła usta z krwi i dodała z pogardą:

— Możesz mnie nawet zabić, ale zawsze będziesz śmieciem i zwykłym prostakiem, który dorobił się na kradzionej fortunie. Sam nie potrafiłbyś zarobić

nawet jednego centa.

Tego łotr nie zamierzał już dłużej tolerować, więc wyciągnął pistolet z tylnej kieszeni spodni i przystawił go do czoła blondynki, która zamykając oczy, już w milczeniu pożegnała życie...nagle jednak poczuł na tyle swojej głowy zimną broń, którą ktoś jemu przystawił.

— Przykro mi szefie, ale ta gra jest już dla ciebie skończona. Tej dziewczynie zawdzięczam dług życia, który spłacam właśnie teraz. Uciekaj stąd i nie oglądaj się za siebie, jeżeli chcesz przeżyć — wyjaśnił zniecierpliwiony Edmund do niedoszedłej denatki, który przyglądał się wszystkiemu z boku.

Laura natychmiast podniosła się jeszcze raz z kolan i biegiem ruszyła przed siebie, byle tylko wydostać się z tej pułapki i zniknąć z oczu temu bandycie.

Kto by pomyślał, że tego oprycha zdradził najbliższy współpracownik, który najwyraźniej miał już dosyć jego ciągłych humorów i rozkazywania. Wreszcie przejrzał na oczy i postanowił coś w życiu zrobić, dobrze, ale kto zdążył poznać Baldura, który teraz sam był na muszce, ten wiedział, że to on zawsze rozdawał ostatni karty, więc z kieszeni w spodniach wyciągnął broń i nim Edmund zdążył mrugnąć, jednym okiem, boss niczym rewolwerowiec, odwracając się, strzelił mu w brzuch.

— Nigdy więcej nie waż się przystawiać mi broni do głowy — szepnął upadającemu zdrajcy.

Słyszając strzał, biegnąca Laura zatrzymała się na jedną sekundę, ponieważ wiedziała, że tej akcji ktoś nie przeżył...ale wiedząc, że nieważne kto by to był i tak nikomu nie zdołałaby pomóc, więc dalej ruszyła biegiem przed siebie, przeskakując przez metalowe ogrodzenie, za którym znajdowały się zgliszcza budynku, następnie wsiadła w pierwszą lepszą taksówkę, która nadjechała.

Gdy Anacleto także słyszając strzał, przybiegł na miejsce zbrodni, wyrzucając z ust fajkę, którą właśnie palił, zastał Baldura pochylonego nad jego ukochanym bratem.

— Co się stało!?

— Twój brat był zdrajcą...ale to Laura Monroy go zabiła, wyciągając mi bron z kieszeni — mówił spokojnym i manipulacyjnym głosem mafiozo, aby utrwalić te słowa w głowie swego współnika.

— Bracie obudź się, słyszysz!! Wstawaj, dlaczego się poddajesz...?

Anacleto robił, co mógł, aby uratować Edmunda, ale nawet jego reanimacje nie przyniosły skutku. Ciało leżące przed nim było już całkiem nie władne, a twarz stawała się coraz bardziej bez wyrazu.

— Braciszku przyrzekam, że cię pomszczę!

Przysięgam ci, że zapłacisz za śmierć mojego brata przeklętą morderczyni... słyszysz!!!

Rozdział 25

Tylnym wejściem od kuchni Laura niepostrzeżenie wróciła do rezydencji i udała się natychmiast do swojego pokoju, aby zamaskować sińca pod okiem. Patrząc w lustro, zdawała sobie doskonale sprawę, że zamiast stać teraz z pudrem w ręku, pewnie by już wachała kwiatki od spodu. To był cud. Nigdy by nie przypuszczała, że człowiek, którego ona uratowała, a który

chciał ją spalić żywcem, teraz spłacił swój dług wdzięczności. Kto by pomyślał, że on jednak miał sumienie. Tylko co się z nim stało...czy naprawdę już nie żył? A może też miał szczęście i to ten drugi drań był ofiarą...? Najlepszym wyjściem w tej chwili było nie wychylać się przez jakiś czas z rezydencji. Być może trafi się ten łut szczęścia i w kolejnej porannej gazecie znajdzie się wzmianka o słynnym hazardziście, który został znaleziony gdzieś w ciemnym zaułku z dziurą w głowie.

Laura jeszcze kilka razy przycisnęła upudrowaną gąbkę do twarzy, niestety z rozciętą wargą nie dało się nic zrobić. Dlatego należało się zastanowić jak się z tego feralnego zdarzenia wytłumaczyć. Przecież gdyby ujawniła prawdę, mogłaby niechcący narazić domowników na niebezpieczeństwo lub sama zostać zwolniona.

Oni na pewno zaraz chcieliby całą sprawę zgłosić na policję, która pewnie jak zwykle by nic nie zrobiła. Ponieważ nie było żadnych dowodów przeciwko temu sprawcy, zemsta mafii, w której siedział, o ile jeszcze żył, mogłaby być okrutna. Więc ta opcja była brana pod uwagę tylko w ostateczności. Na razie pozostała niepewność a od drzwi pokoju dobiegło stukanie.

— Proszę

— O tutaj jesteś, od samego rana wszędzie cię szukam — oznajmił Thomas

— O co chodzi? — spytała Laura, chowając twarz.

— Chcia... — mężczyzna był na tyle bystry, że od razu zauważył coś niepokojącego i chwytając swoją ręką twarz pobitej, odwrócił ją do siebie.

— Co się stało? Czemu tak wyglądasz?

— ... dzisiaj z rana postanowiłam pójść na spacer, ponieważ mamy taką piękną pogodę, ale jakiś nieostrożny rowerzysta wjechał we mnie i niechcący upadłam.

— Mm...współczuje, niestety niektórzy nie są zdolni nawet do jazdy rowerem. A właśnie...bym zapomniał, po co tutaj przyszedłem. Dziś wieczorem mam dla ciebie niespodziankę.

— Dla mnie? A co to takiego?

— Przekonasz się wieczorem, kiedy przyjdiesz do salonu, tylko weź ze sobą, proszę dwa szampany, ponieważ będzie to okazja do świętowania.

Thomas nie rozgadując się dłużej, mrugnął lewym oczkiem w stronę

zaciekawionej pokojówki i wyszedł z pokoju. Ta usiadła na łóżku i zaczęła rozmyślać, a nawet fantazjować...

— Czyżby miał odwagę powiedzieć wszystkim, że jest we mnie zakochany? Nie...to niemożliwe...

Gdy minęło południe i zbliżała się godzina czternasta, czyli powrót Elvise z pierwszego dnia szkoły, wszyscy już czekali na niego z niecierpliwością. Jednak minęło dziesięć po, a chłopca dalej nie było, więc opiekunka zaczęła się trochę niepokoić...na szczęście dwie minuty później drzwi otworzyły się, a do kuchni wszedł mały człowieczek z tornistrem na szyi, a nie na plecach. Laura już wyciągnęła ręce, chcąc ucałować nowego ucznia, ale ten minął ją, jakby wcale jej nie zauważył i tak po prostu ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal usiadł na krześle przy stole. Pokojówka ze zdumieniem spojrzała na dziecko, ponieważ zachował się tak po raz pierwszy, lecz Eva ze swego doświadczenia już wiedziała, o co chodzi, więc siadając koło małego, stuknęła go łokciem...

— To coś poważnego?

— Aha...

— Uuuu... i to w pierwszy dzień szkoły.

— Ale o czym wy mówicie, ja nic nie rozumiem — zirytowała się Laura.

— Zakochałem się... — oświadczył roztargnionym głosem Elvis.

— Co takiego? ledwo skończyłam dwadzieścia jeden lat, a ty już chcesz mnie zrobić teściową? Lepiej posprzątam w ogrodzie. Ach te dzieci tak szybko dorastają...

— Jak ma na imię...? — pytała ciekawska Eva, dalej stukając malca łokciem w rękę.

— Malika...

— Hmm, więc skoro to takie piękne imię... ona na pewno też jest wyjątkową dziewczynką, ale mój drogi miłość miłością, lecz trzeba coś zjeść — oznajmiła Eva i wzięła się za nalanie zupy na talerz. Tymczasem w domu państwa Romerów znów zjawiała się kobieta, która poprzednim razem dostarczyła kolejne niechciane zaproszenie Lourdes. Tym razem jednak zamiast koperty miała ze sobą małą otworzoną walizkę zawieszoną na szyi z mnóstwem kosmetyków i perfum w środku. Zapewne teraz zajęła się ich promowaniem.

— Nie nie nie! Proszę mnie nie pryskać, ponieważ i tak nic od pani nie wezmę — tłumaczył zawzięcie Fermin, od którego można było wyczuć podróbkę perfum Chanel. Uparta kobieta za nic nie chciała ustąpić, chcąc pokazać jeszcze wszystkie kremy, jakie miała do zaoferowania, na siłę obsmarowując je na czole lokaja, który ze zdenerwowania opędzając się, majtał rękoma na wszystkie strony, w końcu miał dosyć i trzasnął drzwiami wejściowymi namolnej sprzedawczynie przed nosem.

— Nie to nie! — odpowiedziała oburzona i marudząc do siebie, postanowiła

odejść, gdy się jednak odwróciła, ku swojemu zdumieniu ujrzała swoją starą koleżankę, która właśnie przyjechała swoim autem, teraz wyglądała tak szykownie i elegancko. Stara zasada podpowiadała kobiecie, że zawsze należało się przywitać, więc już wysunęła rękę i zamierzała podejść, lecz tamta udając, że w ogóle nie zauważyła dawnej koleżanki po fachu, szybko pomknęła do środka rezydencji.

— Cóż za maniery — odpowiedziała urażona znajoma imieniem Jimena, dziwiąc się trochę, jak jej dawnej kompance tak nagle udało się wejść na szczyt. Domyślała się, że to zasługa jej sprytu. Gdyby Oriana wyjawiała o sobie wszystko, pewnie nikt by jej już nie zechciał.

— Pewnie musiała wymyślić niezłą bajeczkę — pomyślała sprzedawczyni i udała się w swoją stronę do kolejnych rezydencji nabierać innych bogaczy.

Rozdział 26

Przyszedł wreszcie niewiadomy wieczór. Elvis szybko położył się spać po wrażeniach szkolnych, więc jego przyjaciółka mogła spokojnie udać się na umówione spotkanie, pamiętając oczywiście o dwóch kieliszkach szampana, które nie wiadomo, z jakiej okazji miała zabrać ze sobą. Gdy weszła do salonu byli tam już wszyscy domownicy.

— O co tu chodzi? — pomyślała, starając się jednak zbytnio nie wychylać zza pleców Evy, która z całą resztą wpatrzona była w parę stojącą obok. Laura cierpliwie czekała, aż zostanie poproszona przez Thomasa, w końcu przecież ta niespodzianka miała być dla niej, ale nie rozumiała, co tutaj robiła Oriana...

W końcu pan domu zaczął przemówienie na które czekała cała reszta.

— Moi drodzy tutaj zebrani. Mamo...siostro... a także moja wierna służbo, bez której ten dom nie dałby rady istnieć... — Thomas był znany z długich i nudnych przemówień, więc wstęp zajął mu trochę czasu.

— Wiecie jak bardzo cenie sobie lojalność was wszystkich, dlatego postanowiłem wam pierwszym ogłosić dobrą nowinę. Otóż ja i Oriana postanowiliśmy się zaręczyć. Wszyscy wiecie, że minął już rok, odkąd jesteśmy razem, więc teraz chcemy zrobić kolejny krok naprzód.

Świeżo upieczony narzeczony chcąc uczcić swe zaręczyny, podszedł do i tak już wścieklej Laury, sięgnął ręką po dwa szampany, które ta trzymała na tacy.

— Chciałbym, abyśmy wypili za zdrowie moje i mojej przyszłej żony.

Niedługo także odbędzie się przyjęcie, na którym przedstawię oficjalnie moją narzeczoną.

Kiedy szampan poszedł w ruch, rozczarowana służąca nie mogąc tego dłużej zdzierżyć, wróciła do pokoju, trzaskając drzwiami i demolując swoje łóżko. Biedny Elvis nie bardzo wiedział, co się stało, ale już był przerażony, dlatego ze strachu schował się pod kołdrą i wyglądał przez nią jedną, małą dziurką.

W salonie dalej odbywało się świętowanie zaręczyn, ale jedyną osobą, która pogratulowała przyszłej młodej parze, była Lourdes. Prawdę mówiąc, ten nedorzeczny pomysł nikomu się nie spodobał. Najgorzej na swym bracie zawiedziona była Amelia, która od samego początku nie darzyła uczuciem przyszłej szwagierki i po cichu miała nadzieje, że jednak ten związek się rozpadnie. Więc nie chcąc dłużej ukrywać swojej kwaśnej miny, wołała dołączyć do swej koleżanki, która właśnie porozwalała całą swoją pościel po podłodze. Amelia, obserwując jej poczynania, także usiadła bezradna i zezłoszczona na łóżku.

Biedny Elvis teraz wyglądał na dwie dziurki.

— Ach ci dorośli i pomyśleć ze, to wszystko, bo się nie najadły... — malec jeszcze nie bardzo rozumiał skomplikowanego świata dorosłych.

Zraniona dziewczyna nie miała pojęcia, dlaczego ten palant jak go nazwała, tak się zachował. Przecież wydawało się, że wszystko zaczęło się bardzo dobrze układać. Tak...być może tak się wydawało. Więc dlaczego był taki miły? Wkrótce Laura miała poznać odpowiedź na te pytania, przy przypadkowym spotkaniu w kuchni, kiedy to młody Romero wpadł po sok pomarańczowy do lodówki. Tym razem udał, jednak że w ogóle nie zauważył swej pokojówki parzącej sobie herbaty, już chciał wyjść, ale ta jednak musiała wyjaśnić sprawę do końca lub być może głupie nieporozumienie, na które niechęć spojrziała inaczej.

— Czekaj...

— Proszę się do mnie zwracać „czy mógłby pan zaczekać”. Zapamiętaj, że jestem twoim szefem, a nie jakimś zwykłym sługą.

Poirytowana dziewczyna nie poprawiając się już, zadała tylko jedno, konkretne pytanie.

— Czemu...

Thomas popatrzył na nią przeszywającym wzrokiem, trzymając szklankę soku w dłoni, zbliżył się tak, aby ta usłyszała jego słowa raz a dobrze i nigdy więcej nie zadawała tego pytania.

— Chcesz wiedzieć, dlaczego tak postąpiłem...? Spójrz na mnie i na siebie...czy mógłbym cię teraz chcieć? Przecież jesteś nikim, to, że ostatnio byłem dla ciebie miły, to był tylko żart, dałaś się wpuścić w maliny i tyle... powiedzmy, że troszkę mi się nudziło.

Byłemu szoferowi zrobiło się trochę żal pokojówki stojącej przed nim ze spuszczoną głową, ale mimo wszystko udał zarozumiałość i wyszedł z kuchni.

Ona tkwiła tak jeszcze długą chwilę, ponieważ dobrze pamiętała, że te słowa, które przed chwilą usłyszała, sama przed rokiem wypowiedziała. Więc zrobiło jej się wstyd, ponieważ właśnie poczuła ich znaczenie, ale mimo wszystko i tak czuła złość, ponieważ ten dureń zapomniał o tym, że ona już dawno odpokutowała za swoje uczynki.

— Przetrwałam śmierć rodziców, mierzenie we mnie pistoletem, ucieczkę, pożar, a nawet niedźwiedzia w lesie — pomyślała Laura i po chwili skruchy znów odezwał się w niej duch walki, więc uznała te słowa za zniewagę, uniosła głowę w górę i chwytając nóż leżący na blacie, dziabnęła nim w jabłko obok.

— Ty wstrętny nowobogacki paniczyku! Zobaczysz, jak cię urządzę...

Rozdział 27

Anacleto złożył ciało brata w grobowcu, w którym była pochowana ich droga matka. Pozostawił jeszcze kwiaty, parę sekund wpatrując się na zasuniętą już płytę, pożegnał Edmunda chwilą ciszy i kieliszkiem Brandy, którą ten zawsze pijał pod nieobecność szefa. Ponieważ była już jesień liście spadające z drzew jak małe samolociki szybko okryły pomnik. Na cmentarzu jak to zwykle na cmentarzu, oprócz szumu kilku drzew panował wieczny spokój i zupełna cisza. Wokół można było dostrzec tylko spojrzenia twarzy uśmiechających się z retuszowanych zdjęć nagrobkowych. Gdy zapadł wieczór, zrobiło się zimno, ciemno i ponuro. Tylko gdzieś palila się jakaś świeczka, ale jednak i po zmroku zdarzało się, że jacyś goście lubili odwiedzać takie miejsca, nie obawiając się potępionych dusz ani innych zjaw. Od bramy wejściowej dało się usłyszeć zawodzenia bezdomnego Don Fuhensja, lokalnego pijaczyny, który z butelką wódki od czasu do czasu lubił przemierzać to miejsce.

— Nie bądź maleńka taka zła... tylko się lubić daaj... — śpiewał dalej, idąc tak, wśród pomników zauważył nowe kwiaty, które leżały na płycie grobowej Edmunda.

— Oo... jakiś kolejny biedak skończył swój marny żywot. No to co bracie, wypiję za ciebie...bo ty już nie możesz.

Pijaczyna przysiadł sobie na ziemi i pociągnął kilka porządných łyków, ocierając usta zabrudzonym podartym, rękawem, ale nagle... wyteżył uszy i zatrzymał wzrok, ponieważ spod pomnika wydobywały się jakieś zgrzyty.

— Co to...? — zatrwożył się, jednak uznał, że pewnie alkohol mu zaszkodził, więc chciał już cmoknąć kolejnego łyka, kiedy to płyta nagrobkowa nagle zaczęła się sama odsuwać. Więc wystraszony Fuhensjo szybko odskoczył od pomnika, wlepiając w niego swe przerażone ślipia, ale kiedy ujrzał wystającą czyjąś rękę, nie było, na co czekać. Pijak wziął nogi za pas i z krzykiem zwiewał, ile miał sił. Bądź co bądź wyszło mu to na dobre, bo uciekając, po drodze przysięgał, że już nigdy się nie napije, ani nawet nie spojrzy na kuszącą banderolę.

Gdy płyta całkiem się odsunęła, z wnętrza grobu zdołał się wydostać Edmund, który wykorzystując Laurę do swojego celu, sfingował swą śmierć dzięki tabletkom na pozór uśmiercającym, kamizelce kuloodpornej i farbie przypominającej krew, teraz wreszcie miał okazję poznać smak wolności bez ciągłych rozkazów i pogróżek. Szczerze mówiąc miał już w nosie swojego szefa, który tylko wrzeszczał. Niedoszły denat miał to szczęście, że przy pomocy swej ogromnej siły i dużego wzrostu bez problemu zdołał odsunąć płytę. Rozprostował jeszcze swe kości, ponieważ w środku było strasznie nie wygodnie i ruszył, ciemną nocą pogwizdując, do innego miasta, aby nie ryzykować, że w Monterrey ktoś go

rozpozna.

Rozdział 28

Minęło kilka szkolnych dni Elvisa, z których był bardzo zadowolony, ponieważ podobała mu się sama nauka, jak i plecak z trąbą słonia. Lekcje także odrabiał bardzo chętnie, więc jego opiekunka była niesamowicie dumna. Widać było, że to bardzo obiecujący, zdolny, młody człowiek. Jednak pewnego dnia wrócił z pochmurną miną...nie chciał zjeść nawet obiadu, który przygotowała Ewa. Więc dziewczyny zaczęły się martwić, że może był chory...ale nie... więc Laura postanowiła poważnie z nim porozmawiać w pokoju.

— Siadaj na łóżku i powiedz mi, co się stało.

Malec tylko wzruszył ramionami.

— Powiedz mi, ponieważ martwię się o ciebie, nigdy tak nie wyglądałeś. Ktoś ci dokucza tak?

— Nie... Malika nie zwraca na mnie uwagi.

Laura na tę wiadomość już miała się zacząć śmiać, ale powstrzymała się i zachowała jako taką powagę, ponieważ zdawała sobie sprawę, że dla tak małego dziecka taka sprawa wydawała się śmiertelnie poważna.

— Dlaczego nie zwraca na ciebie uwagi?

— Nie wiem.

— Próbowalesz z nią porozmawiać?

— Nie.

— A dlaczego?

— Bo...bo się wstydzę.

— Ty...? Oo nie martw się, jeżeli do niej podejdziesz, na pewno zechce z tobą porozmawiać.

— A jeżeli nie?

— To nie wiem, szczerze mówiąc, w sferze uczuciowej ja także jestem beznadziejna. Chciałabym ci dać jakąś radę, ale jestem w tym kiepska... buuu...

Pewnie te dwie ofiary, które wpadły w sidła uczuć, siedziałyby tak do samego wieczora, gdyby nie Amelia, która właśnie wpadła z wizytą.

— Co wam się stało? Dlaczego macie takie posępne miny?

— Mamy problem, koleżanka Elvisa nie zwraca na niego uwagi.

— Hmm to rzeczywiście poważna sprawa...ale wiem, napisz do niej list.

— List? Ale jaki?

— Jak to jaki... miłosny. Ja, gdy byłam w twoim wieku, zawsze tak robiłam. Gdy chciałam, żeby jakiś chłopiec zwrócił na mnie uwagę.

— I co...

— I zawsze skutkowało.

— Ale ja nie umiem.

— To nie jest istotne, napisz to, co masz w tym twoim małym serduszk. Ta dziewczynka na pewno zrozumie.

Elvis podniesiony na duchu posłuchał rady swoich starszych koleżanek, które wyszły z pokoju, aby mu nie przeszkadzać. Mały Szekspir zaraz siadając z kartką przy biurku, zaczął dyktować sobie słowa i obmyślać w swojej małej główce co mogłoby się wydać najbardziej według niego „romantycze”.

Tymczasem Oriana przemierzała sklepowe wystawy, ponieważ od swojego narzeczonego dostała nowiusieńką kartę płatniczą wypełnioną dolarami. Te wszystkie eleganckie buty, torebki i biżuterię przyprawiały ją o nawrót głowy, jako biedaczka nigdy nie mogła, by sobie pozwolić na taki luksus. Wszystko było jak sen. Warto było dać się o mało nie rozjechać dla takiego życia. Nowobogacka wychodziła z łazienki, kiedy nieoczekiwanie czyjaś ręka opierająca się o ścianę zastawiła jej drogę.

— Witaj droga koleżanko — odezwała się ta sama kobieta, która wcześniej próbowała wcisnąć kosmetyki Lokajowi.

— To znowu ty? Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać.

Jednak Jimena była nieustępliwa.

— Co ty... dawnej znajomej nie poznajesz? Tak się nie robi. Należałoby się chociaż przywitać.

— Nie mamy o czym rozmawiać. Zejdź mi z drogi wieśniaro.

— Wieśniaro?!

— O nie moja droga, nie tym tonem. Widziałam, na jaki szczebel wskoczyłaś. Nie wiem tylko jakie kłamstwo wcisnęłaś temu bogaczowi, który jakimś cudem zwrócił na ciebie uwagę.

— Co cię to obchodzi. Zazdrościsz...? — zaśmiała się szyderczo Oriana.

— Niczego nie muszę ci zazdrościć, bo wystarczy jedno moje słowo, a znów wylądujesz w burdelu, z którego wyszłaś.

— Tylko spróbuj!

— Ale ty się wyrywna zrobiłaś, nie musisz się tak denerwować, wystarczy, że zawrzemy umowę.

— Czego chcesz?

— Wystarczy, że na jutro przyniesiesz mi 50000 tys., a ja nie powiem twojemu wybrankowi, że byłaś zwykłą prostytutką.

— Oszalałaś?! Skąd ja ci wezmę tyle pieniędzy.

— Nie udawaj, potrafisz nieźle kłamać. Pamiętaj do jutra...

Była współniczka nie miała nic więcej do powiedzenia, ale za nim wyszła z łazienki, odwróciła się jeszcze, spoglądając na drogie zakupy, swej dawnej znajomej.

— O i jeszcze jedno, w tych torbach masz na pewno coś drogiego, więc pozwól, że sobie je wezmę, w końcu mamy ten sam rozmiar...ciaał.

Nie tylko ta kobieta planowała swoje nieczne interesy, po tym, jak Thomas potraktował Laurę, pozostał niesmak, dlatego ta także za wszelką cenę szukała sposobu, w jaki mogłaby mu się odpłacić. Nie mogła puścić takiej zniewagi płazem, dlatego na tajemnych obradach w swoim pokoju, zebrała się rada naczelna, ustalając plan działania. Poza Elvisem, Laurą i Evą do zgrupowania dołączyła także Amelia, ponieważ w jej interesie nie leżało, aby Oriana została jej szwagierką. Nie mogła, by znieść jej ciągłej impertynencji. Teraz widywała ją raz na kilka dni, ale po ślubie musiałyby znosić ją codziennie, a tego byłoby już za wiele. Należało zrobić wszystko, aby Thomas był coraz bardziej rozczarowany swą przyszłą małżonką, przy okazji Laura mogła wykorzystać tę sytuację na swój odwet. Pytanie brzmiało, od czego tutaj zacząć, aby skompromitować kobietę, która zdawała się nie mieć żadnych tajemnic i w oczach swego narzeczonego była idealna? Amelia była wręcz pewna, że jej brat nie był zakochany, ale ta zmiłja tak go omamiła, że teraz zgłupiał i gotów był się z nią zenić. Na szczęście siostra w porę zjawiła się w jego życiu. Teraz być może zdoła otworzyć mu oczy. W każdym razie trzeba było znaleźć na nią haczyk czy to z chęci odwetu, czy uratowania tego głupka przed wiecznym więzieniem, ale co na to wszystko Elvis?

Temu dziecku po życiu, jakie zafundowała mu ulica, nie brakowało sprytu, dlatego przemierzał, pokój w te i wewte trzymając się za brodę, o dziwo ta cudowna świtająca lampka nad nim jakoś nie chciała się zapalić. Jednak spośród dumających zebranych, ze swoim pomysłem wyskoczyła Eva, która już wcześniej zauważyła coś niepokojącego.

— Mam!

— Ale co masz? Co takiego? — zapytała Laura.

— Jak to co, tak urządzimy te, paniusię w pawich Piórkach, że jej honor na dobre pójdzie w las.

I tak rzeczywiście Eva miała rację. Jej pomysł okazał się na tyle doskonały, że od razu wydał się sukcesem.

Rozdział 29

Do Thomasa jak zazwyczaj to bywało, wpadł z wizytą Miranda, który nie widząc się dawno z przyjacielem, był spragniony nowych wieści i plotek. Właśnie stracił posadę taksówkarza, ponieważ przyciął drzwiami torebkę jakiejś kobiecie, dlatego teraz chwilowo został na końcu łańcucha pokarmowego, ale że jego kompan był wspaniałomyślny, to też zaproponował mu posadę ogrodnika w swojej rezydencji, która została od razu przyjęta, jednak Bony zjawił się też w sprawie zaręczyn, do których to nie był zgodny. Uważał, że ta decyzja mogła być zbyt pochopnie podjęta, dlatego namawiał przyjaciela, aby to jeszcze przemyślał, ale takiemu uparciuchowi można było mówić i mówić.

— Oriana nalegała, w końcu już jesteśmy parą od roku, sam rozumiesz, do czegoś mnie to zobowiązuje — powtarzał.

— Przecież ważne jest też to, czego ty chcesz. A na moje oko ty wciąż myślisz o Laurze.

— Absolutnie nie, odegrałem się na niej, tak jak mi radziłeś, więc sprawa między nami jest już definitywnie zakończona.

— Masz mnie za idiotę? Przecież widzę, jak ją obserwujesz ukradkiem. To prawda, że był to mój pomysł, ale przyznaję, że się pomyliłem.

— Tylko ci się tak wydaję, wcale jej nie obserwowałem, patrzyłem tylko czy dobrze wykonywała swoje obowiązki. Ty wiesz, jak to jest z tymi słu...

— Przestań mi mydlić oczy. Jesteś zwykłym kretynem, skoro tak postępujesz, ale skoro wciąż nie możesz się pozbyć urażonej dumy i chcesz sobie marnować życie z kimś, do kogo czujesz tylko sentyment, to proszę bardzo. A tak w ogóle to, gdzie podziewa się ta twoja pierwsza dama?

— W tej chwili udała się na zakupy. Przelałem na jej konto odpowiednią ilość pieniędzy...

— N zakupach...? Już się zaczyna, zobaczysz ona cię puści z torbami.

— Jak możesz tak mówić, to moja przyszła żona i mam do niej pełne zaufanie.

— A ty jak możesz być taki ślepy, skąd wiesz, czy ona jest na zakupach, czy może coś knuje z jakimś swoim kochankiem na boku. Na twoim miejscu byłbym ostrożny.

Mimo apeli Bonego Thomas wciąż pozostawał ślepcem i tylko cud zdołałby go odwieść od popełnienia największej głupoty w jego życiu. Podczas gdy on siedział w domu, jego narzeczona zmierzała na spotkanie z szantażystką, która po latach nieoczekiwanie pojawiła się w jej życiu i teraz miała zamiar popsuć wszystko, co ta usilnie budowała.

— Jak mogłam być tak głupia i dać się zauważyć — myślała, jadąc swym

samochodem na obrzeża miasta, gdzie było dosyć ustronnie. Gdy dojechała na pusty parking, tam czekała na nią Jiemena Ortez. Oriana, zdejmując z oczu czarne okulary, jeszcze raz nieprzychylnie spojrzała na nią i wzięła do ręki czarną torbę wypełnioną pieniędzmi. Gdy wysiadła z auta, podeszła wręczając pakunek, lecz jej oczy przemawiały dziwnym podstępem...

— Mam nadzieję, że w środku znajduje się całość.

— Jest tam dwadzieścia pięć tysięcy. Więcej nie zdołałam wyciągnąć. Mam nadzieję, że to ci wystarczy i dasz mi teraz spokój.

— Żarty sobie robisz? Miało być 50000 tys. a nie jakieś ochłapy.

— Głucha jesteś?! Nie zdołałam więcej wyciągnąć. Thomas by się zorientował, tym co dostałaś, powinnaś się nieźle obłowić.

— To chyba ty nie rozumiałaś. Byłaś zwykłą ulicznicą i mam cię garści gołąbeczku, dzisiaj zabiorę to, co mi dałaś, ale za kilka dni dokładnie o tej samej porze, chce widzieć resztę, bo jeżeli nie to sama rozumiesz, wrócisz do starego biznesu.

Szczerze mówiąc, Oriana nie bardzo wiedziała co odpowiedzieć, przecież nie mogła tak po prostu poprosić o następne 25000 tys.

Więc w chwili furii postanowiła raz na zawsze rozprawić się z tym problemem. Wsiadając do samochodu, założyła znów swe ciemne okulary i włączając piąty bieg, ruszyła z piskiem, w stronę odchodzącej z pieniędzmi kobiety, która naprawdę nie miała pojęcia, z kim zaczęła... Nim zorientowała się, że coś jest nie tak, zdążyła tylko odwrócić głowę, a jej ciało natychmiast przeleciało przez maskę pędzącego auta, które prowadziła sfrustrowana wariatka. Oriana zatrzymała się na moment, aby upewnić się, że to koniec jej problemów, szybko wyskoczyła z samochodu, patrząc przez sekundę na zakrwawioną twarz tej nierozsądnej szantażystki, wyrwała z jej bezwładnej ręki czarną torbę i w pośpiechu odjechała, czując, że nic już jej nie mogło zagrozić.

Rozdział 30

Elvisowi znów wrócił dobry humor, ponieważ po napisaniu listu do swej ukochanej wszystko się zmieniło. Mała Malika odrzuciła pozostałych adoratorów, ponieważ stwierdziła, że w porównaniu do jej nowego amanta byli zbyt mało romantyczni. Więc nic dodać, nic ująć ich miłość kwitła w rytmie tańczenia w kółeczku i skakania przez skakanki na szkolnym podwórku. Czy mogło być coś piękniejszego niż młodość i dzielenie się kanapkami pomiędzy przerwami... ich świat różni się od świata dorosłych tym, że nie było w nim zazdrości ani egoizmu.

Wszystko, co dawały od siebie dzieci, było szczere i prawdziwe do bólu.

Oczywiście z Elvisa był także niezły przystojniak, jak o sobie mówił, dlatego w tych sprawach konkurencje zawsze pozostawiał w tyle. Gdy zdobył już serce swej ukochanej przyszła pora na kolejny krok. Postanowił ją zaprosić do siebie do domu, aby poznała jego opiekunkę i pozostałych przyjaciół, na co dziewczynka chętnie się zgodziła. Szczerze mówiąc, Laura ochłonęła już na wieść, że w tak młodym wieku zostanie teściową i także chciała poznać wybrankę przybranego syna.

— Myślisz, że będzie miała dwa rude warkoczyki i okulary na nosie? — zapytała Ewy, poprawiając się przed lusterkiem.

— Nie wiem...ale pewnie będzie urocza.

— Ciekawe, jaki rzeczywiście ma charakter, słyszałam, że to podobno córka jakichś znanych lekarzy.

— Myślisz, że będzie zadzierać nosa?

— Nie sadze, w sumie to tylko dziecko, ale wiesz, jak to jest z tymi bogaczami. Boję się, tylko żeby nie skrzywdziła Elvisa, gdy się jej znudzi. Muszę ja koniecznie poznać.

Dziewczyny przyszykowały się starannie, na przyjęcie nowego gościa, przygotowały w kuchni sernik malinowy oraz sok owocowy. Zależało im żeby Malika poczuła się u nich jak najlepiej. W końcu po szkole Elvis przyprowadził swoją wybrankę, którą później mieli odebrać rodzice.

Laura była bardzo zadowolona na jej widok, ponieważ mała była dokładnie w jej guście. I nie wydała się jej tak zarozumiała, jak ta się tego obawiała. Malika była typową drobniutką dziewczynką o jasno kasztanowych włoskach z kitką uwiązaną na czubku głowy. Nosila niebieską sukieneczkę w kolorowe kwiaty i czerwone pantofelki a w rękę trzymała małego misia, z którym rzadko się rozstawała.

Jej jedynym felerem było to, że brakowało jej dwóch zębów na przodzie, ale przecież miała sześć lat, więc następne miały zjawić się już niedługo.

— Miło mi poznać, wiele o tobie słyszałam — odezwała się Laura,

wyciągając rękę na przywitanie.

Malika także wyciągnęła rączkę trochę nieśmiało i uśmiechnęła się szczerze.

— O jaka cudowna, ja też chciałabym mieć taką córeczkę — podskoczyła w górę Eva.

— Elvis także dużo mi o wasz opowiadał.

— Tak? A co takiego? Mam nadzieje, że same dobre rzeczy — spytała Laura.

— No, że jest pani bardzo ładna i miła i że niedługo wyjdzie pani za pana Thomasza.

— Tak...? A to ci dopiero... — zaczerwieniła się pokojówka, czochrając małego cwaniaka po głowie.

— Maliko może usiądziecie z Ewą przy stole, mamy taki pyszny sernik.

— Ależ tak, oczywiście.

Chcąc skorzystać z okazji, Laura na chwilę wywlokła Elvisa za kołnierz z kuchni, trochę poirytowana.

— Coś ty jej jeszcze nagadał, przecież wiesz, że to nie prawda. Thomas ma już narzeczoną, ale to nie jestem ja.

— ...dysys noł problem... jak to mówią u nas w szkole — odparł mały, klepiąc kumpele po ramieniu.

Ta ze zdumieniem spojrzała się na niego.

— Czego oni was tam uczą...

Po tym, jak Malika najadła się do syta, przy okazji urządzając sobie pogawędkę z Ewą, która była nią wprost zauroczona, razem ze swym wybrankiem serca udała się na randkę do pokoju, aby razem poukładać puzzle i porysować kwiatki na kartce papieru. Po dłuższej zabawie Elvis jako romantyk, korzystając z tego, że oboje odpoczywali, siedząc na łóżku, postanowił przesłać swej małej ukochanej buziaczka...

Podczas gdy dzieci spędzały czas w pokoju, Laura postanowiła przygotować im podwieczorek na pożegnanie, ponieważ niedługo mieli przyjechać rodzice Maliki, aby odebrać córkę. Tymczasem Eva sterczała w salonie, usługując Orianie, która zażyczyła sobie wypić drinka w towarzystwie narzeczonego i jego przyjaciela. Pokojówka nie mogła już słuchać paplaniny tej flądry na temat głupich służących i ich metod usuwania kurzu.

— Co ta prostytutka sobie wyobraża — burczała po cichu. Za nim się odwróciła, aby podać kolejnego drinka, najpierw do niego napłuła...

— A masz ty wstrętna małpo — pomyślała i z podstępny uśmiechem podała go przyszłej pani domu. Oczywiście ta wypła wszystko ze smakiem, ponieważ dla niej liczył się tylko smak alkoholu, reszta była tylko dodatkiem.

Bony zauważając wszystko, tylko się dziko uśmiechnął, nie chcąc się narażać na gniew tej jakże zgrabnej służącej, którą, mimo że znał od dawna, to

zauważył dopiero teraz, gdy stanęła przed jego nosem.

Jej walory były całkiem, całkiem. Według jego opinii nogi miała trochę krzywe, ale za to oczy były cudne. Nagle wydawało mu się, że wprost promieniały w jego stronę. Tak po prostu w jednej chwili dopadła go strzała amora.

Rozdział 31

Tego dnia służba była wyjątkowo zajęta. Za parę godzin miało się odbyć przyjęcie, na którym wszyscy znajomi Thomasa mieli poznać jego narzeczoną. Przy okazji dla Oriany oznaczało to, że wreszcie będzie mogła wejść na salony, o których zawsze marzyła. Jednak swej przyjaciółki Susi nie zaprosiła ze względu na to, że była zbyt biedna i nie mogła się tam pokazać ot, tak po prostu w jakiejś marnej sukience. Susi rozumiała sytuację, zresztą i tak uważała, że nie pasowałyby do tego blichtru, a poza tym pewnie źle by się tam czuła dlatego nie miała żalu o coś tak mało znaczącego.

Wiec od samego rana zaczęły się przygotowania. Szampany już się chłodziły, a menu właśnie się dokańczało, nie było zbyt tanie, ale na życzenie szanownej damy koniecznie trzeba było je zamówić. Orkiestra także już się ustawiała w specjalnie przygotowanym kąciku.

Nawet służące na ten dzień miały zmienione stroje na bardziej eleganckie, jeżeli tak można było określić kolor czarno fioletowy, ale cóż... wymysł bogaczy. Nawet Laura, przypominając sobie czasy swej świetności, nie kazała służbie nosić czegoś tak ohydneho, pozbawionego koloru. Podczas gdy Oriana szykowała się na górze, do rezydencji zaczęli zjeżdżać goście, którym Lourdes osobiście wysłała zaproszenia. W większości byli to arystokraci z wyższych półek zadzierający nosa, ale jeżeli chciało się być cenionym w świecie blichtru, należało mieć ich uznanie. Na ten jeden dzień na prośbę Laury Elvis wyjątkowo nie wchodził do salonu, aby czegoś nie zepsuć. Więc w swoim pokoju zajadał się słodkościami, które zostały mu przemycone z przyjęcia.

Gdy lokaj w drzwiach powitał już wszystkich gości, dał znać swemu szefowi, który natychmiast kazał zawołać służbę. Owszem obydwie dziewczyny stanęły na rozkaz pana sztywno w salonie, ale jakoś dziwnie nie mogły zachować powagi chichotając się po cichu, Thomas, chcąc wygłosić przemówienie, zaczął lekko mrugać w ich stronę i zaciskać zęby, aby się opanowały.

— Ich zachowanie jest nie dopuszczalne, po przyjęciu zaraz trzeba ich ustawić do pionu — szepnęła do syna Lourdes.

Po kilku chwilach, gdy niesforne pokojówki się opanowały, pan domu z kieliszkiem szampana zaczął swą mowę.

— Witam szanownych państwa, jestem mile zaszczycony, że tak licznie wszyscy przybyliście na przyjęcie, na którym zaraz oficjalnie poznamie moją przyszłą żonę. Liczę, że będziecie się świetnie bawić, chwilowo puki moja narzeczona się szykuje, prosiłbym, aby orkiestra zaczęła grać.

— Szybko rozdajcie szampany — szepnął młody Romero, podchodząc do służby, aby goście nie czekali z pustymi rękoma.

Laura, mimo że słuchała poleceń to i tak cały czas udawała obrażoną.

Na górnym wejściu prowadzącym do korytarza stał Fermin. Gdy drzwi od pokoju Oriany otworzyły się, ten szybko dał znać właścicielowi przyjęcia, następnie lokaj, unosząc rękę, także dał orkiestrze znak, aby na chwilę przestali grać.

— Proszę o chwileczkę uwagi, ponieważ na tych schodach zaraz pojawi się moja narzeczona, o to moja przyszła żona... — oznajmił z dumą Thomas, ale cóż to... wśród tłumu zamiast zachwycenia wobec jej urody, dało się słyszeć tylko szepty i zdziwienie już nie mówiąc o służących, których plan wypalił znakomicie. Biedna Oriana już na stracie zrobiła z siebie pośmiewisko, wychodząc pijana w sztok

Okazało się bowiem, że Eva przypominając sobie, jak to pewnego dnia znalazła butelkę wódki w pokoju, tej obecnie marnie wyglądającej kobiety, domyśliła się, że ona po prostu była zwykłą alkoholiczką. Więc gdy została postawiona w jej pokoju butelka wina francuskiego, ta nie potrafiła sobie odmówić. Widniała jej przed samym nosem, więc kto by się oparł.

Oczywiście z miejsca nastąpił skandal, a zawstydzonemu narzeczonemu pozostało patrzeć, jak jego ukochana schodziła koślawo ze schodów. W dodatku uwiesiła mu się na szyi.

— Co ty wyprawiasz! Ośmieszasz mnie — mówił jak najciszej, próbując dotrzeć do niesfornej kobiety, która postanowiła zatańczyć z innymi gośćmi.

— Orkiestra grać! — krzyknęła i pociągnęła jakiegoś starszego pana za krawat w swoją stronę. Stary zboczeniec wydawał się całkiem zadowolony.

— Zrób coś, ona nas kompromituje! Zabierz ją stąd! — szeptała zdenerwowana Lourdes do syna, który czerwony ze wstydu i z wściekłości przeprosił gości za tak niekulturalne zachowanie, szarpiąc pijaczkę za rękę, zaprowadził ją z powrotem na górę. Rzucając ją na łóżko, nawet nie miał ochoty rozmawiać, ponieważ wiedział, że i tak nic do niej by nie dotarło w takim stanie upojenia.

— Jutro z tobą porozmawiam, jak dojdiesz do siebie — oznajmił wściekły i nakazał jedynie lokajowi jej pilnować, aby nie pokazywała się w salonie, sam próbował załagodzić to feralne zdarzenie poprzez orkiestrę, która miała zabawiać gości i chociaż na chwilę odwrócić uwagę od tego skandalu.

Natomiast w kuchni nastroje były wyjątkowo świetne. Podstępne służące o mało co nie pękły ze śmiechu, z tego, co zrobiły tej zarozumiałej paniusi.

— Niech ma za swoje, Thomas jej na pewno tego nie wybaczy — mówiła Eva.

Teraz Laura także miała poczucie, że wyrównała wszystkie rachunki, dlatego zaczęła się zastanawiać jak naprawić relację między nią a byłym szoferem.

Rozdział 32

W Allende mieście położonym kilkadziesiąt kilometrów od Monterrey, w lokalnym barze jak co wieczór swoim śpiewem męskich fanów zabawiała znana artystka cumbii, która była tutejszym bożyszczem poruszającym się ponętnie pomiędzy gapiącym się tłumem. Bar ten był znany na okolicę dzięki występom tancerek. Aby się czegoś napić i chwilę się odprężyć po podróży swoją stopę postanowił postawić tutaj boski Edmund, który wydostając się z okowów śmierci, właśnie zaczynał swoje nowe życie. Mężczyzna stanął w progu i rozglądając się chwilę z rękoma zawieszonymi na spodniach, postanowił podejść do stolika, przy którym siedziało dwóch nieznanym facetów.

— Mogę się przysiąść? — zapytał typowo męskim twardym głosem.

— Proszę bardzo — odpowiedział jeden z nich, popijając tequile.

Edmund odsunął krzesło i spoczął na nim rozkrokiem, przypatrując się piosenkarce tańczącej na scenie.

— Kelner! — zawołał, wskazując palcem — kieliszek wódki proszę albo nie...całą butelkę! Muszę uczcić smak wolności.

— Nigdy cię tutaj nie widzieliśmy...nie jesteś stąd prawda? — spytał jeden z obcych mężczyzn.

— Przyjechałem nie dawno.

— A skąd, jeżeli można spytać?

— Z daleka — odpowiedział Edmund i ze wzrokiem utkwionym w ponętą piosenkarkę przechylił do dna kieliszek, który na stoliku właśnie postawił mu kelner. W barze dało się słyszeć pogwizdywania i oklaski na widok tak pięknej kobiety, która zdecydowała się podejść do nowego nieznanego, gładząc go po twarzy i przyciągając swym śpiewem, co wprawiało w zazdrość innych adoratorów.

Odwracając się, podfruwajka znów ruszyła na scenę, prowokując dalej. Edmund, mimo że czasami brakowało mu rozumu, jednak uchodził za przystojniaka silnego i wysokiego, więc wśród damskiej publiczności zawsze miał powodzenie. Gdy tak siedział wgapiony w tancerkę, popijając kieliszek za kieliszkiem, z tłumu poderwał się do niego jakiś niesforny dryblas, który poczuł się zazdrosny o piękną solistkę.

— Ej ty chłoptasiu to moja panienka!

— Chłoptasiu?! — zdenerwował się Edmund, wstając, poderwany ochotnik nie tłumacząc się, odwinął prawą rękę i już miał zamiar uderzyć przeciwnika z pięści w twarz, ale ten nie był boi dudkiem, w końcu współpracował z mafiozem,

więc szybko zatrzymał rękę przeciwnika swoją dłonią i walnął go w brzuch, aż ten przewrócił się na stolik obok.

— Chłopaki bójka! — krzyknął ochoczo jeden z bywalców baru. Więc po chwili wszyscy rzucili się na wszystkich, ponieważ już nie wiadomo było, kto zaczął. Edmundowi pasowały takie klimaty, ponieważ dawno nie dał nikomu po pysku, więc z ochoczym uśmiechem na twarzy boksował, kogo popadło, to z prawa to z lewa. I tylko biedna piosenkarka uciekała z krzykiem pod bar, próbując schronić się przed fruującymi krzesłami i butelkami.

Rozdział 33

Nastał ponury poranek, który dla budzącej się z wielkim bólem głowy Oriany mógł okazać się decydujący. Poprzedniego dnia zachowała się skandalicznie, teraz wymyślanie, jakiego kolwiek tłumaczenia raczej nie miałyby sensu, więc jeszcze odurzona kobieta z powrotem położyła na poduszce wirującą głowę, którą na chwilę uniosła, mając zamiar już wstać.

W dodatku do jej pokoju właśnie wszedł zawiedziony Thomas z miną jak zaraza.

Podchodząc do łóżka, odwinął satynową kołdrę.

— Wstawaj!

— Co ty wyprawiasz? Nie widzisz, w jakim jestem stanie... zamiast tutaj wpadać z hukiem, mógłbyś być trochę bardziej uprzejmy, przynosząc mi tabletkę na ból głowy.

Thomas nie mógł uwierzyć, że jego przyszła zona mogła być aż taką ignorantką. Zachowywała się tak, jak by się nic nie stało, podczas gdy on ze wstydu nie mógł zmrużyć oka.

— Dlaczego mi to zrobiłaś...?

— Ale co takiego misiu? — udawała głupka rozleniwiona kobieta, wiedząc, że nie dałaby rady, wygrać tej dyskusji lepiej było w nią nie wnikać.

— Dlaczego mnie ośmieszyłaś na oczach gości!?! — krzyknął chłopak, rozbijając o podłogę pustą butelkę po winie, która stała na toaletce. Alkoholiczka w jednej chwili rozbudziła się, siadając wystraszona na łóżku.

— Co ty wyprawiasz?!

— Odpowiedz na moje pytanie, bo nie ręczę za siebie...

— Przepraszam, nie chciałam cię zawieść...to było tylko parę lampek wina...

— Tylko tyle masz mi do powiedzenia? w takim razie ubieraj się, przez kilka dni nie chcę cię widzieć. Jeżeli tak ma się zachowywać moja żona, to muszę się zastanowić, co z nami będzie — Mężczyzna wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami, pozostawiając Oriane w ogromnej niepewności. Nagle dotarło do niej, że przez swój głupi błąd mogła wszystko stracić, dlatego, gdy tylko się ubrała, postanowiła spakować rzeczy i na kilka dni opuścić rezydencję, aby jej narzeczonemu minęła złość. Wtedy na pewno za nią zatęskni i da się udobruchać. Więc po dwudziestu minutach nie żegnając się, opuściła dom.

Gdy tylko jej auto zniknęło za bramą, przy bezradnym Thomasie, który łapał myśli i oddech nad basenem

zaraz zjawiła się Laura. Oh...czy ona wreszcie nie mogłaby się zdecydować...? Raz nienawidziła, a za chwilę już patrzyła innym wzrokiem. W końcu, postanowiła dotrzymać mu towarzystwa, siadając obok. Thomas

początkowo nie zwracał na nią uwagi, ale ta nie zrażając się, myślała jakich słów użyć, by go pocieszyć po tym feralnym wieczorze. Oczywiście w głębi duszy uważała, jednak że należał mu się taki prztyczek w nos, ponieważ on zaczął go za bardzo zadzierać, ale z drugiej strony skoro ten nowobogacki paniczyk dostał już nauzkę, nie było sensu więcej go karać.

— Zauważyłam, że twoja dziewczyna już pojechała

— Nie chcę o tym rozmawiać

— Rozumiem, ale może na to, co się stało, popatrz inaczej...

— To znaczy jak?

— Być może właśnie teraz odkryłeś prawdziwą twarz kobiety, z którą chciałeś spędzić resztę życia.

— ...od kiedy ją poznałem, nigdy nie gardziła lampką wina, ale nie spodziewałem się, że posunie się do tego stopnia, aby zrobić z siebie a przy okazji ze mnie, pośmiewisko na oczach wszystkich, ale być może masz rację, to chyba jej prawdziwa twarz, na którą na razie nie mam ochoty patrzeć.

Serce Laury podskoczyło w górę w nadziei na nowy, być może lepszy początek.

— Nie martw się, wszystko będzie dobrze — mówiła, starając się pocieszyć tego nieszczęśnika, lecz on był bardziej przezorny, niż sądziła.

— A ty jaką masz twarz? — spytał, patrząc na nią, chcąc się jakby upewnić, że znów nie popełnia błędu, ufając.

— Ja...?

— Wieże, że się zmieniłaś, ale nigdy nie zapominaj, że także byłaś samolubną egoistką.

— Przecież już mi się odwdzieczyłeś tymi głupimi zaręczynami. Będiesz mnie karał do końca życia? Uwierz mi wreszcie, teraz nie masz przed sobą już tej rozwydrzonej panienki. To ja... Laura, już nie pamiętasz, jak tańczyliśmy na zabawie razem. Przepraszam, że cię wtedy obraziłam.

— Byłaś strasznie pijana i plątały ci się nogi — roześmiał się Thomas, który wpatrując się na swą służącą, wreszcie nie czuł złości ani chęci odwetu. Po raz pierwszy w życiu poczuł, że ta rozmowa była do głębi prawdziwa. Gdy tak dalej spoglądał na Laurę, która opowiadała przygody, jakie wraz z Elvisem przeżyła w górach, przez głowę przeszła mu myśl, że ta katarynka jest jednak strasznie fajna, miło się na nią patrzyło, gdy wymachiwała rękoma i śmiała się w głos, z tego, jak uciekała przed niedźwiedziem. Więc ten młodzieniec wreszcie zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel Bony miał rację. Po co się żenić z tą, której nie kochał. Mężczyzna w jednej chwili podjął decyzję, że tamta pani pozostanie już tylko wspomnieniem, a zaręczyny zostaną zerwane. Jeszcze tego Laurze nie oznajmił, ale patrząc na jej szczerzy i niewinny uśmiech, to z nią chciał się związać. Tym razem był tego pewien.

Jednak dla tych dwojga, szczęście nie było jeszcze długo pisane. Nie wiadomo, z której strony nagle nadeszła burza, która znów namąciła w ich sercach. Kilka dni później do rezydencji dotarła gazeta, którą jak zawsze Fermin dostarczał panu wraz z poranną kawą.

Tym razem jednak był w niej wyjątkowy artykuł pod tytułem „Baldur Romero znany przedsiębiorca i szef firmy budowlanej porzucił własnego syna”. Nie wiadomo skąd wyciekły te informacje.

Oczywiście ten nagłówek musiał zainteresować Laurę, która siadając przy stole w kuchni, zaraz zaczęła czytać tekst. Ze zdumieniem otworzyła szeroko oczy, ponieważ nie dowierzała w to, co było tam napisane ... Thomas Romero farciarz i milioner z Monterrey został porzucony w dzieciństwie przez własnego ojca... pokojówka musiała przeczytać tę część zdania jeszcze kilka razy, zanim na dobre odjęło jej mowę.

Rozdział 34

— Czy to naprawdę możliwe? — mówiła sama do siebie Laura. Biedna zadurzyła się, w chłopaku, którego ojciec... w tej jednej chwili tego w jej życiu było już za wiele. Thomas był synem tego opryszka! W takim wypadku związek z kimkolwiek z tej rodziny wydał się absolutnym grzechem. Służąca miała wrażenie, jakby zdradzała własną matkę i ojca, czując co kolwiek, do byłego szofera. Jeszcze przez moment siedziała przy stole, mając przed sobą leżącą gazetę. Wzrok miała utkwiony gdzieś w dal. Z każdą sekundą pojawiała się w niej coraz większa nienawiść, która natychmiast zaprowadziła ją do gabinetu swojego szefa. Wpadając jak burza, o mało nie rozwalila drzwi, wprawiając tym samym w zdziwienie Thomasa, który kompletnie nie wiedział, o co mogło chodzić.

Odurzona z wściekłości kobieta rzuciła mu na biurko gazetę i z nienawiścią skierowała na niego wzrok.

— Co się stało? Dlaczego trzasnąłaś drzwiami?

— Jesteś synem tego łajdaka ty kłamco!

— Co ty wygadujesz?

— Nie wypieraj się! W tej gazecie jest wszystko napisane! Ten drań zabił moich rodziców. Żyłam świetnie, miałam dom i Kochającą rodzinę, ale zjawiłeś się ty i twój tatuś... odebraliście mi to wszystko, nie miałeś mi odwagi powiedzieć prawdy? a może wstydziliście się ojca mordercy?...wiesz co? Nigdy nic do ciebie nie czułam, dla mnie zawsze byłeś i będziesz głupim biedakiem, który zawsze żebrał o moje uczucia! — krzyknęła Laura, ocierając łzy z oczu i wybiegła z gabinetu, zostawiając Thomasa kompletnie oszołomionego, który po chwili wziął do rąk artykuł i przeczytawszy go, pobiegł do matki, która siedziała w ogrodzie, popijając herbatę.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

— O czym? Dlaczego się tak unosisz i wymachujesz mi jakąś gazetą przed nosem?

— Nie powiedziałaś mi, kim stał się mój ojciec...jestem pewien, że wiedziałaś o tym od samego początku, prawda...?prawda?!

— Tak...

— Laura twierdzi, że to on stał za śmiercią jej rodziców, teraz mnie obwinia o wszystko. Dlaczego nie odezwałaś się na ten temat ani słowem?!miałem prawo wiedzieć...

— Synku ten człowiek jest bardzo niebezpieczny, nie chciałam, żebyś miał z nim cokolwiek wspólnego. A poza tym on tak dawno zniknął z naszego życia...

— Ale teraz znów wrócił i je niszczy...! Drugi raz na to nie pozwolę...!

Pani Lourdes chciała zatrzymać syna, który wszedł jak szalony do

samochodu i odjechał w nieznanym dla niej kierunku. Wiedziała, że z tego nie mogło wyjść nic dobrego.

Tymczasem on zajechał pod dawną rezydencję Monroyów z zamiarem rozprawienia się z przeszłością. Był pewien, że tutaj właśnie ją odnajdzie. Ledwo co zatrzymał auto, wbiegł prosto na schody domu, w którym teraz zamieszkiwał jego ojciec. Wściekły syn w pierw zaczął przyciskać domofon, ale gdy nikt się nie pojawił, zaczął walić ręką w drzwi.

— Otwórz ty zdrajco! Wiem, że tam jesteś! Otwieraj!

Tymczasem w środku zaniepokojony lokaj szybko zawiadomił właściciela, który jadł śniadanie.

— Kto tak się dobija?

— Panie Romero nie mam pojęcia, ale to chyba jakiś szaleniec, lepiej mu nie otwierać.

— Baldur zdenerwowany, że ktoś w taki sposób ośmielił się przerwać mu posiłek, rzucił chusteczką o stół i podszedł do dużego okna w salonie, lekko odsunął zasłonkę, aby zorientować się, kim jest ten człowiek.

— Otwieraj! Słyszysz! Bo zaraz wywalę te cholerne drzwi! — dobiegały krzyki z zewnątrz.

Zbir dał znak majordomusowi, żeby do nich nie podchodził, ponieważ on sam się najpierw zastanawiał, kim był ten rozwrzeszczany, niezmęczony dobijaniem się chłopak, przed jego domem.

— Otwieraj ty tchórze! Boisz się własnego syna?!

— Syna? — do Romera właśnie dotarło, na kogo spoglądał przez szybę i z kim miał do czynienia. Odchodząc od okna, dziwnie milczał, słuchając krzyków swego obcego dziecka, którego nie widział od lat. Jednak stchórzył i nie miał ochoty z nim rozmawiać, nigdy nie pociągała go wizja tatusia więc dlaczego teraz miał się tłumaczyć? W dodatku jeszcze nie wiedząc z czego. Nie czuł żadnych więzi, dlatego teraz czekał tylko, aż ten dureń przestanie wrzeszczeć i w końcu odejdzie. I tak na parę chwil krzyki ustały, więc lokaj spojrział się z ulgą na swego pana...ale jednak się mylili, nie zdążyli nawet mrugnąć, gdy to frontowe drzwi z hukiem wleciały do środka salonu, a roztrzaskana szyba rozsypała się pod same stopy bezdusznego bandziora. Thomas nie wytrzymał i jedną nogą kopnął bardzo mocno, po czym spojrział w głąb salonu, gdzie stał jego obcy ojciec. Lokaja już dawno tam nie było, ponieważ schował się przerażony w kuchni. Baldur nie mając już nic innego do stracenia, chciał, chociaż wygłosić mowę powitalną na cześć swego dawno niewidzianego potomka.

— Kopę lat synu — zawołał... i z miejsca dostał w pysk. Thomas nie miał najmniejszego zamiaru z nim dyskutować.

— Dlaczego mi to zrobiłeś!? Dlaczego!? Dlaczego!? — wołał, okładając leżącego bossa po twarzy.

— Czym ja sobie zasłużyłem, że to ty jesteś moim ojcem!

— Dotąd żałuję, że się ożeniłem z twoją matką...chcesz wiedzieć, dlaczego was zostawiłem? Bo ona była tylko głupią służącą, z którą u boku nigdy bym nie zdobył tego, co teraz mam — mówił szyderczo zbir z zakrwawionymi ustami.

Wiec Thomas oburzony obłożył go pięścią jeszcze parę razy i wstając, po raz ostatni spojrzął z pogardą na tę leżącą świnie, która go zostawiła, ponieważ nigdy już nie chciał go oglądać. Jedyne co jeszcze miał mu do dodania to splunięcie w jego obitą głowę.

— Głupi gówniarz — mamrotał przestępca, ocierając krew z twarzy.

Gdy młody psycholog wrócił do rezydencji, nie miał ochoty rozmawiać z kimkolwiek, chociaż jego matka prosiła, aby jej wszystko wyjaśnił, ale on od razu pobiegł do swojego pokoju i tam spędził resztę dnia. Gdy tak leżał na łóżku, próbując ochłonać, w pewnym momencie zrozumiał, że teraz po tylu latach poczuł ulgę, wreszcie spełnił swą obietnicę z dzieciństwa i zabił potwora ze swych największych koszmarów. Odgrywając się na nim, jeden z kamieni spadł mu z serca. Niestety... drugim kamieniem była Laura, która znów rzuciła mu w twarz obelgą, nazwała biedakiem... ponownie wzgardziła. Duma byłego szofera znów została urażona.

— Jak ona mogła mi to zrobić...przecież między nami wszystko układało się tak idealnie...stwierdziła, że ja okłamałem, nie zaufała mi ani nie próbowała porozmawiać, oskarżyła mnie, nie wiedząc nic. Myślałem, że jednak się zmieniła, ale ona zawsze będzie zarozumiałą pannicą, niech idzie do diabła...

Po kolejnym rozczarowaniu, jakiego chłopak doznał ze strony pokojówki, postanowił natychmiast wybaczyć pijacki wybryk Orianie, która na jeden znak znów zjawiała się u jego boku. Przepraszając za wszystko, przysięgła, że już nigdy nie zachowa się w tak niegodny sposób. Mimo że Thomas tym razem już był pewien, że nic do niej nie czuje oprócz przywiązania i przyjaźni to miał zamiar tym małżeństwem raz na zawsze przekreślić wspomnienia i myśli o swej służącej.

Wyniosła kobieta znów panoszyła się po całym domu jakby już była jego panią. Na dodatek rozkazywała służbie bardziej niż przedtem. Strach pomyśleć co będzie, kiedy wyjdzie za mąż...na szczęście znalazł się ktoś, kto na krótką chwilę znów postanowił popsuć jej humor. Przyglądając się tej niezbyt mile wyglądającej czarownicy, Elvis miał jej już serdecznie dosyć, prawdę mówiąc stresował się trochę, ponieważ przy niej nie mógł się swobodnie bawić. Ciągłe słyszał tylko, nie biegaj tędy, a tego nie dotykaj... jak by był jakąś zarazą, więc w odwecie postanowił zasiać ziarenko, które doprowadzałoby ją według niego wstrętą zabe do furii. Podskakując wesoło wkoło kanapy, na której Oriana popijała herbatę, wygłosił:

— Thomas ożeni się z Laurą, Thomas ożeni się z Laurą...

— Coś ty mały powiedział...? — zezłościła się przyszła pani domu,

zatrzymując chłopca za rękę.

— To, co słyszałaś, Thomas ozeni się z Laurą a ty odlecis na swojej miotle...

— Głupi bachor! — parsknęła wyrachowana oszustka. Oczywiście uznała to za niesmaczny dowcip, lecz mimo wszystko nie miała zamiaru tak po prostu pozostawić tej sytuacji, biorąc los w swoje ręce, zaraz udała się na górę do narzeczonego, gdzie ten siedział, przeglądając jakieś notatki, dotyczące swych pacjentów.

— Puk, puk

— Proszę.

— To ja...

— Czy coś się stało?

— Nie...czy nie mogę cię tak po prostu cię odwiedzić...

— Co ty robisz, zejdz z moich kolan, przecież widzisz, że jestem bardzo zajęty.

— Oj nie denerwuj się tak, chciałam cię tylko zobaczyć, a tak przy okazji zapytać się jakie menu powinnam wybrać.

— Wybierz, co chcesz, ja dzisiaj nie jestem głodny.

— Misiu...chodzi mi o menu na nasze wesele.

— Ach tak... wesele, ale to dopiero za cztery miesiące, po co się tak spieszyć.

— Właśnie przyszłam tutaj, ponieważ chcę z tobą porozmawiać, o dacie naszego ślubu.

— Nie odpowiada ci ona? Zbyt szybko? Rozumiem, wy kobiety zawsze się stresujecie, jak sobie życzysz, możemy przełożyć ją na później.

— Nie, nie... zastanawiałam się nad tym, aby ją przyspieszyć, na przykład za dwa tygodnie...

— Za dwa tygodnie? Tak szybko?

— Uważam, że nie ma sensu czekać. Przecież to głupi papierek, podpiszmy go jak najprędzej i będziemy mieli to z głowy.

Thomas oczywiście był odrobinę zawiedziony, słysząc, że jego narzeczona uważała ich ślub, za coś dodatkowego, ale jednak po krótkim namyśle zgodził się, czując do siebie niechęć Laury, która dowiadując się o kolejnej wyznaczonej dacie ślubu, zamknęła się w swoim pokoju, nie chcąc go już nigdy opuszczać.

Siostra Thomasa cały czas nie dając za wygraną, próbowała przekonać tę upartą istotę, że się myliła.

— Uwierz mi, że mój brat naprawdę nie miał pojęcia, czym do tej pory zajmował się nasz ojciec. Rozmawiałam z nim na ten temat i z całą pewnością mu wieże.

Bezradna pokojówka spojrzała przez chwilę na koleżankę z pytającym

wzrokiem, jak by chciała się upewnić, że to prawda, ale po chwili jej upór i duma wciąż dawały o sobie znać.

— Nie trudź się, ja nie wierzę temu zdrajcy, jego matka musiała mu przecież wyjawić prawdę, a on to przede mną ukrywał. Pewnie bał się, że gdy odkryję, kim jest jego tatuś, wszystko opowiem prasie, ale ja nie jestem taka jak oni.

— Ona nic mu nie wyjawiała, ponieważ chciała go chronić.

— I tak w to nie uwierzę!

— Ty ośli uparciuchu! Jeśli masz zamiar wierzyć w tę bzdurę, to proszę bardzo, ale pamiętaj, że przez ciebie mężczyzna twego życia za dwa tygodnie ożeni się z tą chodzącą karykaturą! Dlatego weź się w garść i przemyśl swoje postępowanie, za nim będzie za późno — oznajmiła oburzona Amelia i wyszła z pokoju, pozostawiając Laurę z największymi wątpliwościami w jej życiu.

Więc ta zaczynająca naprawdę wątpić w swą słuszność racji postanowiła przejść się po ogrodzie, aby nabrać trochę świeżego powietrza i przemyśleć wszystko.

— A jeżeli Amelia ma rację...jeżeli popełniam największy błąd w swoim życiu... — rozważała, ciągnąc jednak swoje myśli w kierunku niewinności Thomasa, lecz gdy tak spacerowała zamyślona, nagle ktoś jej zatkał usta ręką i pociągnął za sobą, chowając się za drzewem. Służąca miała już krzyknąć, ale ze zdumieniem otworzyła szeroko oczy, ponieważ przed nią stał Santos Mendosa...

Rozdział 35

— To pan?

— Tak to ja, ale bądźmy ostrożni, ponieważ nie chce, żeby kto kolwiek wiedział, że żyję.

— Dlaczego?

— Ponieważ morderca twojego ojca myśli, że mnie zabił. W dniu pogrzebu twoich rodziców porwali mnie jego wspólnicy i związanego wrzucili do rzeki.

— Tak...pamiętam, że miał mi pan coś powiedzieć, ale potem gdzieś zniknął.

— Nie krzycz tak, bo ktoś nas usłyszy. Posłuchaj co mam ci do powiedzenia, a później znów zniknę na jakiś czas. Za parę tygodni kończysz dwadzieścia jeden lat. Twój ojciec spodziewał się najgorszego, więc spisał testament, który zakopałem w jego grobie.

— Co takiego? To o tym chciał mi pan powiedzieć, zanim zniknął?

— Tak, właśnie o tym. To było jedyne bezpieczne miejsce. W testamencie tym jest klauzura wyraźnie mówiąca o tym, że gdy ukończysz dwadzieścia jeden lat, przejmiesz firmę i będziesz mogła odzyskać swój dom, który ukradł ci ten łajdak. W pogrzebowym garniturze Valentina ukryłem także dokumenty związane z fałszerstwami i matactwami. Z dniem, w którym przejmiesz majątek, ujawnimy całą prawdę.

— Ja nie mam zamiaru czekać, odzyskam ten testament jeszcze dzisiaj w nocy.

— Nie! To by nic nie dało. Klauzura uczyni cię właścicielką Firmy Monroyów z chwilą, kiedy twój wiek będzie zgodny z testamentem. Takie jest prawo i nie możesz jej przejąć wcześniej. Wież mi, że te dokumenty są tam bezpieczne, a jeżeli już teraz przed czasem ujrzą światło dzienne...sama rozumiesz, że mogłyby wpaść w niepowołane ręce.

— ...Tak, racja. Kiedy przyjdzie odpowiedni czas, odzyskam wszystko i pośle tego zbrodniarza za kratki.

— Zapamiętaj, w noc twoich urodzin przyjdę po ciebie i razem pójdziemy na cmentarz. Jeszcze jakieś pytania?

— Nie, będę na pana czekać.

— W takim razie do zobaczenia.

Gdy Mendosa pożegnał się, podbiegł do wysokiego ogrodzenia i sprytnie wspinając się na nie, przeskoczył na drugą stronę, za posesję Romerów.

Laura jeszcze przez kilka chwil stała przy drzewie z uszczęśliwioną miną, ponieważ łaskawy los dał jej szansę na odzyskanie tego, co należało do jej rodziny. Przez swą nieuwagę nawet nie zauważyła, że całą rozmowę słyszała Oriana, która w tym samym czasie znalazła się w ogrodzie. Kobieta ta od razu wyczula w tym

swój interes i wiedziała, że ta wiadomość za parę tygodni może jej się przydać.

Gdy Laura wciąż myśląc o tym, co się wydarzyło, weszła do kuchni, spojrzęła na zegarek wiszący na ścianie i stwierdziła, że zbliżała się już godzina czternasta. Pora, kiedy Elvis zazwyczaj wracał ze szkoły. Więc szybko zabrała się za przygotowanie obiadu dla niego. Minęło jeszcze pięć minut, kiedy to mały uczeń wrócił. Jednak po raz drugi odkąd zaczął naukę szkolną, zdarzyło mu się przyjść z posępną miną. Więc jego towarzyszką, znając go bardzo dobrze, już od drzwi wyczula, że znów coś się stało. Chłopiec zdjął teczkę z pleców, położył ją na stole i podparł głowę łokciami.

— Co się znów stało? Dlaczego jesteś taki zasmucony?

— Mam problem.

— To widzę, ale jaki?

— Jestem zdrajcą.

— Kim?

— Zdrajcą.

— Ale dlaczego?

— Dzisiaj na pserwie pserd ostatnią lekcją matematyki Hana zapytała się, czy mógłbym jej pozycyc kilka swoich kredek, więc jako kulturalny człowiek zgodziłem się, ale na moje nieszczęście Malika nas nakryła, zuciła we mnie kanapką, którą jej dałem i powiedziała, że nie chce mnie więcej widzieć. W dodatku nazwała mnie zwykłym podrywaczem.

— Oh...to naprawdę poważna sytuacja — zachichotała się Laura — posłuchaj, może wystarczy, że ją przeprosisz i wyjaśnisz, że jesteś niewinny.

— Próbowałem, ale ona nie chciała mnie słuchać. Powiedziała, że ze mną zrywa i już nigdy więcej się do mnie nie odezwie.

— W takim wypadku...trzeba zastosować inną metodę — dodała Eva, która wszystko słyszała, stojąc przy drzwiach.

— Ale jaką? — zapytał Elvis.

— Wiesz mały, co to jest serenada? To działa na wszystkie dziewczyny i te małe i te duże.

— I to pomoże?

— Tak, musisz wybrać tylko piosenkę, która ponownie skradnie serce tej dziewczynki — odparła służąca i zaraz przysiadła się proponując kilka romantycznych utworów.

Tymczasem Laura nie przeszkadzając im, wzięła ściereczkę i płyn myjący, aby móc posprzątać kurze w salonie. Jednak gdy już miała do niego wejść, powstrzymała się, ponieważ wraz z kilkoma szwaczkami stała tam przysła pani Romero, przymierzająca suknię ślubną. Właśnie trwały ostatnie poprawki. Sprzątaczką na widok pięknej sukni poczuła zazdrość i smutek. Przypomniały jej się słowa Amelii o niewinności Thomasa, dlatego ogarnęły ją duże wątpliwości czy

rzeczywiście dobrze zrobiła po raz kolejny, odrzucając jego uczucia. Przecież teraz to ona mogłaby tak stać, obracając się w bieli z koronkami, ale jak zwykle postanowiła się unieść dumą i wszystko popsuć. Teraz już niczego nie była pewna, dlatego postanowiła zdać się na los i nie ingerować już w niczyje życie.

— Jeżeli Thomas wybrał tę wydrę, widocznie tak musiało być.

Gdy zbliżył się wieczór, pokojówki wraz z małym romantykiem były gotowe do wyjścia. Dowiedziawszy się, gdzie mieszkała jego ukochana, cała trójka postanowiła się tam udać z zamiarem zażegnania sporu pomiędzy dziećmi. Elvis ubrał się w swój mały garniturek, zabrał ze sobą bukiet najpiękniejszych kwiatów zerwanych w ogrodzie i gitarę, którą dostał w prezencie od Laury, ponieważ wiedziała, jak on lubił śpiewać. Po drodze oczywiście do starego znajomego dołączyli Romeo, Alfred, Stefan i Lalo, którzy to mieli służyć za chórzystów drugoplanowych.

Dom dziewczynki nie było zbyt daleko, to tylko parę przecznic. Elvis wysiadając z auta, dokonał ostatnich poprawek muchy którą miał na szyi, ustawił się pod odpowiednim oknem, przygotował sprzęt, chrząknął dwa razy dla poprawienia tonu głosu i z pomocą kumpli pstrykających na początek palcami, zaczął śpiewać ku radości i zdumieniu małej kokietki z warkoczykami, która wyglądała przez okno...

Wiesz, że możesz mnie znaleźć

Siedzącego samotnie w domu.

Jeśli nie możesz wpaść,

Przynajmniej proszę o telefon.

Tylko nie bądź okrutna

Dla serca, które jest szczere.

Kochanie, jeśli Cię rozżółciłem.

Przez coś, co mogłem powiedzieć,

Proszę, zapomnijmy o przeszłości

Przed nami świecą przyszłość.

Tylko nie bądź okrutna

Dla serca, które jest szczere.

Nie chcę żadnej innej miłości.

Kochanie, myślę tylko o Tobie.

Elvis Presley-Don't Be Cruel

Rozdział 36

Bony będąc zatrudnionym u swego przyjaciela, od kilku dni z dumą pełnił funkcję ogrodnika, przycinając i pielęgnując kwiaty. Wprawdzie nie znał się na nich zbyt dobrze, ale w końcu, od czego były poradniki o ogrodach. Po przeczytaniu kilku podręczników zaraz można było się zorientować jak dbać o te cenne rośliny. A w tak dużym ogrodzie było ich mnóstwo i wszystkie przeróżne. Lourdes przy zakupie rezydencji celowo kierowała się wyborem takiej, która by miała bardzo duży ogród, ponieważ kochała kwiaty, dlatego teraz Bony miał co robić. Nie czuł się przy nich taki samotny jak dotychczas. Czasami nawet z nimi rozmawiał, ponieważ był przekonany, że wiernie go słuchały. Zwierzał się im z tego, że pewna niesforna pokojówka imieniem Eva kompletnie nie zwracała na niego uwagi, chociaż on bardzo się starał i codziennie nosił za nią ciężkie zakupy do kuchni. Tego południa jednak jego los się odmienił i samotność odeszła w dal. Pech chciał, że niesforna kuchareczka przechadzała się koło basenu jak zwykle zamyślona nad sprawami dnia codziennego. Tym razem dedykowała nad tym, jaka przyprawa lepiej by pasowała do kurczaka, którego zaraz miała przyrządzić. Była miłośniczką gotowania, w którym to zresztą była bardzo dobra. A więc pech chciał, iż niechcący tak się zamyśliła, że wpadła do wody, oczywiście zaraz zaczęła krzyczeć, ponieważ nie umiała pływać. Na szczęście w pobliżu był pewien supermen, który pieląc kwiaty, usłyszał jej wołanie. Odwracając się w stronę basenu, ujrzał damę w potrzebie, natychmiast rzucił małe grabki, które trzymał w ręku i z rozpędem pobiegł na ratunek, zdążył w porę, ponieważ dama jeszcze chlapała się na powierzchni, łapiąc oddech. Wskakując do basenu, bohater chwycił tąpającą się i obejmując swymi silnymi ramionami, wyciągnął ją na trawnik.

— Wszystko w porządku? — zapytał zdyszany.

— Tak, dziękuję. Już myślałam, że to koniec.

— Dobrze, że byłem nie daleko, inaczej już byś spoglądała w stronę białego światła.

— Tak to prawda — roześmiała się dziewczyna, która wreszcie dostrzegła szerokie ramiona Bonego...

Rozdział 37

Susi Almansa, najlepsza przyjaciółka Oriany Mercado jak o sobie sądziła, siedziała jak co wieczór z butelką wina obok, dławiąc w niej swoje największy smutek, jakim była strata ukochanego. Zazwyczaj o tej porze dzwoniła do niej powiernica, by zdać relację z codziennego dnia, ale depresja Susi pogarszała się na, tyle że coraz częściej nie odbierała ona żadnych telefonów. Wolą siedzieć na kanapie i pić. W dzień wydawać by się mogło, że była to normalna złośliwa dziewczyna, trochę irytująca, lecz znośna, jednak wieczorami, które zresztą zawsze przepłakiwała, zamykała się w swoim domu na przedmieściach. Nikt kto ją znał, nawet by nie pomyślał, jak głęboko zraniona była ta dwudziesto paroletnia samotnica. Była jeszcze taka młoda, lecz życie skończyło się dla niej przed trzema laty, kiedy to mężczyzna, którego kochała najbardziej na świecie, nagle nie zjawił się na ich ślubie. Biedaczka stała w swej wymarzonej białej jak płatek śniegu sukni i koronkowym welonie, przed kościołem, którego wewnątrz usłane było niebieskimi kwiatami. Para razem miała do niego wejść i stanąć przed ołtarzem, a potem złożyć sobie przysięgę aż po śmierć. Tak przynajmniej obiecywał Marcus. Obiecywał także że zawsze będzie przy swej ukochanej, jednak w najważniejszym dla niej dniu się nie zjawił. Ciągle pytała dlaczego? lecz nie wiedziała gdzie szukać odpowiedzi. Nie dość, że Marcus Molina zniknął w tak haniebny sposób, to miał czelność, aby do tej pory nie dać znaku życia po sobie. Susi nie zastała go w domu, gdzie mieli razem zamieszkać, nigdy więcej go też nie widziała. Jedynym dowodem na jego zdradę był list, który Oriana znalazła w kaplicy. Ten bezczelny arogant napisał w nim, że tak po prostu zakochał się w innej i nie chciał by krzywdzić Susi, do której czuł wielki sentyment. Z tego względu wołał się nie żegnać, aby jej nie ranić. Jednak to mu się nie udało, ponieważ ta kobieta nie zdołała pokochać już nikogo innego. Przed tym zdarzeniem była dobrą, sympatyczną i uczciwie pracującą dziewczyną, która troszczyła się o innych, ale z czasem jej serce stało się zatwardziałe niczym kamień. Zaczęła szydzić z uczyć innych i przestała w nie wierzyć.

Rozdział 38

Laura stała w kuchni, dokończając obiad, który zaraz miał być podany w jadalni. Cały czas dręczyło ją sumienie, ponieważ po kolejnej rozmowie z Amelią na temat Thomasa jednak dotarło do niej, że popełniła błąd...ale jak zawsze nie można było cofnąć czasu ani wypowiedzianych słów. Do ślubu zostało tylko parę dni, więc cóż można było zrobić, gdy ten uparciuch nie chciał kompletnie rozmawiać ze swą pokojówką i ciągle jej unikał, wyciągając z serca swą urażoną dumę. W dodatku poprzedniego wieczora Laura usłyszała od Lourdes, że nigdy nie zdobędzie jej syna. Uparta kobieta ostrzegła dobrze służącą, iż ją obserwowała i zwróciła uwagę, w jaki sposób ona patrzyła na swego pana domu. Na nic zdały się tłumaczenia Laury na temat swej niewinności. Do dnia ślubu dostała kategoryczny zakaz zbliżania się do pana młodego.

W sumie obawy Lourdes były zrozumiane, ponieważ była bogaczka już raz miała swoją szansę, którą spuściła do kanału jak wodę toaletową, ale co zrobić, gdy serce nie chciało odpuścić i czuło ciągłą zgryzotę. Na nic się zdały wyrzuty sumienia, trzeba było się zastanowić jak uniknąć tego feralnego ślubu, który z pewnością stałby się początkiem końca fortuny młodego psychologa.

Więc skoro zaistniała potrzeba, aby go wyrwać z łap tej harpii, Laura po obiedzie znów zebrała swą świtę w pokoju, aby się naradzić. Ta gaska wreszcie się ocknęła i zrozumiała, że bez byłego kierowcy byłaby nieszczęśliwa do końca życia. Amelia także była zadowolona z przebiegu sytuacji, ponieważ temu uparciuchowi przemówiła do rozumu. Teraz pozostało tylko wpaść na pomysł jak wyrwać z tych sidła jej brata...niestety długo nikomu nic nie przychodziło do głowy. To zadanie było niezwykle trudne.

Thomas był skołowany przez swą przyszłą małżonkę niczym poranne słońce...

Rozdział 39

Nadszedł dzień ostateczny... a raczej ślubu.

Oriana już kilka dni wcześniej na czas przygotowań zamieszkała w Rezydencji Romerów. Właśnie siedziała przed lustrem w szlafroku, osobiście dokonując ostatnich poprawek makijażu, chcąc olśnić przyszłego męża przed ołtarzem. Na ten dzień jednak zaprosiła także Susi, mianując ją swoją druhną, ponieważ nie miała oprócz niej żadnej innej koleżanki, która zgodziłaby się jej towarzyszyć w tym szczególnym dniu. Ze względu na tradycje para młoda miała się spotkać dopiero w kościele, dlatego dom należało opuścić osobno.

— Szybko! Pomóż mi włożyć tę sukienkę, bo mama mało czasu — panikowała Oriana, poganiając Susi, która i tak miała już pełne ręce roboty. Robiła też za fryzjerkę, dlatego też za nim skończyła ślubną fryzurę, minęły dwie godziny, pozostawiając tylko pół na ubranie się i dojazd do kościoła. Tymczasem Thomas chwilowo sam w swym pokoju poprawiał brązową muchę na szyi, wmawiając sobie, że się żeni z kobietą swego życia, jednak od czasu do czasu zdarzyło mu się wziąć głębszy oddech, jak by go ktoś popychał w stronę tego ślubu, ale przecież nie mógł się teraz wycofać, sam podjął taką decyzję i miał na względzie uczucia narzeczonej. Bony jako jego starszy drużba także szykował do wyjazdu limuzynę, ale miał wrażenie, że cała ta sytuacja przypominała raczej jakąś żałobę. Słusznie zauważył, że jedyną osobą oprócz samej panny młodej, która się cieszyła z tego dnia, była Lourdes jak zawsze wierząca w dobre intencje przyszłej synowej.

Gdy Thomas skończył się ubierać, włożył jako ostatnią czarną marynarkę i już miał wychodzić, gdy niespodziewanie z niewinną miną do jego pokoju weszła Laura, wpatrując się na niego z sentymentem.

— Czemu zawdzięczam twoją wizytę akurat teraz?

— Chciałam sprawdzić, czy naprawdę masz odwagę wyjść z tego pokoju i ożenić się z tą flą...

— Uważaj na słowa, mówisz o mojej przyszłej żonie.

— Nie będę owijała w bawełnę, tylko powiem wprost...

— Byle szybko, bo zaraz muszę wyjść.

— Przyszłam tutaj, aby cię przeprosić za to, jak cię potraktowałam.

— Przeprosić? Nie uważasz, że już za późno? najpierw nazywałaś mnie wieśniakiem i prostakiem, a gdy dałem ci ponownie szansę, oskarżyłaś mnie o współudział z moim... z tym panem, potem znów nazwałaś biedakiem. Jak mógłbym ci ponownie wybaczyć, nie mam już do ciebie zaufania, powinnaś mi podziękować, że jeszcze tutaj pracujesz.

— Ale ja naprawdę zrozumiałam swój błąd i doszłam do wniosku, że jesteś mężczyzną mojego życia, nie żęń się z nią... Laura, zbliżając się do Thomasa,

pocałowała go, myśląc, że to coś zmieni, lecz tym razem wydawało się, że miał on serce twarde jak gład, więc szybko odsunął od siebie dziewczynę, udając, że ten pocałunek nic dla niego nie znaczył.

— Ty naprawdę masz mnie za kretyna? Już za późno, trzeba było pomyśleć, za nim popełniłaś ten błąd — oznajmił pan młody i wyszedł z pokoju.

— Tak! Mam cię za kretyna i dlatego nie pozwolę ci popełnić największego błędu w twoim życiu...

Oriana już była gotowa.

— Pięknie wyglądasz, mam nadzieję, że chociaż jedna z nas będzie szczęśliwa — odparła Susi

— Przestań rozpaczać, dobrze wiesz, że Marcus nie był cię godzien.

— No rusz się, bo się spóźnimy... po co ja cię biorę ze sobą, równie dobrze mogłabym zatrudnić asystentkę.

Do kościoła zajechał narzeczony, który wysiadł z samochodu i zaczął witać zjawiających się przed nim gości.

— Czyż mój syn nie wygląda najprzystojniej na świecie... — stwierdziła Lourdes do stojących obok osób.

— Tak, pani syn jest wyjątkowym przystojniakiem, w dodatku takim bogatym — westchnęła jedna z pań starsza wiekiem irytacji Doni.

— No tak...przecież ty oskubałaś już czterech swoich mężów, czego innego można się po tobie spodziewać — pomyślała o starej dewotce.

Thomas niecierpliwie czekał wyglądając limuzyny. Ponieważ w głębi duszy chciał mieć to już za sobą.

— Jeszcze możesz się wycofać — szeptał do niego Bony.

— Nie ma mowy, pomyśl, jak ona by się poczuła, nie mam zamiaru jej krzywdzić.

— Tak? Dlatego wolisz krzywdzić siebie? Twój wybór.

Zbliżała się godzina ceremonii, więc wszyscy zaczęli się już niecierpliwic. Główny zainteresowany coraz częściej zaczął spoglądać na zegarek, na którym była już minuta po.

Może coś się stało? Dlaczego tak długo jej nie ma?

— Nie martw się synu, na pewno zaraz przyjedzie.

— Ale ona nigdy się nie spóźnia...

— Może jeszcze się uratujesz — zażartował Miranda, chowając się przed srogą miną Lourdes.

Minęło już pięćdziesiąt minut, a panny młodej w dalszym ciągu nie było widać na horyzoncie, dlatego zaniepokojony ksiądz wyszedł z kościoła zorientować się co do sytuacji.

— Moi drodzy, za pół godziny mam następną ceremonię, naprawdę nie mogę już dłużej czekać.

Nagle jeden z gości zawołał z tłumy

— Jedzie! Jedzie!

Z daleka wyłoniła się limuzyna, która zajechała wprost przed gości, którzy już zaczęli plotkować między sobą. Fermin, który na ten czas był szoferem, zamiast otworzyć przyszlęj małżonce drzwi, był jakiś dziwny i przestraszony.

— Ślubu nie będzie! Panna młoda uciekła...

Zamiast w kościele Oriana wraz ze swoją przyjaciółką siedziały zakneblowane i spętane w jakiejś małej obskurnej chatce z pajakami na głowach. Próbowaly wołać pomocy, ale były tak silnie związane, że nie dały rady się uwolnić. Laura okazała się na tyle sprytna, że z pomocą Evy porwała niedoszłą panią Romero i jej przyjaciółkę do innego auta jak tylko te wyszły z rezydencji, jednocześnie pozorując ich ucieczkę.

Oczywiście nie wpadła na to sama, od czego się ma przyjaciół, których Elvis zwołał i postawił na warcie. Alfred, Romeo, Stefan i Lalo mieli za zadanie pilnować, aby rozwrzeszczana była, kandydatka na żonę nie uciekła.

— Cicho kobieto! — krzyczał od czasu do czasu Stefan, trzymając warte u drzwi.

Rozdział 40

Uprowadzone panie próbowały wrzeszczeć, ale oprócz małej bandy nikt ich nie słyszał. I tak już wszystko było stracone, czas ślubu minął, a kariera w wyższych sferach właśnie wisiała na włosku. Chłopcy dobrze się spisywali, stojąc zawzięcie przy chatce za miastem. Tylko mieli już trochę dosyć tych wrzasków, ponieważ Oriana od kneblowała sobie jakoś usta.

— Zaraz mi uszy odpadną — stwierdził Romeo, a miał je spore, więc słyszał dobrze.

— Może są głodne? — zapytał Alfred, chcąc otworzyć drzwi do chatki, ale w ostatniej chwili powstrzymał go Lalo.

— Zgłupiałeś? — Elvis kazał nie otwierać.

— Oj przestań nic się nie stanie, dam im tylko cos do jedzenia.

— Mm...no dobra, ale zaraz wyłaz.

Alfred wszedł pomału do chatki i podchodząc do związanych pań, wyciągnął coś podłużnego z kieszeni.

— Emenemsa? — spytał hojnie.

— Ty mały gówniarzu! jak stąd wyjdziemy, zobaczysz, co ci zrobię! — krzyczała rozwścieczona Oriana.

— Skoro żadna z pań nie chce...to trudno — grubasek znów wyszedł z domku i zamknął drewniane drzwi na kłódkę.

Zapał już wieczór, a po niedosłej żonie nadal nie było śladu. Thomas zamknął się z butelką wódki w swoim pokoju, ponieważ nie miał ochoty kompletnie z nikim rozmawiać. Po takiej zdradzie zdążył się już nieźle naprać.

Jedynie Elvis mu towarzyszył, trochę go pocieszając.

— Powiedz mi, dlaczego ona mi to zrobiła? pytał porzucony psycholog plątającym się językiem.

— Wies, może dobrze się stało, że uciekła przed ślubem, a nie po...

— To dlaczego mnie zwodziła do ostatniej chwili, tak się starałem, aby ją uszczęśliwić a ona mi się tak odpłaciła...

— Psyjacielu, zmusas mnie, abym był z tobą scery... ona nie była wcale taka ładna, a nawet miła. Nie martw się znajdziesz kogoś lepszego i o wiele mądrzejszego, być może ktoś taki jest bardzo blisko... kto wie... a teraz wypłac się, bo to dobrze ci zrobi na twoje złamane serce.

— Nigdy jej tego nie wybaczę...

To, co wydarzyło się tego feralnego dnia, bardzo przygnębiło Thomasa. W końcu chodziło o jego własny ślub. Więc na ratunek przybył także Bony, jako jego najwierniejszy kompan nie mogąc już patrzeć na tę udrękę, postanowił zabrać go na zabawę, na której byli dokładnie rok wcześniej. Uważał, że zamiast upijania się

w samotności to będzie znacznie lepsze rozwiązanie i pozwoli wyrzucić z siebie wszystkie smutki. Romero pomimo początkowego oporu zgodził się jednak, ponieważ miał dość rozmyślania o tej w jego mniemaniu zdrajczynie. Więc wstając z łóżka, wyrzucił z górnej kieszeni od garnituru ślubny czerwony kwiatek do kosza i wyruszył na imprezę wieśniaków, na której zawsze bywał za dawnych czasów. Kiedy mężczyźni dotarli na miejsce, wokół kłębił się tłum, a muzyka cumbii rozbrzmiewała tanecznym rytmem. Znowu były tutaj te typowe długie kolejki po hamburgery i zataczający się wokół baru ludzie.

— To jest to! Stare czasy wróciły — stwierdził chłopak z zadowoleniem, na chwilę zapominając o sytuacji z nieudanym ślubem.

Wkręcając się w wielkie skupisko w poszukiwaniu starych znajomych, mężczyźni przypadkiem natknęli się na swoje służące. Oczywiście Eva wcześniej obgadała plan działania z Bonym, więc to nie był aż taki przypadek, ciągnąc za rękę Amelie, udała się na małego drinka, zostawiając Laurę i Thomasa sam na sam, wśród tłumu. Jednak ten nie zwracał na nią uwagi, ponieważ miał już dosyć kobiet. Uparta panienska, stojąc za nim, ze skruszoną miną, postanowiła się jednak nie poddawać.

— O...jeszcze tu jesteś? Myślałem, że już dawno sobie poszłaś.

— A ja myślałam, że od dzisiaj już na zawsze będziesz należeć do innej...

Thomas przez moment spojrzął się nietypowym wzrokiem na swą damę serca, wycytując w jej oczach dwa słowa, na które czekał od dawna, więc milczeniem odpowiedział na jej spojrzenie, postanawiając się przełamać i po raz kolejny przetańczyć w jej objęciach całą noc, która miała być zapomnieniem, od wszystkiego, co ich dzieliło.

Kolejnego ranka w rezydencji panowała kompletna cisza. Ze względu na pana domu nikt raczej nie starał się wspominać o tym, co się wydarzyło poprzedniego dnia. Laura, budząc się w bardzo dobrym nastroju, postanowiła przygotować śniadanie, które miała zamiar zanieść ukochanemu do Łóżka. Bardzo się przy tym postarała, więc kawa zaparzona przez nią, miała tego ranka wyjątkowy aromat. Służka Już miała brać tace ze śniadaniem do rąk i wyjść z kuchni, kiedy nagle w salonie usłyszała jakieś wrzaski, dlatego najpierw postanowiła to sprawdzić. Gdy wychyliła głowę z korytarza, w salonie zobaczyła rozwrzeszczaną Orianę, która w swym szale nie potrafiła się opanować. Rankiem sama kazała ją wypuścić z chatki, dlatego teraz nie była zaskoczona, spodziewała się takiej awantury, dlatego na razie, postanowiła się jeszcze nie pokazywać, lepiej było obserwować wszystko z ukrycia.

— Gdzie jest ta żmija! Gdzie ona jest! Wydobędę ją choćby spod ziemi!

Słyszac gwar, ze swojego pokoju na górze wyszła Amelia jeszcze w piżamie, ziewając.

— Co się dzieje...co to za raban...

Oriana wbiegła na schody, szarpiąc ją za ramiona i potrząsając.

— Ty też w tym uczestniczyłaś?! No mów, bo cię zabiję!

— O co si chodzi? Puść mnie wariatko! Jesteś nienormalna!

Laura, obawiając się o bezpieczeństwo przyjaciółki, wbiegła do salonu, chcąc powstrzymać ten zamęt.

— Zapłacicie mi za wszystko, słyszysz!

— Puść mnie! Jesteś stuknięta, zrobisz mi krzywdę!

— Nie na widzę was! Wszystkich was zniszczę! — Oriana, potrząsając Amelią, w pewnym momencie odchyliła swą rękę i uderzyła ją z całej siły w twarz, ta stojąc na krawędzi, obróciła się i turlając po schodach spadła wprost pod stopy przestraszonej Laury, która nie zdążyła dobiec na czas.

Opętana nienawiścią zbrodniarka, widząc, co zrobiła szybko, zbiegła po schodach, pochylając się nad swą nieprzytomną ofiarą.

— Coś ty zrobiła, Morderczyni!

— Ja?!co ty bredzisz?!

Obudzeni krzykami właściciele domu zaraz zjawili się na schodach. Widząc całe zajście zaraz zbiegli na pomoc.

— Amelia! O Boże co jej się stało! Mamo, dzwon po karetkę szybko!

— To ta morderczyni ją zepchnęła... wpadła w jakiś szal i zaczęła potrząsać tą biedaczką!

— Thomas spojrział na Laurę z nie dowierzaniem... a jednak uwierzył w to oszczerstwo.

— To nie ja, ona kłamie...przecież wiesz, że to nie ja...nigdy bym tego nie zrobiła.

— Milcz! Najpierw zamknęłaś mnie w jakiejś obskurnej chacie, pozorując moją ucieczkę, a teraz zepchnęłaś tę bidulę, bo ci wykrzyczała w twarz, co zrobiłaś!

— Ty...

— Dosyć...masz natychmiast opuścić mój dom, nie chce cię tu więcej widzieć, wiedziałaś, że moja siostra jest chora. Jeżeli cos jej się stanie, nigdy ci tego nie wybaczę — oznajmił srogo Thomas służącej.

— Wszystko będzie dobrze siostrzyczko, tylko wytrzymaj...

— Czekasz na oklaski! Bo głucha chyba nie jesteś! Wynoś się stąd, ale już!
— dodała kłamliwa żmija.

Laura nie mając jak się bronić, z płaczem pobiegła do kuchni, tłumacząc wszystko stojącej jak słup Evie, która nie mogła w to wszystko uwierzyć.

Po dziesięciu minutach przy rezydencji pojawiła się karetka, która natychmiast zabrała nieprzytomną do szpitala. Amelię najszybciej jak się dało, przewieziono na prześwietlenie głowy, które niestety wykazało pęknięcie guza mózgu. Dlatego natychmiast podjęto decyzję o bardzo ryzykownej operacji.

Załamany brat wraz z matką przez trzy godziny chodzili w te i wewte nie mogąc się uspokoić, na szczęście była przy nich Oriana, która zawsze służyła wsparciem. Gdy rodzina modliła się o zdrowie Amelii, ona modliła się o to, aby ta inwalidka już nigdy się nie obudziła.

Po tych kilku nerwowych godzinach, drzwi do sali operacyjnej wreszcie się otworzyły, a ze środka wyszedł główny lekarz, który nie wydawał się zadowolonym.

— Jak moja siostra? Co z nią?

— Trzeba się przyszykować na najgorsze...niestety guz zdążył się rozlać po większej części mózgu, pana krewna ma tylko pięć procent szans na przeżycie, więc proszę się modlić o cud.

Chłopak, słysząc diagnozę, zastygł przez chwilę w swej bezradności. Od kiedy Amelia wyjawiała mu, że miała guza mózgu w dodatku nieoperacyjnego ten cały czas żył w niepewności, bojąc się ją stracić, a teraz nadeszła ta chwila w tak nieoczekiwanym momencie i w dodatku to Laura się do niej przyczyniła.

Thomas nienawidził jej teraz jak nigdy wcześniej. Sam miał ochotę ją udusić gołymi rękoma...jeszcze okazało się, że to ona zniszczyła jego ślub...

Po usilnym wybląganiu doktora rodzinie pozwolono, chociaż na chwilę wejść do sali, w której w opłakanym stanie z zabandażowaną głową leżała prawie nieboszczka. Kilka kabli monitorowało jej płytki, mało wyczuwalny oddech. Thomas pochylił się nad nią, przepraszając, za to, że nie zdołał jej obronić i przyjął pod swój dach te, morderczynie.

Nie mógł sobie darować, jak bardzo się pomylił. Siedząc przy łóżku siostry, trzymał ją za rękę, mając nadzieje, że poczuje choćby najmniejszy ruch dłoni...ale na próżno, to był stan krytyczny...

Po kilku minutach, do pokoju weszła prawdziwa morderczyni, udając zatroskaną.

— Może jedzcie do domu, odpocznijcie, a ja tutaj posiedzę, potem wrócicie — doradzała, mając w głowie kolejną intrygę.

— Nic z tego, nie zostawię jej tutaj samej.

— Nie martw się, ja tutaj zostanę.

Po usilnych staraniach udało się namówić Thomasa, aby zabrał matkę i na chwilę wrócił do domu. Gdy tylko zniknęli za szpitalnym korytarzem, Oriana rozejrzała się wokół, czy ktoś się nie zbliżał i otwierając ponownie drzwi do pokoju chorej, weszła, zamykając je za sobą. Podeszła do łóżka uśmiechając się pod nosem i gładząc dziewczynę po czole.

— Widzisz... ostrzegałam, że za wszystko zapłacicie, gratulacje...jesteś pierwsza. Dobranoc... — szepnęła zabójczyni i zdjęła aparat tlenowy z twarzy denatki, pozorując nieudacznictwo pielęgniarek, następnie jak gdyby nigdy nic wyszła z pokoju.

— Do zobaczenia po tamtej stronie...

Rozdział 41

Oriana stała na korytarzu szpitalnym, triumfując po raz kolejny swoje zwycięstwo, podczas gdy Amelia dusiła się z braku dopływu tlenu do płuc. Wszystko wskazywało na to, że to już koniec. Wystarczyło tylko kilka sekund...jednak ku zdumieniu zbrodniarki pojawiła się pielęgniarka z doktorem prowadzącym, chcąc sprawdzić stan pacjentki. Otwierając drzwi, lekarz natychmiast zauważył, że coś jest nie tak, więc szybko podbiegł do pacjentki i poprawił jej aparat tlenowy, który był wyjęty.

— Siostrzo, dlaczego ten aparat wypadł? Co to ma znaczyć?! Tak się opiekujecie chorymi...!

— Przepraszam, to się już więcej nie powtórzy.

Na nie szczęście Oriany spoglądającej przez uchylone drzwi w ostatniej chwili zdążono z pomocą.

Tymczasem w rezydencji Laura i Elvis szykowali się do odejścia. Po tym, co się wydarzyło, nie mieli już czego szukać w tym domu. Wzgardzonej służącej wydawało się, że już wszystko się ułoży, a tymczasem wprost przeciwnie. Thomas jej nie zaufał, wołał uwierzyć w kłamstwo. Po pożegnaniu Fermina i Evy drzwi zostały zamknięte, a z nimi wszystkie dobre i złe wspomnienia, które spotkały tę parę. Elvisowi wydawało się, że znalazł swoją bezpieczną przystań, dlatego opuszczając ją tak nagle, poczuł ogromny smutek, ale cóż mógł zrobić, był tylko małym biednym kompanem u boku swej przyjaciółki.

Dwa tygodnie później...

Oriana po raz kolejny zagościła w domu, w którym teraz było cicho i ponuro. Lourdes wraz z synem przez cały ten czas czuwali przy łóżku Amelii, która jak dotąd nie poruszyła nawet palcem, lecz mimo jej bezruchu z każdym dniem szansa na życie rosła coraz bardziej więc Thomas absolutnie zakazał jej się poddawać. Miał nadzieję, że ona słyszała jego słowa, ale nawet gdyby się obudziła, nikt nie miał pewności czy jej funkcje ruchowe będą w normie, to był kolejny problem, który mógł się pojawić.

Sprawczyni całego zdarzenia od jego dnia, nie pokazała się w szpitalu. Miała już dosyć tej sytuacji, wołała wspierać narzeczonego na odległość i pod jego nieobecność świetnie się bawić na wystawach sklepowych. Skoro nie mogła uśmiercić swej ofiary, postanowiła, więc że do czasu kiedy ta się nie obudzi, nie będzie się przejmować jakąś kaleką, którą ona na pewno będzie. Licząc na to, że ta

inwalidka nie będzie w stanie mówić, właściwie nie było się czym przejmować.

Lourdes siedziała w jej towarzystwie w biurze, popijając herbatę. Bardzo martwił ją stan Amelii, dlatego postanowiła podzielić się swymi obawami, z jak jeszcze miała nadzieję przyszlą synową, której w dalszym ciągu ufała. Według niej nigdzie nie można by znaleźć lepszej kandydatki na żonę.

— Wiesz moja droga, bardzo się ciesze, że znów jesteście razem. Jak tylko Amelia wróci do zdrowia, koniecznie trzeba będzie ustalić następną datę ślubu.

— Jeśli wyzdrowieje...niestety może wyzionąć ducha w każdej chwili...

— Tak, masz rację, to bardzo smutne, gdybym nie zgodziła się przyjąć pod dach tej okropnej dziewczuchy, nic by się nie stało, to ona sprowadziła na nas takie nieszczęście.

— Sama pani dobrze wie, że ja także byłam temu przeciwna, ale cóż mogłam zrobić...

— Tak, to prawda, na szczęście mamy ją już z głowy, ona już tu nie wróci. Teraz tylko musimy się modlić o zdrowie tej biedaczki.

— Tak... oby szybko wyzdrowiała...

Minął kolejny niepewny co do rokowań Amelii na życie dzień. Pani domu postanowiła jechać do szpitala, aby zmienić syna przy czuwaniu. On nie odstępował łóżka siostry, dlatego był już dosyć wyczerpany.

— Nie wiemy, jak długo będzie się utrzymywać jej stan, dlatego posłuchaj mnie synku i jedz odpocząć.

Gdyby się coś działo, zaraz cię zawiadomię.

— Masz rację, w tej chwili nic tu pomnie — odpowiedział Thomas, całując nieprzytomną w czoło. Podchodząc do drzwi, już miał nacisnąć klamkę i wyjść, kiedy nagle jego matka krzyknęła...

— Czekał... spójrz...

— Co się stało? — odwrócił się chłopak, myśląc już o najgorszym.

— Poruszyła palcem... spójrz znowu...

Mężczyzna doskoczył ponownie do Amelii, spoglądając na nią z ogromną nadzieją, wybiegłszy na korytarz, zawołał przechodzącego obok lekarza, który natychmiast podjął się sprawdzenia stanu pacjentki, opukując ją w poszukiwaniu odruchu.

Po tym, jak ku radości bliskich drgnęła ręką, jej głowa także poruszyła się odrobinę, a ona sama bardzo powoli otworzyła oczy, jeszcze nie odzyskując dokładnej świadomości.

— Udało się! Będzie żyła... — oznajmił z zadowoleniem doktor — Musimy teraz poczekać, aż całkiem się ocknie, aby sprawdzić jej stan psychiczny i fizyczny, ale najgorsze już za nami. Proszę przy niej pozostać, a ja udam się na naradę w sprawie jej dalszej rehabilitacji.

Uszczęśliwiony Thomas objął matkę, najmocniej jak tylko potrafił.

— Słyszałaś, co on powiedział... będzie żyła, już nic jej nie grozi.

Minęło jeszcze kilkanaście minut, zanim rekonwalescentka całkiem odzyskała świadomość i zaczęła rozpoznawać bliskich.

— Co mi się stało? dlaczego tutaj jestem? — spytała po cichu.

— Miałaś wypadek, spadłaś ze schodów — wyjaśniała Lourdes.

— Wypadek...? A tak pamiętam... Oriana uderzyła mnie w twarz, dlatego spadłam.

— Nie, nie moja droga, to Laura cię zepchnęła. Oriana tylko próbowała ci pomóc.

— Thomasie gdzie Laura, chce się z nią widzieć.

— Nie zwracaj sobie nią teraz głowy, ona już nic ci nie robi, przyniosę ci trochę wody, bo na pewno chce ci się pić.

— Thomas... — zawołała siostra, łapiąc go lekko za rękę i mówiąc jeszcze z ciężkim oddechem — Ty nic nie rozumiesz...przecież wyraźnie mówię, że To Oriana mnie popchnęła, uderzając w twarz.

— Amelio uspokój się, przez ten wypadek wszystko ci się pomieszało — wtrąciła Lourdes.

— Mamo pozwól jej mówić...

— Ona bardzo cię kocha, dlatego z tego powodu zamknęła tę wariatkę w starej szopie, abyś się nie ożenił. Ja sama pomogłam w tym planie, nie mogłabym znieść takiej żmii, której tylko ty nie zauważałeś, ale ona wróciła i znowu wszystko popsuła. Zaczęła szarpać mnie na schodach i uderzyła w twarz... Laura chciała mnie ratować, ale nie zdążyła. Zrozum ją i wybac, bo jest niewinna.

Ten gamoń na chwilę oniemiał, wyszarpując swój rękaw z dłoni chorej. Do tego głupka właśnie dotarło, że przez swoją ślepotę i zarozumiałość tak po prostu pozwolił odejść kobiecie swego życia... dlatego nie zastanawiając się już nad niczym, wybiegł ze szpitalnej sali i pognął prosto do swojej rezydencji.

Lourdes nie zdążyła powstrzymać syna i wcale nie cieszyła się z takiego obrotu sytuacji. Mimo iż zrozumiała, że to jej przyszła synowa okazała się potworem, to już wiedziała, że w żaden sposób nie zdoła rozdzielić tej pary.

Oriana jak to zwykle bywało, stała przy barku w salonie nalewając sobie odrobinę whisky... wprost do ust. Nagle ktoś trzasnął drzwiami, więc się lekko zachłysnęła. Thomas podbiegł do niej i zaczął szarpać za ramię, na co ta się oburzyła, ponieważ nie miała pojęcia, o co mogło mu chodzić.

— Mam dosyć twojej impertynencji! wyniesiesz się stąd...ale już!

— Co ty wyprawiasz? Puść mnie!

— Mam cię puścić!? A ty co zrobiłaś mojej siostrze...?odpowiadaj! — furiat rzucił kryminalistkę

na kanapę i zaczął dusić, nie mogąc już znieść jej kłamstw.

— Puuuść...nie mogę oddychać.

— Nienawidzę cię! Słyszysz, nienawidzę!

Dla tej nędznicy pewnie gorzej by się to skończyło, gdyby nie Fermin, który usłyszał krzyki, przechodząc obok salonu. Podbiegł do swojego szefa, powstrzymując go przed zrobieniem jakiejś głupoty.

— Co pan wyprawia, zrobi jej pan krzywdę! Proszę ją puścić!

Oriana, korzystając z chwili, wydostała się spod rąk wściekłego mężczyzny. Sapiąc i dysząc, trzymała się ręką za szyję, dobrze wiedziała skąd ta wściekłość.

— Ty źmijo chciałaś zabić moją siostrę! Jak mogłaś! ale to już koniec! wynoś się stąd, bo nie mogę na ciebie patrzeć! — krzyknął po raz ostatni Thomas, chwytając ponownie Oriane za włosy i wywłócił ją za drzwi.

Wreszcie w duchu odetchnął i poczuł, że pozbył się największej pomyłki swojego życia. Jeszcze chwilę stał przy drzwiach, nad czymś się zastanawiając...

— Fermin gdzie jest Eva, muszę z nią natychmiast porozmawiać — dodał nagle.

— Jest w swoim pokoju, ma wolne, ale co się stało?! Dlaczego pan tak pędzi! — wołał majordomus do swego pracodawcy, który kompletnie go nie słuchał, tylko pobiegł do pokoju służącej, która w samotności malowała paznokcie. Kiedy zniecka usłyszała walenie do drzwi, odłożyła niebieski lakier na bok łóżka i otworzyła je zaniepokojona.

— Pan Thomas? Czy coś się stało?

— Tak stało się...musisz mi natychmiast powiedzieć, gdzie ona jest.

— Kto taki...?

— Nie denerwuj mnie!

— Przepraszam bardzo, ale nie mogę tego zrobić, ponieważ ona mi zabroniła, po tym, jak pan ją...

— Posłuchaj, wiem, co zrobiłem i rozumiem swój błąd, ale powiedz mi, gdzie się udała.

— Przykro mi, ale to moja przyjaciółka i nie mam zamiaru jej więcej narażać, a poza tym, skąd mogę mieć pewność, że...

— Evo! Amelia się obudziła, więc przestań pleść głupoty i powiedz mi, gdzie jest Laura!

— ...w porządku, ale jeżeli ją pan skrzywdzi...

Eva podeszła do swojej szafki i wyciągnęła z niej małą karteczkę i kopertę.

— Proszę, to adres, który mi wczoraj przysłała. Podobno tam się teraz zatrzymała razem z Elvisem i jeszcze list, który zostawiła do jakiegoś mężczyzny.

— Mężczyzny?

— Tak... jakiś Santos Mendosa, ale nie wspominała, kim on dla niej był, po prostu kazała mu to dostarczyć, gdyby się tutaj pojawił.

— Dziękuję, przysięgam, że sprowadzę ją z powrotem.

— Szefie...mam nadzieję, ponieważ zachował się pan jak zwykły...

— Tak rozumiem, a teraz wracaj do pracy, ale już — odparł honorowo Thomas i idąc wolno korytarzem, otworzył kopertę, w której na małej kartce papieru było tylko kilka zdań.

PANIE MENDOSA NIE MA MNIE JUŻ W REZYDENCJI, DLATEGO POWIERZYŁAM MOJEJ PRZYJACIÓLCE TĘ TAJEMNICĘ. MOŻNA JEJ SPOKOJNIE ZAUFAC. NIESTETY TESTAMENT, KTÓRY JEST UKRYTY, W GROBIE MOICH RODZICÓW BĘDZIE MUSIAŁ PAN WYDOSTAĆ SAM.

ROZUMIEM, ŻE JEST TO BARDZO NIEBEZPIECZNE, ALE PODJĘŁAM DECYZJĘ O WYJEŹDZIE. NIE WIEM, KIEDY WRÓCĘ, DLATEGO TO PANU POWIERZAM MÓJ ODZYSKANY MAJĄTEK I DOM. JESTEM PEWNA, ŻE UDA SIĘ POSŁAĆ ZA KRATY TEGO ZBIRA BALDURA ROMERO.

WIEŻĘ W TO I DZIĘKUJĘ.

LAURA MONROY

Thomas, czytając tę kartkę papieru, zrozumiał, że Laura przez to, co planowała zrobić ze swym współnikiem, była w ogromnym niebezpieczeństwie. Dlatego tym bardziej musiał ją odszukać. Wsiadając w pośpiechu w samochód, udał się pod adres, który otrzymał, wierząc, że tym razem, już nic nie zagrozi jego szczęściu, pod warunkiem, że jego pokojówka zechce mu wybaczyć. Adres, który posiadał, prowadził do środkowej części miasta na małe osiedle, gdzie zazwyczaj wynajmowano domy na krótki czas przejezdnym. Więc chłopak, kierując się jego numerem, dotarł do właściwego budynku i zaparkował samochód obok. Podchodząc do drzwi, zapukał kilka razy, ale nikt nie odpowiedział, więc spróbował jeszcze raz. Po paru chwilach drzwi otworzyła mu jakaś staruszka.

— Tak słucham? O co chodzi?

— Dzień dobry, nie chciałbym sprawiać kłopotu, ale czy u pani zatrzymała się może pewna młoda kobieta z dzieckiem?

— Tak... Bardzo przemiła osóbką a ten synek...przeurocze dziecko.

— Świetnie, a czy mogłaby im pani powiedzieć, że chcę z nimi porozmawiać Thomas Romero? To bardzo ważne.

— Hmm, obawiam się, że to niemożliwe.

— Ja bardzo proszę, są powody, dla których ta dziewczyna nie chce mnie widzieć, ale ja muszę wszystko wyjaśnić.

— Obawiam się, że to niemożliwe, ponieważ tych dwojga już u mnie nie ma.

— Niema...? Może mi pani powiedzieć, gdzie teraz są?

— Tak, oczywiście. Kilkanaście minut temu udali się na przystanek autobusowy, który znajduje się kilometr stąd. Panienska Laura powiedziała mi, że oboje z tym małym chłopcem mieli zamiar stąd wyjechać. Oo... właśnie powinni już wsiadać do autobusu, o ile się nie mylę.

— Jak to? Chcą opuścić Monterrey? Gdzie mają zamiar się udać?

— Tego niestety nie wiem, młodzieńcze, jeżeli chcesz porozmawiać z tą kobietą, to musisz się naprawdę pospieszyć.

— Tak...dziękuję za informację.

— Życzę powodzenia młody człowieku.

Nie czekając na nic, Thomas wsiadł do samochodu i ruszył za autobusem, który według informacji podanych przez staruszkę właśnie odjeżdżał, ale cóż to był za pech w tak ważnym momencie, kiedy okazało się, że auto zrobiło „stop” po przejechanych pięćdziesięciu metrach.

— Licho by to wzięło! Akurat dzisiaj zapomniałem o zatankowaniu paliwa!

Więc cóż było teraz zrobić...? Piechotą nigdy w życiu nie dogoni się autobusu...

Biedak wysiadł zdesperowany z samochodu i zaczął się rozglądać dookoła, choć by za małym rowerkiem, ale na tej ulicy było tak pusto. Jednak pół minuty później jakby wybawienie na horyzoncie pojawiły się dwa piękne koniki ciągnące za sobą dorożkę, w której siedziała para chińczyków zwiedzająca miasto. Więc Thomas nie czekając, aż ten jedyny dostępny środek transportu zniknie mu z oczu, zatrzymał riksarza i wskakując na jego miejsce, pognał czym pędem, z zaskoczoną parą chińczyków, którzy mówili coś w nieznanym dla niego języku.

— Hia! Hia! — krzyczał, poganiając konie — państwo celach turystycznych? — zwrócił się do biednych podróżników, którym z rozpedu wiewały się czarne czupryny.

— Ta shuo shénme(co on mówi?)

— Wo bu zhidao, Dan ta shi yige fengkuáng de(nie wiem, ale to jakiś wariat)

— Prędzej koniki! Mają państwo okazję pozwiedzać trochę... w szybkim tempie...ale proszę się nie martwić, tak więcej się zwiedzi...proszę spojrzeć na prawo, to stary zabytkowy zamek...

Gdy Thomas dojechał do przystanku, szybko zatrzymał konie i zwrócił się do pary staruszków siedzącej na ławce

— Przepraszam bardzo, czy przed chwilą odjechał stąd autobus?

— Tak, dokładnie przed trzema minutami młodzieńcze... o tam prosto...

— A czy wsiadała do niego młoda dziewczyna z dzieckiem?

— Tak.

— Dziękuję... miłego dnia. Dalej! Na przód!

— Pewnie znów jakiś zakochany...

— Oo Klemensie, pamiętasz te czasy, kiedy my byliśmy tacy młodzi...

— O tak, tylko że biegłem za tobą na własnych nogach... a ty chciałaś uciec pociągiem.

— No cóż, czasy się zmieniają — rzekła staruszka i przytuliła się do męża.

Chińczycy wyraźnie mieli dosyć takiej jazdy, ponieważ nie rozumieli powodu, dla którego tak pędzili, jednak ich przewodnik nagle krzyknął...

— Jest! Widzę autobus! Teraz już mi nie uciekniesz...

Gdy tylko pędząca dorożka zbliżyła się do jadącego pojazdu, kierowca zaraz zauważył, że coś jest nie tak, skoro ktoś wymachiwał i krzyczał, aby ten się zatrzymał, więc postanowił zjechać na pobocze. Zakochany pantoflarz zeskoczył z dorożki i podbiegając do rozsuwających się drzwi, wskoczył do środka, zasapany rozejrzał się dookoła. Wreszcie jego oczom ukazała się znana, mała uśmiechająca się do niego buzia a przy niej dziewczyna, dla której porwał Chińczyków.

— Lauro... wybacz mi, byłem kretynem, Amelia odzyskała przytomność, znam całą prawdę.

Nieufna dziewczyna wstała ze swego miejsca

— Przyznajesz, że byłeś też idiotą i zadufańcem?

— Tak, byłem

— I niedojrzałym paniczykiem...?

— Tak tylko nie wyjeżdżaj, proszę...

— Elvis, co o tym sądzisz?

Mały jak zwykle tylko wzruszył ramionami, przyklapując rękę na czoło. Świat dorosłych był jeszcze dla niego zbyt skomplikowany.

— Yuánliang (wybacz mu)! — zawołał chińczyk, wsadzając głowę za szybę.

— W takim razie... wróć do ciebie jeszcze raz...

Rozdział 42

Kiedy Lourdes zobaczyła, że jej syn wrócił do domu z Laurą i Elvisem, nie potrafiła ukryć rozczarowania. Dla niej Oriana może nie okazała się idealną synową, ale na pewno była lepsza od tej służącej, która teraz postawiła swoje walizki w salonie i najwidoczniej już nie miała zamiaru opuszczać tego domu.

— Co to ma znaczyć...

— Mamo musisz się pogodzić, z tym że moja przyszła żona od dzisiaj zamieszka tutaj na stałe.

— Nigdy się na to nie zgodzę, słyszysz! Ona nigdy nie będzie moją synową! Myślisz, że nie wiem...chcesz ponownie zarzucić sieć na mojego syna, a raczej na jego pieniądze.

— Ja nie...

— Mamo daj już z tym spokój! Tak postanowiliśmy i ty tego nie zmienisz.

Wściekła teściowa poszła na górę, nie mając już nic więcej do dodania. Nie sądziła, że jej syn okaże taki brak szacunku i będzie aż tak naiwny.

— Nie martw się, kiedyś się z tym pogodzi, musisz ją zrozumieć, że ciągle ma do ciebie żal za ten policzek

— mam nadzieję, że mi wybaczy, w końcu zrozumiałam swój błąd. Podczas gdy para martwiła się o przyszłe rodzinne stosunki, z korytarza wybiegła służba.

— Wróciliście...! — zawołał Fermin.

— Tak, tym razem już nigdzie się nie wybieramy prawda Elvisie...

— Aha...

— A co z Amelią? Jak się czuje? — spytał jeszcze lokaj.

— Spędzi w szpitalu jeszcze jakiś czas, ale powoli zaczyna dochodzić do siebie. Lekarze są pewni, że już nic jej nie grozi — wytłumaczył Thomas.

— Całe szczęście. Jak tylko znów rozpakujemy swoje walizki, pojedziemy ją odwiedzić, prawda brzdącu...

— Tak, kupie jej po drodze ładnego misia żeby nie cuła się samotna.

Tak jak powiedział Romero, minęło jeszcze kilka dni, zanim jego siostra opuściła szpitalne łóżko i wróciła do domu. Ze względów zdrowotnych, aby zbyt nie nadwyręzać, poruszała się przez pewien czas na wózku inwalidzkim, ale czuła się coraz lepiej, dlatego za jakiś czas, miała wreszcie stanąć o własnych siłach.

Gdy wszystkie kłopoty i wzajemne pretensje zostały już zażegnane, Laura miała poczucie, że przyszedł czas ostatecznej rozgrywki, z której nie wszyscy mogli wyjść cało. To były ostatnie dwa dni przed jej dwudziestymi pierwszymi urodzinami, więc mimo ogólnego spokoju w rezydencji coś wisiało w powietrzu. Po tym, jak próbowano do niej strzelać, spalić żywcem i przejechać, ten moment

wydawał się najtrudniejszy, ponieważ teraz znów chodziło o państwo Monroy, których ciała już od roku spoczywały w spokoju na cmentarzu. Jedno ich córka wiedziała na pewno, oni nad nią czuwali, dlatego miała odwagę stawić czoło kolejnym trudnościom, które postawiło przed nią życie.

Tego dnia przechodząc przez salon, usłyszała dzwonek do drzwi, nie widząc na horyzoncie Fermina, postanowiła sama je otworzyć. Ku jej niewielkiemu zaskoczeniu jeszcze raz w progu stanęła żalсна Oriana, która błagalnym wzrokiem prosiła o wpuszczenie do środka.

— Czy mogłabym porozmawiać z ...

Kolejna, przyszła pani Romero nie chcąc patrzeć na tę twarz, wołała nie wysłuchiwać do końca tej nieszczęśnicy, dlatego znów zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

— Tej pani już dziękujemy — odparła sama do siebie.

— Kochanie kto to był? — zapytał Thomas, schodząc ze schodów.

— Pomyłka... — odparła, była już pokojówka, podchodząc do swojego narzeczonego, aby się przytulić.

Oriana stojąc jeszcze chwilę przed drzwiami, niczym zniszczony posąg, odwróciła się zaciskając pięści. Wiedziała, że to koniec, do tego domu nie miała po co wracać. Błąd, który popełniła, był nie do wybaczenia, ale ta chora z nienawiści do całego świata kobieta wiedziała jak się uratować po raz kolejny przed biedą. Mimo iż nie mogła już liczyć na przychylność Lourdes, która tak jej ufała, to mimo wszystko zachowała w rękawie jeszcze jednego asa, którego trzymała na czarnej godzinę. Dlatego też, gdy drzwi rezydencji zamknęły się przed nią na dobre, postanowiła udać się po raz kolejny do Baldura któremu znów miała złożyć w ofercie bezcenną dla niego informację.

Tym razem odwiedziła go w biurze firmy budowlanej, w którą bezprawnie przejął po śmierci Monroyów, ale sądząc po efektach jego działań, ten koncern miał się ku upadkowi, ponieważ ludzie tam pracujący już od roku nie otrzymywali należnych im wynagrodzeń, trafiających do kieszeni tego złodzieja siedzącego teraz przy swoim biurku, przeglądał on dokumentację i dokonywał po raz kolejny według swojej opinii obcięć i tak już za dużych wypłat pracowniczych.

— Banda leni...chcieliby tylko brać pieniądze, nie wykonując nic w zamian, wałkonie już ja was nauczę moresu, żądają podwyżek...jeszcze czego... — marudził sam do siebie Boss, jak zawsze trzymając cygaro w zębach, z którym się prawie nigdy nie rozstawał. W pewnym momencie znów ktoś nieproszony zapukał do drzwi.

— Proszę — warknął.

— Panię Romero, przyszła jakaś kobieta.

— Kobieta? Możliwa, chociaż?

— Dobra dawaj ją tutaj, ale prędko, bo nie mam dużo czasu.

— Witam ponownie... — odpowiedziała Oriana, wsadzając nos do biura.

— To znowu ty? Co tutaj robisz...

— Może najpierw usiądę, mamy dużo czasu...

— No mów, że! — warknął szaleniec, waląc pięścią w blat, aż ta podskoczyła w górę ze strachu.

— Już dobrze, proszę się nie denerwować, mam kolejną propozycję... za którą tym razem będzie mi pan skłonny zapłacić ładną sumkę.

— Znowu? Powinienem cię zatrudnić w roli mego szpiega... posłuchaj, nie dostaniesz ode mnie ani grosza, więc mów, o co chodzi albo się wynoś.

— Tak? Nawet jeżeli chodziłoby o testament Monroyów?

— Testament? Co o nim wiesz...

— Wiem, gdzie jest, i jeżeli szybko się nie pospieszymy, on zostanie ujawniony.

— Jaką mam pewność, że mówisz prawdę?

— Drogi współniku, czy okłamałam cię poprzednim razem? Nie, więc teraz też mówię prawdę.

— Mów gdzie on jest...

— O nie...nie ma nic za darmo.5 mln w gotówce, a ja dostarczę to, co trzeba... a i jeszcze coś, tutaj nie chodzi tylko o tę jedną kartkę papieru, razem z nią zostały także ukryte wszystkie pana matactwa w postaci dokumentów, przekręty, oszustwa podatkowe i tak dalej...chyba nie muszę dalej tłumaczyć...

— Przekłety Valentino. Dobra dostaniesz, co chcesz, tylko masz mi dostarczyć te papiery... i nie próbuj ze mną igrać...

Rozdział 43

Następnej nocy z łopata w ręku przy grobie Monroyów zjawiała się Oriana, która nie mając już nic do stracenia, nawet strach zagubiła, dlatego odkopanie zmarłych było dla niej tylko drobnostką, która dzieliła ją od wielkiego świata pieniędzy. Zabierając się, za kopanie zacisnęła zęby i zaczęła machać szpadlem. Nagle usłyszała jakieś dziwne szmery za sobą, jak by to potępione dusze zbliżały się do niej, aby wciągnąć jej ciało do świata umarłych. Odwracając głowę, ujrzała...starego kota, który pałętał się między grobami w tylko sobie znanym celu. Przez chwilę wpatrywał się w nią swymi czarnymi świecącymi ślepiami i poszedł dalej.

Jednak strach dał o sobie trochę znać, ale w grę wchodziła duża suma pieniędzy, więc nędznica obtarła rękę o czoło i działała dalej. Po dwóch godzinach, od tej harówki za pięć mln, wreszcie zobaczyła efekty swojej pracy. Spod brudnej ziemi przy waleniu łopata dało się wyczuć twardy oddźwięk. Oriana, świecąc w dół lampką, ujrzała spod gruzów ziemi brązowe wieko. Zatrzymała się na moment, obawiając się jego otwarcia, ale nie mając innego wyjścia skoro i tak już przystała na tę grę, wsunęła się do dołu, spuszczać się pomału.

Odkopując pozostałości piachu, odkryła całą, trochę sparciałą już po roku trumnę. Z obrzydzeniem otrzepała swoją kurtkę z ziemi cmentarnej, która się do niej przyczepiła i zabrała się za odkręcanie kilku małych śrub, które zwykle umieszczano, aby zwłoki nie wyskoczyły niefortunnie przez przypadek. Gdy nieustraszona kobieta uporała się z nimi, przyłożyła ręce do wieka, złapała oddech kilka razy i otworzyła je z odwróconą głową. Gdy z przymusu zajrzała do środka, zobaczyła ręce, a raczej splecione kości ubrane w czarny garnitur. Na czasce od dopływu powietrza z góry, powiewało jeszcze kilka włosów, dlatego Oriana zwymiotowała obok na ziemię. Stwierdzając po ubiorze, był to Valentino. Biedaczysko spoczywało tutaj już od roku, w spokoju aż nagle, ktoś postanowił mu go zakłócić. W powietrzu unosił się jeszcze swąd ciała, a nad grobem przerażająco świstał wiatr.

Nieustraszona paranoiczka wyciągnęła rękę przed siebie i spoglądając tylko jednym okiem, pomału wsunęła ją do kieszeni od spodni, w której było pusto, więc zmuszona była zajrzeć do drugiej kieszeni...nagle dłoń umarlaka poruszyła się! Kobieta z piskiem odskoczyła w bok...ale po chwili mając w głowie pięć mln, uspokoiła się i stwierdziła, że na jej szczęście dłoń się tylko zsunęła. Dla tego jeszcze raz zmuszając się, odpięła kilka guzików i ostrożnie podnosząc garnitur do góry, ujrzała to, po co przyszła. Więc czym prędzej wyciągnęła dokumenty spod marynarki i wyskoczyła na powierzchnię, aby już nie tkwić w tym okropnym dole, który zamieszkiwali umarli.

— Nikt mnie nie pokona... ostatnie słowo zawsze należy do mnie — mówiła do siebie z dumą, po czym z tyłu głowy poczuła zimny dotyk broni, odwracając się, zobaczyła przed sobą Baldura.

— Miałaś mnie za aż takiego idiotę? Chyba nie sądziłaś, że pozwolę ci odejść z moimi milionami. Odkąd wysłaś z mojego biura, kazałem cię śledzić.

— Co ty wyprawiasz?! Przecież mieliśmy umowę.

— Ja z nikim nie zawieram umów, grzecznie oddaj testament, a pozwolę ci odejść...chyba że mnie zezłościś, wtedy dotrzymasz towarzystwa temu truposzowi na dole, którego także wykończyłem ja — zaśmiał się bandzior.

— Myślisz, że jesteś taki sprytny? Mam co do tego duże wątpliwości — dodała przestępczyni.

— Opuść broń i nie odwracaj się, bo sam zaraz skończysz w tym dole co mój ojciec! Za nami stoi cała horda policjantów, jeden wasz ruch i po was! — krzyknęła niespodziewanie Laura z pistoletem w ręku przystawionym do głowy tego bandyty.

— Gdzie dwóch się bije, trzeci korzysta. Myślałaś Oriano, że jesteś taka bystra, a tymczasem widzieliśmy cię w ogrodzie, byłaś naszym narzędziem, który wykonał za nas całą robotę. Acha, drogi morderco moich rodziców, mam niespodziankę, proszę popatrzeć w prawo...

Romero, odwracając głowę, ujrzał Santosa Mendosę, którego kazał kiedyś zabić, jakież było jego zdziwienie, kiedy okazało się, że cały plan runął w łeb, a jego wrogowie właśnie wstali z grobu.

— A teraz proszę popatrzeć w lewo...

Nim łotr zdołał się ponownie odwrócić, znienacka dostał pięścią w twarz.

— Jak się masz tatusiu...

— To jeszcze nie koniec! Ja was wszystkich zniszczę! Popamiętacie mnie! — krzyczał oprowadzany w kajdankach przez policję do radiowozu, wraz ze swoją niedoszłą współniczką, która ze względu na i tak już kiepską sytuację życiową oraz materialną raczej wołała milczeć.

Gdy przestępcy zostali odprowadzeni do radiowozu, Laura opuściła broń na ziemię i stanęła nad odkopanym grobem, upadając na kolana, wybuchnęła płaczem, ponieważ mimo że właśnie odzyskała swój majątek, to musiała się znów zmierzyć z tym, co spotkało jej rodziców, i to w tak okropny sposób.

Następnego dnia po tej koszmarnej nocy przedstawiając prawdziwy testament, firma i dawna rezydencja zostały odzyskane. Właścicielka natychmiast postanowiła do niej jechać z narzeczonym i małym Elvisem, na którego czekała tam niespodzianka. Po drodze Laura trochę się denerwowała, ponieważ ponowny powrót do tego domu wiązał się z jej dzieciństwem i wszystkim, co tam przeżyła. Nie było łatwo wrócić do poprzedniego życia po roku. Gdy Thomas wjechał przez bramę, która była otwarta, zatrzymał auto i zgasł silnik. Przez chwilę nikt nie miał

odwagi wyjść z samochodu. Jednak dziedziczka Monroyów wzięła głęboki oddech i postanowiła obejrzeć fatalny stan budynku zostawionego przez poprzedniego właściciela. Przedtem wokół rezydencji było jasno i przestronnie, ale teraz panował tam jakiś dziwny nieogarnięty mrok. Uschnięte żółte liście wiewały się po ziemi jakby i one chciały stamtąd uciec. Spadkobierczyni wzięła chłopca za rękę i w towarzystwie Thomasa weszła do środka domu, w którym już od wejścia dało się wyczuć swąd palonych cygar. Nic nie było takie jak przedtem. Meble były kompletnie zaniedbane, a zasłony fruwały przy otwartym oknie. W dodatku wszystko było zakurzone. Nikt za specjalnie nie dbał o to miejsce. Gdy Laura udała się na górę od razu weszła do sypialni swoich rodziców, którą ku jej wściekłości zajmował ten złodziej. Gdy podeszła do toaletki, przy której niegdyś siadała jej matka, zauważyła tam brudną popielniczkę, więc natychmiast wyrzuciła ją przez okno, nie mogła znieść w tym miejscu, choć by śladu tego zbira. Otworzyła także resztę okien i wpuściła powiew Świerzego powietrza do sypialni. Gdy obejrzała, swój pokój, który chyba jako jedyny nie był naruszony, przypomniała sobie, jak jako dziecko maltretowała w nim wszystkie swoje nianie. Mimo iż tego żałowała, to jednak trochę zaczęła się śmiać, jakim to była potworkiem. Potem zeszła na dół do Thomasa, który właśnie wracał z pomieszczenia kuchennego.

— I co o tym sądzisz? — zapytał

— Wszędzie są ślady tego okropnego człowieka, ale na szczęście już go tu niema. Za kilka dni przyślę tutaj firmę sprzątającą. A gdzie Elvis?

— Biega po całym domu, jest wszystkiego ciekawy. Kiedy chcesz tutaj zamieszkać ponownie?

— Mieszkać...? Ja nie zamierzam tutaj mieszkać.

— Jak to? Przecież chciałaś odzyskać tę posiadłość.

— Tak, ale teraz zmieniłam co do niej plany.

— Zamierzasz ją sprzedać?

— Nie mój drogi... on w nim zamieszka... — postanowiła właścicielka, wskazując na Elvisa, który właśnie wracał z tylnej części domu, niosąc coś białego na rękach.

Ku uciechu dziewczyny była to jej stara dobra kotka Jeffrey, której jakimś cudem udało się przeżyć w towarzystwie Baldura.

— Ojejku...gdzie ona była?

— Znalazłem ją pod stołem, biedactwo było psestrasone.

— Moja kochana, chociaż ty mi tutaj zostałaś, na razie zabiorę cię ze sobą.

— Elvisie mam ci coś do powiedzenia.

— O co chodzi?

— Posłuchaj mnie uważnie, gdy tylko twój ojciec wyzdrowieje i wróci po ciebie, chciałabym, aby wszystko, co tutaj widzisz, należało do was.

— Będę mógł tutaj mieszkać z tatusiem?

— Tak... będę najszczęśliwsza na świecie, jeżeli to wy tutaj zamieszkacie, dla mnie to miejsce ma oczywiście wielką wartość sentymentalną, ale wy bardziej na nie zasługujecie, poza tym po ślubie z Thomasem i tak zamieszkamy u niego prawda...

— Tak, zgadzam się z tobą najzupełniej, ten mały powinien tutaj zamieszkać z ojcem.

— W takim razie, ustalone — uśmiechnęła się Laura, podzucając chłopczyka do góry rękoma.

Rozdział 44

Lourdes siedziała w swoim pokoju, jedząc śniadanie i czytając poranną gazetę, którą przed chwilą przyniósł Fermin.

Nagle zachłysnęła się łykiem kawy...

— Czy coś się stało? — zapytał stojący obok Lokaj.

— Spójrz...napisali tutaj ze samochód, którym do więzienia była przewożona Oriana i mój były mąż miał wypadek.

— To niemożliwe... jak to się mogło stać...?

— Podobno to ona jakoś go spowodowała i uciekła, dwaj policjanci zostali ranni Baldur... o Boże... Baldur zginął na miejscu.

— Sam był sobie winien, teraz odpowie w innym miejscu za swoje zbrodnie — stwierdził majordomus, spoglądając na artykuł.

— Tak Feminie, dostał to, na co zasłużył.

W kuchni przy stole siedzieli Eva z Bonym oraz Thomas ze swą narzeczoną rozmyślając wspólnie, nad wszystkim, co ich w ostatnim czasie spotkało.

— Gdybyś się wtedy nie upiła na tej zabawie, być może mój kumpel w ogóle nie zwróciłby na ciebie uwagi, a tak zawróciłaś mu w głowie i siedzisz tutaj teraz z nami — zaśmiał się Bony.

— Tak, to prawda...nie mogę, teraz pojąc, jak na twój widok, mogłam dostawać ze złości palpacji serca — żartowała Laura, ciągnąc przyszełego męża za policzki.

— Aż tak cię doprowadzałem do rozpacz...

— Teraz wydaje mi się to śmieszne, ale gdybym nie wylądowała na ulicy, być może nigdy nie poznałabym prawdziwego życia.

— Ważne, że teraz rozumiesz swoje postępowanie — wyjaśniła Eva, biorąc przyjaciółkę za rękę. Tak, w ogóle to chcieliśmy wam coś ogłosić.

— Tak, mamy coś bardzo ważnego do zakomunikowania — oświadczył Bony, wyciągając z lodówki zmrożonego szampana.

Eva otworzyła butelkę i rozlała do czterech kieliszków, podając każdemu w do ręki.

— Za dwa tygodnie bierzemy ślub — oznajmiła.

— Tak?! To cudownie... — zawołała Laura, wieszając się przyjaciółce na szyi.

— No stary, ja także ci gratuluję. A gdzie odbędzie się wesele?

— Z tym mamy jeszcze kłopot, ale coś wymyślimy — stwierdził Bony.

— W takim razie skoro mój najlepszy kumpel z piaskownicy bierze ślub, to chciałbym zrobić wam niespodziankę, i urządzić go tutaj w naszym ogrodzie.

— Nie chwilibyśmy sprawiać kłopotu

— To żaden problem, zawsze byłeś ze mną na dobre i na złe, dlatego teraz mam okazję ci się odwdziżyć.

— W porządku, przyjmujemy waszą propozycję, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Zostaniecie naszymi świadkami?

— Bardzo chętnie — przytaknęła Laura i jeszcze raz ze szczęścia uścisnęła koleżankę.

Nadszedł dzień ślubu.

Eva stała w swym pokoju w sukni ślubnej szykując się do wyjścia. Jeszcze kilka drobnych poprawek i była już gotowa.

— Kto by pomyślał, że zostaniesz żoną Bonego — powiedziała druhna, z czułością poprawiając delikatnie welon panny młodej.

— Tak...nie zamieniłabym go na żadnego innego. Może już chodźmy, bo zaraz się spóźnimy. Reszta na pewno już czeka przed kościołem.

— Tak, masz rację, chodźmy.

— Ciekawe jak się sprawuje Elvis...

— Jak go znam, to na pewno poucza twego przyszłego męża, jak się nie stresować — zaśmiała się Laura i zamknęła za sobą drzwi.

Ceremonia zaślubin cóż...była piękna. Eva prowadzona przez Fermina, który na ten czas zastąpił jej ojca, wyglądała uroczo. Przed nią maszerował Elvis, niosąc obrączki. Gdy przy ołtarzu wybranka podała rękę panu młodemu, poczuła, że właśnie spełniało się jej największe marzenie, o kochającym mężu. Uroczystość była dosyć krótka, ponieważ ksiądz, widząc niecierpliwość młodych, postanowił przejść do konkretów i połączyć ich wreszcie przysięgą. Gdy młodzi powiedzieli sobie tak, odebrali mnóstwo gratulacji od zebranych gości i udali się do rezydencji na swoje wesele. Oczywiście nie zabrakło na nim biedaków z ulicy, którzy byli o wiele bardziej mile widziani niż te prostytutki z wyższych sfer...

Rozdział 45

Laura chodziła w kuchni z kąta w kąt zaniepokojona, ponieważ dochodziła już godzina piętnasta, a Elvis wciąż nie wracał ze szkoły. Zazwyczaj jego lekcje nie przedłużały się aż tak długo, a gdy miał zamiar się spóźnić z powrotem do domu, powiadał o tym swą podopieczną, tym razem jednak nic nie wspominał.

— Co się mogło stać...? Dlaczego jeszcze go nie ma...

— Uspokój się, na pewno nic się nie stało, pewnie autobus się spóźnia — tłumaczył Thomas.

— Tyle czasu?! Oszaleję przez tego chłopaka, gdzie on się podziewa... a jeśli Oriana coś mu zrobiła?!

— Przestań mówić bzdury.

— Ale przecież uciekła i nikt nie wie, gdzie jest. Sam wiesz, że ona jest zdolna do wszystkiego.

Nagle do kuchni weszła Lourdes. Mimo że jej stosunki z przyszłą synową w dalszym ciągu były napięte, podała jej telefon, przez który ktoś chciał z nią rozmawiać.

— Do mnie? To na pewno rodzice Maliki, Elvis musiał iść do niej bez mojego pozwolenia. Już on ode mnie usłyszy. Słucham...

Trzymając słuchawkę przy uchu, dziewczyna pobladła i zamilkła...siadając na krześle, utkwiała swój wzrok w jeden punkt, tak jakby nic wokół niej już nie istniało.

— Co się stało! mów, słyszysz! — wołał Thomas.

— Dzwonił jakiś mężczyzna...twierdził, że jestem winna śmierci jego brata i teraz mój mały Elvis odpowie za moje grzechy!

— Co ty wygadujesz... jaki mężczyzna? — spytała Lourdes.

— To zbir Baldura, już raz próbował nas skrzywdzić, ale uciekliśmy. Teraz kazał mi przyjechać na starą budowę i nie zawiadamiać policji.

— O nie, nie puszcę cię samej. Pojedziemy tam w obstawie albo wcale.

— Czy ty nie rozumiesz, że wtedy on skrzywdzi mojego chłopca...?!

— Zaufaj mi... ten drań nikomu nie robi krzywdy, natychmiast tam pojedziemy.

— Ja też jadę z wami! Osobiście się z nim policzę, jeżeli temu dziecku spadnie choćby włos z głowy! — zawołała niesforna teściowa i popędziła do samochodu.

Gdy wszyscy dojechali na miejsce, zawiadomiona policja ukryła się pod budynkiem, aby Anacleta nie wprowadzać we wściekłość.

Laura, Thomas i Lourdes zaczęli przeszukiwać budowę. Nagle usłyszeli krzyk dziecka, szybko wbiegli na górę, na której stał przestępca z pistoletem w

ręku przystawionym do głowy malca.

— Elvis! — wołała Laura, chcąc go wyrwać z rąk oprawcy.

— Ani kroku! Bo go zabiję...

— Dlaczego to robisz? Przecież on ci nic nie zrobił, jest jeszcze taki mały.

— Zabiłaś mojego brata przekłeta!

— Przysięgam, że nic nie zrobiłam, to twój szef go zastrzelił.

— Kłamiesz! Chcesz zmyć z siebie tę winę...ale zapłaci za nią ten gówniarz!

— Proszę... uwierz mi i nie rób mu krzywdy.

— Nigdzie stąd nie uciekniesz, jesteś otoczony, więc lepiej się poddaj — wtrącił Thomas.

— Zabiłaś mi jedyne go brata, którego miałem. Nad jego ciałem przysięgłem, że pomszczę tę śmierć, dlatego zabiorę ze sobą do piekła tego dzieciaka! Patrz uważnie, jak na twoich oczach umiera ukochana osoba...

— Nieee...

Anacleto przyłożył palec do spustu i już miał strzelić, kiedy Elvis bez wahania chwycił jego dłoń i z całej siły wcisnął w nią swoje zęby.

— Jestem zbyt psystojny zeby umierać! — krzyknął i wyszarpując się, uciekł w stronę Thomasa. Przestępca na dobre tracąc grunt pod nogami, w szale oddał strzał przed siebie w kierunku Lourdes, która stała przerażona. Nim się ocknęła z odrętwienia, osunęło się o nią ciało Laury, która ją zasłoniła. Łapiąc w ramiona synową, poczuła na swych palcach krew, która trysnęła z pleców kobiety. Nie minęła nawet sekunda, jak na budowę wpadło kilku uzbrojonych policjantów, obezwładniając przestępcę.

— Laura...co z tobą? — pytał zapłakany chłopiec, ale ona była już na wpół przytomna i nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

— Karetka! wezwijcie karetkę! — krzyczał Thomas, biorąc umierającą ukochaną w ramiona.

Z oczu popłynęła jej łza, ponieważ nie słyszała już krzyków bliskich... lecz z ledwością wyciągnęła rękę przed siebie w stronę matki, która stanęła nad nią w białej szacie, z bosymi stopami, po to, by zabrać córkę do swojego świata... Laura tak dawno jej nie widziała...gdy tylko poczuła przenikające ciepło, na dobre zamknęła swe oczy, a jej twarz wtopiła się bezwładnie w ramiona Thomasa...

Rozdział 46

— Halo...pani Lauro... słyszy nas pani? Jeżeli tak, proszę poruszyć ręką...jest dobrze, odzyskuje świadomość — stwierdził jeden z lekarzy.

— jest pani w szpitalu, ponieważ została postrzelona.

— Co mi się stało? — zapytała cichym głosem raniona pacjentka.

— Przeszła pani dosyć poważną operację dlatego była nieprzytomna parę dni, kula przeleciała kilka milimetrów od kręgosłupa, ale na szczęście udało nam się ją wyjąć.

— Dziękuję...

— Zamiast nam proszę podziękować temu na górze i rodzinie, która cały czas czuwała — uśmiechnął się doktor i wyszedł z sali chorej, aby powiadomić rodzinę, o jej polepszającym się stanie zdrowia.

— Proszę...możecie wejść do niej na chwilę, ale nie wolno jej przemęczać, ponieważ jest bardzo słaba.

— Ile jeszcze będzie trwać tutaj jej pobyt? — zapytała Lourdes.

— Jak tylko zacznie stawać na własnych nogach, wypiszemy ją do domu.

— Dziękuję za wszystko, co pan zrobił.

— Naprawdę nie trzeba, po prostu taki jest mój lekarski obowiązek służenia innym pacjentom. A teraz proszę już do niej wejść, bo czeka tam na was.

— Laura...! Jak się cujesz... — zawołał Elvis już od drzwi.

— W porządku, chyba przeżyję.

— Bardzo cię boli...?

— Nie, nic się nie martw mój mały. Pamiętaj, jak kiedyś obiecałam ci, że zaopiekuję się tobą, nim zjawi twój tata...?mam zamiar dotrzymać tej obietnicy, choć by nie wiem co.

— Nie wiesz, jak bardzo się o ciebie bałam — wtrącił Thomas.

— Wszyscy bardzo się baliśmy — Lourdes ściskając synową za rękę — jestem ci wdzięczna za uratowanie mojego życia, muszę cię też przeprosić, za to, jak cię traktowałam. Wybacz mi, proszę. Obiecuję, że nie będę więcej stawać na drodze do szczęścia tobie i mojemu synowi. Chciałabym, abyśmy od tej pory stworzyli prawdziwą rodzinę. Macie się jak najszybciej pobrać, bo ja tak bardzo marzę o wnukach...

Później w szpitalu ranną pacjentkę odwiedziła jeszcze Eva ze swoim mężem, która jak się okazało, spodziewała się dzidziusia, na którego matkę chrzestną wyznaczyła właśnie swoją przyjaciółkę, dlatego zakazała jej kategorycznie umierać w tak ważnym momencie.

Minęło trochę czasu, zanim rekonwalescentka całkiem doszła do siebie i wyszła ze szpitala.

Dwa miesiące później

— Nie, nie... wiesz dobrze, że nie lubię długich trenów — stwierdziła Laura, siedząc z narzeczonym pod drzewem w ogrodzie.

— Sądzę, że wyglądałabyś pięknie...do tego czerwony dywan, po którym byśmy szli i mnóstwo kwiatów w kościele.

— O to, to już na pewno nie. Co do kwiatów się zgadzam, ale nie cierpię czerwonych dywanów, jeszcze do tego na naszym ślubie. Nie twierdzę, że nasza ceremonia powinna być aż tak skromna, trochę szalu nie zaszkodzi, ale myślę, że to, co już ustaliliśmy, wystarczy. Najważniejsze, że będą na nim nasi bliscy. Twoja matka mi wybaczyła, Bony i Eva spodziewają się dziecka, nareszcie zaczynamy normalne życie.

— Tak...ciekawe czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka. A tak apropo, może i my byśmy pomyśleli o dzidziusiu...

— O nie mój drogi, najpierw ślub... później wesele.

— Ale powiedz tak szczerze, myślałaś, kiedy kolwiek, by zostać matką?

— Hmm, jakoś nigdy mi to nie przyszło do głowy, ale... tak chciałabym, pod warunkiem, że ty będziesz zmieniał pieluchy i wstawał w nocy.

— Dla ciebie wszystko — stwierdził z zadowoleniem przyszły mąż i objął ukochaną jeszcze bardziej.

— Ciekawe co teraz porabia Elvis...

— Mój mały w tej chwili właśnie popija piccolo z palemką u boku swojej Julii nad basenem...

Rozdział 47

— Uch! Te rajstopy mnie wykończy — zdenerwował się Edmund, siedząc w swojej dziupli i szykując kolejny skok na sklep.

— Nic nie widze! Następnym razem złożę reklamacje. Głupia rajstopy... będę musiał wyciąć dziurki na oczy... w dodatku taka ciasna, przecież prosiłem o trójki nie o dwójki. Ten dumny sprzedawca jeszcze mnie popamięta...

Po niefortunnych zmaganiach pechowy złodziej wyciął oczy i z pończochami od głowy aż do samego pasa ruszył na podbój sklepowych kas, ponieważ uciekając z Monterrey, został bez grosza przy duszy, a jak wiadomo, z czegoś trzeba było żyć... i tak od jego przyjazdu już kilka okolicznych sklepów oddało haracz.

Tymczasem przyszła młoda para wracała z kościoła, gdzie z lokalnym księdzem ustalili datę ślubu, która przypadła na wiosnę. Laurze kojarzyła się ona z nowym początkiem, dlatego uznała, że to znakomita pora na rozpoczęcie wspólnego życia. Był listopad, więc zostało jeszcze kilka miesięcy, ale i tak smak przedślubnej gorączki dawał o sobie znać.

— Nie mogę się już doczekać...to jeszcze tyle czasu, zanim zostaniesz moją żoną — stwierdził Thomas, otwierając narzeczony drzwi do auta.

— Kto wie, może do tego czasu rozmyślę się i ucieknę... — zażartowała Laura, wsiadając na przednie siedzenie.

— Znalazłbym cię na końcu świata i przyprowadził z powrotem.

Mimo że tego dnia Romero udawał szczęśliwego, to jednak był jakiś niespokojny, jego wybranka serca

cały czas była obok, ale i tak przez jego serce nagle przeleciało mnóstwo dziwnych obaw, których nie rozumiał, być może to dlatego, że bał się, aby jego piękna wizja nie okazała się tylko snem...ale po chwili otrząsnął się i w głowie powtórzył sobie, że to naprawdę rzeczywistość i nikt nie byłby w stanie tego popsuć. Przekręcając kluczyk, odpalił auto i już miał ruszać, kiedy z jego kieszeni od kurtki wydobył się cichy sygnał komórki. Wyciągnął telefon z kieszeni i odczytał SMS-a, którego ktoś mu przysłał.

— Czy coś się stało?

— Nie... Bony napisał wiadomość...czeka na nas w Allende... podobno ma jakąś niespodziankę, podał miejsce spotkania.

— Niespodziankę? Może zadzwoń do niego i zapytaj, o co chodzi.

— Tak, masz rację...hmm ma wyłączony telefon. Co on znów wymyślił.

— Najlepiej będzie, jeżeli tam pojedziemy i sami się przekonamy...

Po krótkim namyśle kierowca przyznał partnerce rację i ruszył zaciekawiony z miejsca parkingowego przed kościołem w stronę Allende.

Ach ten Bony znów coś wymyślił... Czyżby nie miał zamiaru czekać ze ślubnym prezentem? Za godzinę wszystko miało się wyjaśnić. Para kilkanaście minut później znajdowała się już na drodze łączącej obydwie miasta. Była to niezbyt ruchliwa trasa, przy której długim pasmem znajdowało się strome zbocze. Laura jakoś nigdy nie lubiła tędy przejeżdżać, ponieważ nie lubiła takiego pustkowia. W końcu była wychowana w wyższych sferach i mimo że znała już smak życia, to jednak wolała bardziej zatłoczone miasto, w którym nie czuła się sama. Gdy auto nie zwalniając, jechało dosyć szybko, na drodze kilkadziesiąt metrów dalej wyłoniła się czyjaś postać, która trzymając coś w dłoniach, uniosła przed siebie. Młody psycholog zdziwiony zwolnił...nie minęło parę sekund, kiedy to do jego uszu dotarł krzyk pasażerki siedzącej obok.

— Uważaj Oriana!

Ten ze względu na szybkość nie zdążył w porę zareagować...przez środek auta przeleciała wymierzona kula z pistoletu... Thomas oszołomiony dźwiękiem tłuczonej szyby, która zaczęła rozpryskiwać się po samochodzie, chcąc się ratować, skręcił kierownicą w prawo, uderzając z impetem w znak drogowy, uderzenie było na tyle silne, że wraz z narzeczoną natychmiast stracił przytomność. Jego ręce bezwładnie zwisały, a zakrwawiona głowa oparta była o kierownicę. Teraz nie był już w stanie uratować swojej Laury, której głowa opierała się o boczną popękana szybę.

Spod pogiętej maski wydobywał się tylko dym... Kobieta, która im to zrobiła stała tak jeszcze, wpatrując się w rozbity pojazd, jakby nie mogła uwierzyć, że wreszcie jej zemsta stała się faktem. Chowając broń w spodnie za plecy, podbiegła do swych ofiar i oglądając się jeszcze za siebie czy aby na pewno nikt nie nadjeżdżał, otworzyła drzwi, od strony nieprzytomnej dziewczyny. Odpinając jej pas bezpieczeństwa, wyciągnęła ją z samochodu i wlokąc za ramiona, spuściła bez żadnych skrępowań ze zbocza, nad którym wszystko się wydarzyło. Rozkoszą dla tej psychopatki był widok turlającego się w dół ciała, którego właścicielka zabrała jej szansę na bogactwo i ukochaną mężczyznę.

— Myślałaś, że ze mną wygrałaś...? Głupia! — roześmiała się Oriana i wróciła po Thomasa, chcąc skończyć także z nim, ale kiedy chciała z powrotem sięgnąć po broń, ten otumaniony zaczął odzyskiwać przytomność.

— Co się stało? Kim jesteś? — pytał na pół przytomny.

Kryminalistka należała do dosyć bystrych, więc natychmiast znów dostrzegła szansę na powrót do gry...

— Kochanie nic ci się nie stało? Właśnie miałeś wypadek.

— Wypadek? jaki wypadek... — szepnął słabym głosem poszkodowany i znów stracił przytomność. Oriana nie czekając na nic, wywlokła chłopaka z rozbitego auta i z całej siły starając się go udźwignąć, wsadziła na przednie siedzenie swojego samochodu, który stał kilkanaście metrów dalej na poboczu,

jednocześnie pozostawiając ciało Laury, której rozbita głowa zatrzymała się na jakimś kamieniu. Morderczyni miała pewność, że na tym pustkowiu nikt go nie odnajdzie zbyt szybko, więc wdepnęła nogą na gaz i nie oglądając się już za siebie, ruszyła ze swym nieprzytomnym ukochanym u boku, zacząć nowy rozdział z daleka od Monterrey...

Rozdział 48

Po tym, jak Orianie udał się niecny plan, natychmiast po przyjeździe do Allende zatrzymała się we wcześniej wynajętym przez siebie mieszkaniu. Przez cały ten czas to właśnie tutaj się ukrywała pod zmienionym nazwiskiem oraz imieniem.

Na zewnątrz już czekała na nią Susi, powiadomiona o wszystkim, oczywiście nie protestowała na wieść o udziale w kolejnym szaleństwie swej przyjaciółki, ponieważ jej i tak już było wszystko jedno, jakim torem miałyby obrócić się jej życie. Obydwie kobiety ostatkami sił wniosły porwanego do mieszkania tak, aby nikt inny się nie zorientował i położyły go na kanapie.

— Na pewno nic mu nie będzie? Może trzeba wezwać lekarza...? — spytała Susi.

— Nie, nie martw się, ja się nim zajmę, możesz już iść, lepiej, żeby cię nie widział, gdy się obudzi.

— Jesteś pewna?

— Tak!

— Jak chcesz, na razie.

Po tym, jak współniczka opuściła mieszkanie, Oriana, siadając na kanapie, wzięła nieprzytomnego mężczyznę za rękę. Przez kolejne kilkanaście minut wpatrywała się w niego dziwnym wzrokiem, najwyraźniej w swojej głowie znów zaczęła układać plan zrozumiały tylko dla niej. Jak można się było zorientować, po jej poprzednich wyczynach, nie była to osoba zbyt zrównoważona. Być może wydawało jej się, że rozdzielając Laurę i Thomasa uwolniła go od błędu, jaki popełniał...

Po dłuższej chwili chłopak zaczął na dobre odzyskiwać świadomość, otwierając szeroko oczy na miejsce, w którym się znajdował.

— Moja głowa, strasznie boli...

— Kochanie nie martw się, nic ci nie będzie.

— ... Kim jesteś...? Co mi się stało?

— Miałeś wypadek, ale na szczęście już wszystko z tobą w porządku.

— Jaki wypadek?...kim ja w ogóle jestem! Nic nie pamiętam!

— Uspokój się, potknąłeś się i spadłeś ze schodów, ale był tutaj lekarz, na szczęście wszystko z tobą w porządku, być może jest to krótki zanik pamięci, ale na pewno zaraz wszystko sobie przypomnisz. Nie zniosłabym tego, że mógłbyś zapomnieć uczucie, które nas łączy...

— Więc ty...

— Tak, jesteśmy parą. Ja mam na imię Marta, a ty jesteś Victor... mój Victor. Prosiłam, żebyś się tak nie spieszył, ale nie chciałeś słuchać.

— A dokąd szedłem?

— Widzisz, właśnie się tutaj wprowadziliśmy, a ty szukasz nowego biura, jesteś psychologiem... — i tak powoli Orianie udało się wmówić Thomasowi nową tożsamość i życie. Ta szantażystka w ciągu jednej sekundy potrafiła ułożyć plan doskonały. Sądząc, że na dobre pozbyła się nieboszczki, która w tej chwili miała być już tylko zimnym trupem i przykrym wspomnieniem nic więcej nie mogło stanąć na jej drodze. Tymczasem obok kamienia, na którym pozostał tylko ślad krwi, nie było nikogo. Ranna pomimo silnego wstrząsu mózgu zdołała wstać i wdrapać się jeszcze o własnych siłach na drogę. Była tak oszołomiona, że nie bardzo wiedziała, dokąd zmierzała. Szła i szła, ale dokąd...? Jej widok przypominał raczej obłąkaną wariatkę, która uciekła ze szpitala psychiatrycznego, nic więc dziwnego, że o mało nie wpadła pod jeden z samochodów, który trąbił z całej siły, zamiast zatrzymać się i udzielić pomocy.

— Kim ja jestem? dlaczego mam zakrwawione ubranie? — pytała sama siebie przerażona i oszołomiona Laura, która szła tak już kilkadziesiąt minut. Wszystko wokół niej zdawało się tak przerażające, a w głowie była tylko ta pustka, która nie dawała odpowiedzi na żadne pytanie. W końcu dotarła ostatkiem sił do jakiegoś małego miasteczka i zatrzymała się pod małym, domem. Młody mężczyzna, który tam mieszkał, właśnie wynosił śmieci, spoglądając na dziwną nieznajomą, która stanęła przed nim jak słup soli, zaraz zorientował się, że coś jest nie tak.

— Czy z panią jest wszystko w porządku?

— Pomóż mi... — odparła przybłąda zmęczonym głosem i mdlejąc, osunęła się w jego ramiona...

Rozdział 49

— Halo! Proszę pani...! Co pani jest...proszę się ocknąć! O Boże co jej się stało — mężczyzna, biorąc dziwną nieznajomą w ramiona, zaniósł do swojego domu, wołając od progu służącą, która była już w podeszłym wieku.

— Rosalva! Rosa! Chodź tutaj szybko!

— Tak panie Damianie... o matko a cóż to?!

— Nie mam pojęcia... zjawiała się, nie wiadomo skąd i nagle zemdląca.

— Szybko...proszę ją położyć na kanapie, a ja przyniosę walerianę.

Człowiek ten był doktorem, dlatego wiedział co robić, więc położył jej poduszkę pod głowę i dokładnie zbadał, mierząc puls oraz inne funkcje życiowe. Czekając, aż jego służąca przyniesie krople, chwilę przyglądał się na piękną nieznajomą, która zjawiała się w jego domu nie wiadomo skąd.

— Kim jesteś... i co ci się stało, że tak wyglądasz...? — zastanawiał się sam do siebie.

— Proszę, znalazłam jeszcze odrobinę w apteczce — powiedziała służąca, podając doktorowi krople, które ten przystawił Laurze do nosa, próbując ją ocucić.

— Niech pan Damian tylko spojrzy na tę biedaczkę...jej sukienka jest strasznie poszarpana, w dodatku ma rozbitą głowę, ktoś musiał zrobić jej coś złego...trzeba zadzwonić na policję, może ktoś jej szuka...

— Najpierw musimy poczekać, aż dojdzie do siebie, wtedy zobaczymy, co nam powie.

— Racja, o...chyba zaczyna się budzić! Pobiegnę po szklankę wody, na pewno zachce jej się pić.

— Przynieś także talerz zupy, pewnie nie jadła od kilku godzin — stwierdził doktor i spojrzął jeszcze raz na nieznajomą właśnie odzyskującą świadomość, która nie mówiąc nic, wlepiła w niego swe oczy, jakby pierwszy raz w życiu widziała człowieka.

— Nareszcie się pani obudziła.

— Laura, słysząc nieznajomy głos, natychmiast poderwała się z kanapy i wystraszona odsunęła do tyłu.

— Spokojnie, nie obawiaj się mnie, jestem lekarzem, chciałbym ci pomóc i dowiedzieć się co się stało, że jesteś w takim stanie.

— Młoda kobieta spojrzała na porwaną sukienkę i nerwowo dotknęła rękoma swych roztrzepanych włosów. Po kilku sekundach dotarło do niej, że była bezpieczna, więc trochę się uspokoiła, zapominając o pytaniu, które zostało jej zadane.

— Rozumiem, że jest pani w szoku, ale żeby pomóc muszę się dowiedzieć, co się stało.

— ... Ja... ja nie wiem, nie pamiętam.

— Spokojnie proszę się nie denerwować, na pewno to chwilowy zanik pamięci wywołany uderzeniem. Skoro nie pamięta pani, co się stało, chciałbym się, chociaż dowiedzieć jak się nazywasz, może jakiś adres...

— ...tego też nie wiem... ja nic nie wiem. Laura poczuła, jak by w ogóle nie posiadała przeszłości. To było najgorsze uczucie, jakie ją spotkało w życiu. Próbowwała wydobyć coś ze swojej głowy, chcąc udzielić choćby najmniejszej odpowiedzi, ale wszystko było pustką. Nie trafiało do niej żadne wspomnienie.

Po dłuższej chwili, z kuchni wróciła służąca ze szklanką wody w dłoni, patrząc na młodą panienkę ze współczuciem.

— Proszę moje dziecko...

— Dziękuję.

— Nie wiem, kto cię tak urządził, ale najchętniej bym go...

— Roso...proszę bądź bardziej delikatna.

— ... przepraszam.

— Skoro nic nie pamiętasz...musimy się zastanowić co dalej, może odpocznij, a ja sprawdzę zaginięcia, tak ładnej dziewczyny na pewno ktoś szuka — uśmiechnął się Damian i odszedł do drugiego pokoju, w którym na stoliku stał laptop, następnie dokładnie przeszukał policyjne listy zaginionych, ale niestety nie znalazł tam zdjęcia swej nieznajomej. Więc teraz głowił się jeszcze bardziej jak jej pomóc, nie znając nawet jej imienia. Damian był mężczyzną w wieku trzydziestu trzech lat od zawsze samotnym, pewnie z natury wynikał jego cichy i spokojny, charakter dlatego jeszcze nie ułożył sobie życia. Uważał, że dzisiejsze dziewczyny były zbyt bezpośrednie i zazwyczaj bez jakiegokolwiek ogłady, aż tu nagle trafiła mu się przybyszka znikąd, którą wyglądało na to, że będzie musiał zająć się trochę dłużej niż swoimi codziennymi pacjentkami, którym od lat badał ich bijące serca na jego widok. Niektóre właśnie tylko po to do niego przychodziły, licząc, że wreszcie któraś zwróci na siebie uwagę tego wolnego stanu kawalera. Po godzinie przeglądania stron internetowych specjalista znów wrócił do pacjentki, licząc na to, że być może coś sobie przypomniła, ale ona ze smutkiem tylko pokiwała głową na nie.

— No cóż, wygląda na to, że dłużej u nas pani zagości — oznajmiła Rosa i poszła do swojej garderoby poszukać czegoś na przebranie, Laura przecież nie mogła chodzić w podartym ubraniu.

— Pewnie jeszcze wczoraj miałam rodzinę i tożsamość, a dzisiaj czuję się jak z innej planety, to straszne nic o sobie nie wiedzieć...

— Nie martw się, na pewno wkrótce wszystko będzie dobrze, to tylko chwilowy stan, w którym twój mózg utracił dane — oznajmił medyk, chcąc jakoś pocieszyć tę biedaczkę, która z każdą minutą była coraz bardziej zdesperowana.

— A tak w ogóle to już podjąłem decyzję, że zostaniesz u mnie kilka dni, aż

całkiem wyzdrowiejesz, trzeba ci tylko nadać imię.

— Ale ja nie chcę sprawiać kłopotu...

— Ależ nic podobnego, przecież w takim stanie nie mógłbym cię wypuścić na ulicę, dlatego tymczasowo nazwę cię... Ana, czy odpowiada?

— Mm, ładnie dziękuję.

— W takim razie... Ano ta służąca, która przyniosła ci wodę to Rosalva, pomaga prowadzić mój dom, ponieważ ja jestem strasznym bałaganiarzem.

— Nie ma pan żony?

— Ha, ha jakoś do tej pory nie miałem tego szczęścia, mówią, że samotność jest okropna, ale ja tak tego nie odczuwam aż bardzo, może po prostu zdążyłem się przyzwycząić... aha, tak w ogóle to jestem Damian, jak już wspomniałem, jestem lekarzem, konkretnie kardiologiem, miło mi będzie cię gościć przez najbliższe kilka dni.

Rozdział 50

Zbliżał się wieczór. Odkąd przyszła para młoda wybrała się ustalać datę ślubu, minęło już dobre kilka godzin, więc domownicy powoli zaczęli się martwić.

— Czemu jeszcze tak długo ich nie ma — denerwowała się Lourdes.

— Na kolację też się chyba spóźnią — odparł Fermin, który za kilka chwil miał podawać do stołu. Od kiedy Eva wyszła za męża, wszystkie kuchenne obowiązki spadły na jego barki. Gdy zegar wybił godzinę dwudziestą drugą, Lourdes zaczęła denerwować się jeszcze bardziej. Nie miała pojęcia, co było tak ważne, aby zatrzymać na tak długo jej syna. W dodatku Elvis zrobił się strasznie marudny, ponieważ był jeszcze mały i odkąd Laura się nim opiekowała, to ona zawsze kładła go do snu i dawała buziaka na dobranoc. Co prawda, gdy był z nim jego ojciec, to też o tym pamiętał, ale po pijaku jednak zdarzało mu się zapominać o tak ważnym zadaniu, więc Elvis w takich momentach śpiewał sobie do snu sam. Nie znał kołysanek, więc zwykle były to podsłuchane nuty jego ojca, śpiewane po pijaku. Chłopiec uważał, że jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. I tak też tym razem przypomniały mu się stare czasy.

Po całej nocy nie obecności, pary wciąż nie było. Po nie zmrużeniu oka ani na chwilę zaniepokojona matka podjęła decyzję, że nie będzie czekać, ani chwili dłużej. Natychmiast postanowiła zadzwonić na policję. Jej syn nigdy nie zniknął na tak długo, więc pełna obaw kazała Ferminowi wykonać telefon. Ten stojąc w salonie, już chwycił za słuchawkę, kiedy to zadzwonił dzwonek do drzwi.

— Nareszcie...na pewno to oni! Nie stój tak, biegnij otworzyć, co mogło ich zatrzymać — dodała Lourdes, myśląc, że wreszcie zobaczy Thomasa i wygarnie mu odpowiednią reprimendę za tak długie zwleknięcie z powrotem do domu. Jednak ku jej zdumieniu zamiast swojego dziecka w wejściu ujrzała policjanta w dodatku z niewesołą miną. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe ze zdenerwowania, więc podbiegła do funkcjonariusza patrząc mu prosto w oczy, jak by chciała w nich wyczytać, że wszystko było w porządku.

— Witam

— Dzień dobry czy coś się stało? — zapytał majordomus.

— Tego jeszcze nie wiem, ale chciałbym rozmawiać z właścicielem lub właścicielką tego domu.

— To ja — zająknęła się Lourdes

— Czy zna pani tablice rejestracyjne tego auta? — zapytał funkcjonariusz, wyciągając z kieszeni małą, białą kartkę.

— Tak, to numery rejestracyjne mojego syna. Wczoraj przed południem wraz ze swoją narzeczoną pojechali ustalać datę ślubu i do tej pory nie wrócili,

bardzo się o nich martwię.

— Ma pani słuszne obawy, ponieważ godzinę temu dostaliśmy zgłoszenie o porzuconym samochodzie na drodze z Monterrey do Allende.

— Jak to porzucony?! Gdzie mój brat?! — krzyknęła Amelia, która właśnie schodziła na śniadanie, nie mając o niczym pojęcia, ponieważ nikt nie chciał niepotrzebnie jej martwić.

— Proszę się uspokoić, nic jeszcze nie wiemy — wyjaśniał policjant

— Jak to nie wiecie...gdzie moje dziecko?

— Chodzi o to, że samochód był rozbity, w środku znaleziono kule z broni i telefony zaginionych, ale ani pani syna, ani jego narzeczonej tam nie było.

— Jak to nie było? Przecież nie rozplynęli się w powietrzu — odparła zdenerwowana Amelia

— Nasi śledczy właśnie to próbują ustalić. Czy pan Thomas miał, jakichkolwiek wrogów?

— Nie nigdy, od zawsze był bardzo lubiany — odpowiedział lokaj, ponieważ jego pani nie była już w stanie nic więcej z siebie wydusić, jej świat właśnie się zawalił, nie mogła pojąć, jak jej ukochany syn, nagle przepadł bez wieści. Podczas gdy Fermin ją pocieszał, Amelia natychmiast pomyślała o Elvisie, zastanawiając się jak mu teraz wytłumaczyć brak jego super Laury, która była mu matką, ojcem i siostrą jednocześnie. Jak zły szeląg przez głowę Amelii ciągle przechodziło imię „Oriana”, to ją zaczęła podejrzewać jako pierwszą. Ta młoda dama była dosyć bystra, dlatego zdawała sobie sprawę, że jeżeli jej podejrzenia miałyby się sprawdzić, to jej brat i przyszła bratowa byli w naprawdę poważnych tarapatkach...

Rozdział 51

Właśnie mijał drugi tydzień, odkąd Laura Monroy została Aną. W domu lekarza czuła się bardzo dobrze. Kucharka Rosa także ją polubiła. Jednak po dwóch tygodniach pamięć nadal nie wróciła. Więc gdyby nie nieustanne rozmowy z doktorem od serca, który służył także jako terapeuta, pewnie dziewczyna czułaby się bardziej zagubiona.

Była sobota. Laura pomagała kucharce nakryć do stołu, ponieważ tego dnia na obiad została zaproszona przyjaciółka Damiana, Marta, którą poznał przypadkiem w czasie wyjścia do kina „solo” (samemu). Może nie była kimś wyjątkowym dla niego, ale on uważał, że Ana powinna zacząć widywać innych ludzi. Damian był świetnym kucharzem dlatego też po przyjściu z pracy, które nastąpiło po godzinie czternastej, sam osobiście zabrał się za przygotowanie kurczaka w sosie pomarańczowym. Zazwyczaj to Rosa miała pierwszeństwo w kuchni, ale jeżeli chodziło o gości honorowych, to pan domu przejmował inicjatywę. Tym razem zdążył kilka chwil przed tym, jak zadzwonił dzwonek do drzwi. Służąca zaraz pobiegła przywitać gościa. W tym czasie Laura wkładała jedną z sukienek, którą podarował jej lekarz, aby miała, w czym chodzić. On miał dobry gust, więc wszystkie stroje pięknie leżały. Służka wprowadziła gościa do jadalni, nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie okazało się, że znajomą Damiana był nie kto inny jak tylko Oriana... we własnej osobie, która zmieniła tożsamość... ta perfidna żmija albo była wielką szczęściarą, albo miała farta i dar opętywania innych... a może to po prostu przeznaczenie...?

— Witaj Marto czekałem na ciebie.

— Witaj, mam nadzieję, że się nie spóźniłam...

— Ależ oczywiście, że nie, jesteś wprost punktualnie, rozgość się, proszę, zaraz podam obiad, co prawda ta dziewczyna, o której ci opowiadałem przez telefon, jeszcze nie jest gotowa, ale zaraz się zjawi prawda Rosalvo...?

— Tak, zaraz sprawdzę, czy jest gotowa.

— Cóż za biedaczka, z tego, co mi opowiadałeś, rzeczywiście musiało ją spotkać coś okropnego — stwierdziła Oriana, udając, że ją to, co kolwiek obchodziło.

— Tak to okropne, zjawiała się u mnie tak nagle i w okropnym stanie, byłem na tyle zaskoczony, że...

— To dziwne, że do tej pory nie odzyskała pamięci...

— Wiesz, to dobry pomysł o... już idzie, Ano pięknie wyglądasz.

— Dziękuję.

— Pozwól, proszę, że przedstawię ci moją znajomą... Marto to jest Ana... Marto...? Marto wszystko w porządku?

— ... Tak... tak, wszystko w porządku — stwierdziła nieudolna zabójczyni, stojąc, jak słup soli. Właśnie dopadła ją zmora przeszłości, która stanęła przed nią niczym cień, który wrócił, aby ją ostatecznie pogrążyć.

— Witam, jestem Ana, to znaczy... teraz to moje nowe imię — stwierdziła nieśmiało Laura, wyciągając rękę do swej sprawczyni, której teraz nie pamiętała.

— Izabelo to ty...? Nie mogę uwierzyć... po tylu latach...

— Jak to? To wy się znacie? — zdziwił się Damian.

— Ależ oczywiście, przecież byliśmy najlepszymi przyjaciółkami.

— Przyjaciółkami? Wybacz, ale ja nie pamiętam.

— Nic nie szkodzi, posłuchaj, wychowałyśmy się w jednym sierocińcu. Potem nagle kontakt się urwał. Cały czas zastanawiałam się, co się z tobą stało. Nie przypuszczałam, że spotkamy się w tak przykrych okolicznościach.

— Czyli ja nie posiadam rodziny?

— Twój rodzice zmarli, gdy byłeś dzieckiem, zawsze byłeś jedynaczką, w sierocińcu ją zastępowałam ci siostrę. Nie martw się, pomogę ci, wszystko sobie przypomnisz...

Rozdział 52

Minęły cztery miesiące, odkąd syn Lourdes, wraz z narzeczoną przepadł bez wieści. Rodzina z każdym dniem traciła nadzieję coraz bardziej. Zrozpaczona matka całkiem straciła chęć do życia i przestała wychodzić ze swego pokoju. Właściwie jedyną osobą, która wierzyła w powrót bliskich była Amelia. Codziennie sprawdzała ona poczynania policji, które na razie nie dawały żadnego efektu. Tymczasem Laura jako Ana którą jednak ta wołała pozostać, znalazła pracę w małej kafejce niedaleko swego nowego domu. Nie chciała być dłużej obciążeniem dla doktora, a poza tym strasznie jej się dłużył czas w czterech ścianach, więc odrobina kontaktu z innymi zaczęła wychodzić jej na dobre. Mimo że jej pamięć w dalszym ciągu szwankowała, jak stary dziadek to jej samej zaczął wracać dobry humor. Przecież jak myślała, jej przyjaciółka Marta wyjaśniła, skąd ta pochodziła. Więc skoro Ana nie posiadała rodziny, można było uznać sprawę za zamkniętą. Jedyne co chciała sobie przypomnieć to ten feralny wypadek, który jej się przydarzył. Cały czas zastanawiała się, jak mogło do niego dojść. Oczywiście oprócz tego coraz bardziej martwiła ją jeszcze inna sprawa. Odkąd poznała lekarza, który jej pomógł stanąć na nogi, bardzo go polubiła, jednak z czasem zaczęła zauważać u tego człowieka pogłębiający się smutek i nie miała pojęcia, jaki był jego powód. Za każdym razem, gdy próbowała podjąć rozmowę, słyszała, tylko że wszystko było w porządku i to tylko zwykłe przemęczenie, więc w końcu się poddała i postanowiła nie wnikać w jego życie prywatne, przecież każdy mógł mieć prawo do samotności. Gdyby tylko Thomas wiedział jakie rozterki przeżywała jego Laura, na pewno pokonałby wszystkie przeszkody, aby ją uszczęśliwić, ale on tymczasem nie miał pojęcia o jej istnieniu... on, który zakochał się w niej bez pamięci w jedną noc podczas zwykłej zabawy pośród tłumu, teraz nie zdawał sobie sprawy o istnieniu swojej połówki. Mimo że Oriana podawała się za jego dziewczynę, on kompletnie tego nie czuł, widocznie serca nie dało się oszukać. Był z nią tylko dla jej wygodnej satysfakcji, poza tym czuł się zdezorientowany tą całą sytuacją, dlatego też w niej tkwił. Oriana stawała się coraz bardziej nachalna i zaborcza, w dodatku nakazała swemu niewolnikowi, aby po pracy natychmiast wracał do domu, co go strasznie frustrowało, ponieważ nie rozumiał takiego zachowania i nie lubił być ograniczany. Czasami sam siebie pytał, jak to się stało, że zostali parą, no cóż... miał cichą nadzieję, że jeżeli ma tkwić do końca życia w tym związku, to może jednak zdoła pokochać Martę, kiedyś... a tymczasem nocami, gdy zasypiał, w jego sny wkradała się pewna blondynka o zielonych oczach, która siadała przy jego łóżku i wpatrywała się w niego swym niewinnym wzrokiem. Budząc się z rana, chłopak marzył, aby spotkać tę piękność naprawdę, ale rozumiał, że to tylko sen i natychmiast wracał do rzeczywistości.

Pewnego dnia jednak postanowił się sprzeciwić rozkazowi Oriany i wiedziony jakimś dziwnym przeczuciem, po pracy nie wrócił jak zawsze do domu, lecz urządził sobie spacer na mieście. Wreszcie zażył odrobinę wolności, widząc uśmiechnięte twarze ludzi, którzy ganiali wokół za swoimi drobnymi sprawami. Ktoś wychodził ze sklepu, a ktoś zajadał się pomarańczowym lodem. Dwóch starszych panów siedziało na ławce w parku, opowiadając sobie stare czasy, a wokół nich mała dziewczynka uciekała z cukierkiem w ręku goniona przez jakieś niedobre chłopaczysko. Thomas nagle zwrócił swój wzrok ku nim... miał wrażenie, jakby to już kiedyś przeżył.

— Hmm...być może, jako dziecko, też byłem takim łobuziakiem — zaśmiał się sam do siebie, jednocześnie próbując sobie przypomnieć tę chwilę z dzieciństwa, która coraz jaśniej zaczęła świtać mu w głowie...jednak zaraz zgasła, ponieważ ktoś uderzył go z tyłu lekko w ramię...

— Przepraszam, to nie chcący — powiedziała jakaś kobieta, która zajęta była szperaniem za czymś w swojej torebce. Odwracając się za siebie, Thomas zaniemówił... ponieważ ujrzał blondynkę ze swoich snów... która wyraźnie gdzieś się spieszyła. Do tej pory myślał, że była ona tylko snem, ale teraz zaistniała naprawdę. Gdyby tylko zdawał sobie sprawę, że to była jego Laura... Nim zdążył wyjęknąć

— Nic nie szkodzi — nieznajoma przepadła gdzieś w tłumie, nie oglądając się za siebie. Thomas próbował ją jeszcze dostrzec w oddali, ale ona po prostu zniknęła jak każdego ranka z jego snu...

Rozdział 53

Nastał maj, piękny miesiąc dla zakochanych, lecz niestety nieprzynoszący żadnych zmian w poszukiwaniu zaginionych. Rodzina Romero całkiem pogrążyła się w rozpacz, nawet Elvis nie był już tym wesołym chłopcem co dawniej, wyraźnie brakowało mu jego bratniej duszy. Amelia starała się, jak mogła, zastąpić mu jego przyjaciółkę, ale to niestety nie wystarczało. Mały nawet zachował swój pierwszy, wypadnięty ząbek, chcąc go pokazać Laurze, ale ona ciągle się nie zjawiała. W końcu czarę goryczy przelało obolałe serce Lourdes, która wyraźnie popadała w chorobę. Amelia, widząc nieudane starania policji, powiedziała stanowczo dosyć! Skoro auto jej brata znaleziono na drodze z Monterrey do Allende, to ślad prowadził właśnie tam. Nie zastanawiając się długo, sama postanowiła się tam przenieść i tkwić tak długo aż odnajdzie bliskich. Nie warto było tracić czasu, mimo obaw i sprzeciwu rodziny, spakowała się natychmiast i wyruszyła w drogę pierwszą taksówką. Nic tak nie dodawało wiary, jak nadzieja. Podczas gdy Amelia postanowiła, wziąć los w swoje ręce zmierzając do Miasteczka, na Laurę znów czekała niespodzianka. Młoda dama właśnie szykowała się na kolację, którą zaproponował jej Damian. Z początku odmówiła, ponieważ chciała ładnie wyglądać i sprawić swym widokiem przyjemność lekarzowi, ale nie do końca miała co na siebie włożyć, dlatego też kardiolog, który miał wysmakowany gust, zadbał o wszystko i kupił kilka ładnych sukienek rozmiarem idealnie pasujących na jego współlokatorkę.

— Myślę, że ci się spodobają — stwierdził nieśmiało, wręczając prezent w jej pokoju.

— Dziękuję, ja naprawdę nie wiem, jak mam się odwdziżyć, za to wszystko, co zrobiłeś dla mnie do tej pory.

— Wystarczy, że mieszkasz w moim domu i swoją obecnością sprawiasz mi radość, nic więcej nie potrzebuję. Będę czekał na ciebie w salonie — odparł mężczyzna i wyszedł z pokoju, zostawiając Laurę z kolejnym dylematem... którą z tych sukienek teraz włożyć...ach te kobiety...gdy dokonała wyboru, który padł, na czerwony strój, w małe kwiatki, sięgający przed kolana, które były niczego sobie, nałożyła jeszcze perfekcyjny, delikatny makijaż przed dużym lustrem umieszczonym na toaletce. Patrząc tak na swoją twarz, odniosła wrażenie, że już gdzieś, kiedyś widziała podobne lustro prawie identyczne. Być może był to początek jej wspomnień...choćby tych niewielkich. W końcu, gdy skończyła się malować, wzięła jeden głębszy oddech i udała się do salonu, chcąc pokazać, jak leżała na niej sukienka, подарowana przez lekarza. Jednak na chwilę zatrzymała się przy drzwiach, ponieważ on niezauważająca jej, połykał jakieś pastylki, mając do tego dosyć niewyraźną minę...

— Co z tobą? Co to za leki?

Kardiolog, odwrócił się za siebie szybko popijając pastylkę wodą.

— Nie chciałem cię denerwować, to tylko ból głowy. Pięknie wyglądasz, ten kolor jest wprost wymarzony dla ciebie — oznajmił doktor, chcąc uniknąć tematu.

— Jeżeli się źle czujesz, to możemy zostać w domu, ja coś przyrządzę, a ty odpoczniesz...

— Ależ nie, wszystko jest w porządku. Chodźmy już, ponieważ czeka nas bardzo miły wieczór.

— Hmm... orkiestra też będzie?

— Co tylko zechcesz — odparł Damian i otworzył swojej towarzyszce drzwi wyjściowe.

Pierwsza część kolacji przebiegła bardzo miło. Co prawda bąbelki od szampana uderzyły Laurze trochę do głowy, to też zaczęła nieco się chichrać, ale widząc, ile już wypila, postanowiła się jednak nieco opanować. Nawet nie przypuszczała, że Damian okaże się człowiekiem z niemałym poczuciem humoru, zawsze, gdy wracał po pracy do domu, był przygaszony i cichy jakby ciągle go coś trapiło, a tu proszę... okazał się żartownisiem, który znał mnóstwo zabawnych sytuacji i dowcipów. Młoda dama przez chwilę umilkła patrząc na jego roześmianą twarz, której to inne oblicze dostrzegła dopiero teraz, w pewnej chwili poczuła się nawet zauroczona,

nic w tym dziwnego. Przecież ten przystojniak był dobrze ułożony i miły. Każda kobieta marzyła właśnie o kimś takim, ale mimo wszystko Laura nie dopuszczała do siebie tej myśli, ponieważ coś od środka jej na to nie pozwalało, tak jakby sumienie tłumaczyło jej, że popełniała błąd, być może to dlatego, że jednak nie pamiętała swej przeszłości? Może był już w jej życiu ktoś, kogo kochała...? Nim jednak zdołała ogarnąć swoje myśli do końca, Damian zamilkł na chwilę, a jego oczy znów zrobiły się smutne, mimo to sięgnął do prawej kieszeni od marynarki. Orkiestra, która brzdąkała coś delikatnie na moment ucichła. Ku zdziwieniu swej partnerki doktor trzymał w lewej ręce małe pudełeczko.

— Widzisz Ano... mieszkasz ze mną już kilka miesięcy, w tym czasie muszę się przyznać, nie chcąc cię przy tym urazić, że zakochałem się w tobie... odmieniłaś moje życie, ten mały niebieski brylant jest dla ciebie. Czy zostaniesz moją żoną i przyjaciółką do końca mych dni?

Wybranka zdębiała, ponieważ kompletnie nie wiedziała, jak ma się zachować. Już wystarczającą torturą dla niej było nieposiadanie przeszłości, a teraz miałyby wyjść za mąż? W krótkiej chwili jednak postanowiła ogarnąć swoje myśli, ponieważ zawdzięczała doktorowi swoje życie. Czy tak dobrej osoby nie można by pokochać z czasem...?

— Obiecuję, że jeżeli się zgodzisz, to do niczego cię nie będę zmuszał.

— Nie...

— Nie?

— To znaczy tak... zgadzam się — odpowiedziała Laura, nie chcąc tracić poczucia bezpieczeństwa, które już zyskała. Kierując się nie sercem, lecz rozumem uznała, że to najwłaściwsza decyzja, jaką mogłaby w tej chwili podjąć.

— Obiecuję, że uczynię cię najszczęśliwszą kobietą na ziemi — odparł rozanielony lekarz i wstał, aby uściskać narzeczoną.

Rozdział 54

Bajecznie przystojny Edmund, idąc ulicą, liczył swój marny łup. Niestety nie miał dzisiaj szczęścia, ponieważ staruszka, której wyrwał torebkę, miała w środku tylko kilka peso.

— Wystarczy tylko na jedno piwo i jeszcze dostałem po głowie parasolką, dobrze, że zdążyłem uciec... — marudził pod nosem.

No cóż, takie są losy złodzieja, raz na wozie, a raz pod. Gdyby ten włamywacz wreszcie zechciał wziąć się do uczciwej pracy, być może stać by go było teraz na coś więcej, ale matka, która od zawsze trzymała twardą rękę na wychowaniu synów i od początku kierowała ich karierą, miała dla nich inny plan na życie. W takiej sytuacji niesfornemu przestępcy przydałby się ktoś, kto by skierował jego los na właściwy tor, jednym zdaniem przydałaby mu się porządna resocjalizacja. Tylko gdzie szukać kogoś, kto by się zainteresował losem tego łotra...? A jednak życie bywa na tyle dziwne i zaskakujące, że zawsze to do niego należy ostatnie zdanie.

Edmund właśnie mijał ostatnie skrzyżowanie, będąc już blisko swojego domu, a raczej dziupli, w której aktualnie przebywał, w międzyczasie rozglądał się jeszcze za jakąś kol wiek staruszką. Być może następna z nich miałaby w torebce nieco więcej pieniędzy niż ta poprzednia, która w dodatku sprzedała swemu oprawcy guza na głowie od parasolki.

— Może jutro będę miał więcej szczęścia... ten fach powoli schodzi na psy. Nie dorobię się na czymś tak haniebnym i mało opłacalnym — rozmyślał Edmund, po drodze drapiąc się w głowę, gdy nagle ktoś znieacka wpadł na niego, trzymając w ręku jakąś kartkę.

— Ślepa jesteś! Uważaj, jak chodzisz! — krzyknął zdenerwowany. Nawet nie przypuszczał, że właśnie zderzył się z najpiękniejszą kobietą, jaką kol wiek widział. Jej kręcone włosy falowały od cichego powiewu wiatru, a oczy promieniały od blasku słońca. Po raz pierwszy w życiu Edmund zaniemówił... zaczął się jąkać, chcąc odwołać te słowa, które przed chwilą padły z jego ust, jednak nie potrafił nic z siebie wydusić...

— Przepraszam — odparła trochę obrażona niewiasta, trzymając za sobą walizkę na kółkach. Cóż to za zrzędzenie losu, że okazała się nią być właśnie Amelia Carderi, którą droga życiowa przywiodła do Allende, aby mogła odnaleźć swych bliskich.

Nim Edmund wyjąkał — Nic nie szkodzi — muza jego życia zniknęła gdzieś na ruchliwej ulicy w poszukiwaniu adresu hotelu, który miała zapisany na małej karteczce. Widocznie nie słyszała już jego słów i chyba mało ją obchodziło to, co usłyszała, odeszła pozostawiając Edmunda w dzikim szale uczucia, które przeszło

go po raz pierwszy w życiu. Do końca dnia ten hulaka nie mógł zapomnieć o nieznajomej. Zasypiając wieczorem na łóżku, jeszcze marzył, aby ją spotkać. Kto by pomyślał, że okrutny zbir, który był postrachem okolicznych sklepów i maszerujących po ulicach staruszek dał się opętać przez coś tak głupiego, jak miłość...

Rozdział 55

Damian od kilku dni był w siódmym niebie. Teraz to ktoś zupełnie inny. Jego serce nagle wypełniła chwilowa radość. Jednak jego oczy wciąż były smutne... Doktor mimo wszystko, by pochwalić się swoim szczęściem, umówił się na kawę ze swą znajomą, Renatą niedaleko jego miejsca pracy. Oczywiście Oriana na spotkanie zjawiała się natychmiast, ponieważ teraz musiała mieć na oku przebieg sytuacji. W jej mniemaniu, gdyby nie daj Boże, Laura odzyskała pamięć, znów wszystko by przepadło, dlatego trzeba było trzymać rękę na pulsie. Oczywiście ta podstępna kobieta nie miała jeszcze pojęcia, że jej plan posuwał się w idealnym dla niej kierunku.

Wchodząc do kawiarenki, upewniła się jeszcze, czy na pewno wszystko było w porządku i z ukrytą miną podstępnej żmii siadła przy stoliku.

— Witaj, przepraszam, że dla mnie musiałaś się urwać z pracy, ale chciałem ci oznajmić wiadomość, która cię z pewnością ucieszy.

— Ależ to nie był żaden kłopot, wiesz, że ja dla ciebie zawsze znajdę czas. Cóż jest tak ważnego?

— Nie będę owijał w bawełnę... odkąd mnie znasz, zawsze mnie namawiałaś, abym się ożenił no i teraz... odnalazłem tą, która dotrzyma mi towarzystwa...

— Chcesz powiedzieć, że...

— Tak żenię się i to już niedługo.

— Ale z kim? Czy to właśnie...?

— Tak moja droga. Niedługo Ana zostanie moją żoną.

— ...gratuluję! Odpowiedziała Oriana, która nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Teraz to była najlepsza wiadomość w jej życiu. Ten problem, który wisiał nad nią niczym piorun, nagle postanowił rozwiązać się sam, nim zdążyła jeszcze coś dodać, Damian wyciągnął z kieszeni od ciemnoczerwonej koszuli, małą kopertę.

— Chciałbym, abyś zrobiła mi tę przyjemność i przybyła na mój ślub, który odbędzie się za dwa tygodnie...

— Tak szybko...? Jak mogłabym ci odmówić. Bardzo się cieszę z waszego szczęścia. Czy planujecie już podróż poślubną?

— Hmm, szczerze mówiąc, nie rozmawialiśmy na ten temat, ale...

— Ja bym wam proponowała Majorkę, to piękne miejsce tylko dla dwojga... i w ogóle powinniście zamieszkać w jakimś cichym i ustronnym miejscu, ten zgiełk miasta z pewnością nie posłuży młodej parze...

— Marto... Marto, poczekaj, wiem, że masz dobre intencje, ale myślę, że najlepiej będzie, jeżeli najpierw Ana wyrazi zgodę. Ja nie chciałbym, bym jej

niczego narzucać, a co do miejsca zamieszkania to uważam, że jeszcze za wcześnie na tę pochopną decyzję, ale obiecuję, że przemyśle twój pomysł.

Oczywiście przestępczyni trochę zrzędała mina, ponieważ chciała zbyt szybko wymusić przebieg sytuacji i wyjazd tej pary z daleka od niej i Thomasa.

Rozdział 56

Tego dnia Thomas zwany nowym imieniem Victor, zrobił sobie wolne od pracy, ponieważ czuł się trochę przemęczony, w końcu każdemu należał się krótki odpoczynek, korzystając z wolnej chwili, postanowił, leżąc na kanapie, przeczytać książkę, której istnienie zauważył na małej półce w salonie. Był to jakiś nie zbyt popularny kryminał o mało znaczącym tytule, z braku laku dla zabicia nudy i taka książka była dobra. Jej przeczytanie zajęło parę godzin. Okazało się, że była jednak dosyć wciągająca. Nim chłopak zdążył dokończyć zdanie na ostatniej stronie końcowej, z pracy wróciła Oriana, jak zawsze narzekając od progu, na swój stan ducha, czyli po prostu zmęczenie. Wchodząc do salonu, położyła torebkę na szklanej, małej ławie, przy której na kanapie jej chłopak udawał śpiącego, nie mając ochoty rozmawiać. Po prostu nie czuł tematu, jaki mógłby podjąć. Sam się jeszcze dziwił, że tkwił tak długo w tym domu, ale po prostu nie chciał skrzywdzić kobiety, z którą rzekomo był już trzy lata. Gdy Oriana udała się do łazienki, aby przemyć twarz, położyła torebkę na ławie, zrobiła to dosyć szybko dlatego ta niepozornie spadła na podłogę. Oprócz ciemnoczerwonej szminki i mocno brązowego pudru z torebki wypadła także mała biała koperta, na którą Thomas zwrócił uwagę. Zaglądając do środka z zaciekawieniem, wyciągnął zaproszenie na ślub nieznannej mu pary.

ANA I DAMIAN PRAGNĄ ZAPROSIĆ MARTEĘ WRAZ Z OSOBĄ TOWARZYSZĄCĄ NA ŚLUB ORAZ PRZYJĘCIE WESELNE KTÓRE, ODBĘDZIE SIĘ 23 MAJA W REZYDENCJI — czytał mężczyzna z nadzieją, że przy okazji tegoż ślubu wreszcie zobaczy kogoś więcej, niż tylko twarz swojej dziewczyny i pacjentów często bredzących trzy po trzy.

— Renato kim jest osoba, która cię zaprasza? — spytał Oriane, która właśnie wróciła z łazienki, od razu zgrzytając zębami z niepewności.

— ... to przyjaciel, ale nie mam ochoty się tam zjawiać.

— Jak to?

— Sam rozumiesz, w jakim jesteś stanie. Naraz tyle ludzi... mógłbyś się pogubić, a ja sama bez ciebie...to nie miałyby sensu.

— Co ty pleciesz?! Przecież wiesz, że czuję się świetnie, jedyne czego mi brak to właśnie kontaktu z innymi. Mam wrażenie, jak byś cały czas próbowała mnie kontrolować...

— Nie, to nie tak. Wiesz, jak mi na tobie zależy.

— Skoro tak to pójdziemy na to przyjęcie. Nic mi się nie stanie, jak raz wyrwiemy się z domu, poza tym przecież nie jestem obłożnie chory, lecz straciłem tylko pamięć. To wszystko nie wpływa jakoś szczególnie na stan mego zdrowia tylko psychiki. Dlatego szykuj najlepszą sukienkę, bo zjawimy się na tym ślubie.

Bądź co bądź Oriana nie miała już tutaj nic więcej do powiedzenia, celowo nie miała najmniejszego zamiaru pokazać zaproszenia, ale to był po prostu pech. Najlepszym sposobem na uniknięcie tej sytuacji było wyrzucić kopertę do kosza.

Tymczasem Amelia, która przybyła do miasta z wielką nadzieją, aklimatyzowała się w hotelu, który wynajęła. Był to nieduży pokój w centrum miasta. Pierwszym punktem zaczepienia było sprawdzenie osobiście wszystkich szpitali i posterunków. Nie było na co czekać. Jak do tej pory policja w Monterrey nie zrobiła większych postępów, więc nie było już nic więcej do stracenia.

Po kilku bezowocnych dniach zdesperowana siostra przeszła do planu numer dwa. Postanowiła, że rozwiesi zdjęcia zaginionych, gdzie się tylko da. I tak na kilku sklepach, słupach i drzewach zawisły ich twarze. Niestety bez większego odzewu, więc poszukiwaczka bez wsparcia Lourdes, lokaja i Elvisa sama zaczęła wątpić. Jednak coś jej cały czas mówiło, że się nie myliła. Być może była to jakaś telepatia... w każdym razie rozmyślała już nad podjęciem kolejnych działań, zastanawiając się co tym razem zrobić, przy okazji po drodze weszła jeszcze do sklepu na mini zakupy, aby przyrządzić sobie coś na kolację. Jak na złość przed nią stanęła staruszka z wielką torbą, która kupowała... i kupowała... ponoć lubiła dużo jeść. Gdyby nie końcówka gotówki, którą miała przy sobie, pewnie wykupiłaby cały sklep. W końcu Amelia zaczęła już ziewać, kiedy nagle podskoczyła ze strachu, ponieważ do supermarketu wpadł jakiś wariat z za ciasnymi rajstopami na głowie. W dodatku wymachiwał bronią i krzyczał „TO NAPAD” więc klientki odskoczyły od lady, ustępując miejsca temu grożącemu kasjerce przestępcy, któremu na głowie wiewała się długa pończocha.

— Pieniądze albo życie!

Biedna ekspedientka za ladą wyciągnęła z kasy wszystko, co miała. Złodziej, chowając, łapczywie pieniądze do torby poprawił jeszcze rajstopy, przez którą się trochę dusił i już miał kierować się do wyjścia, kiedy kątem oka za sobą... znów zobaczył tę piękność, którą pewnego słonecznego dnia spotkał na ulicy. Serce od razu zaczęło mu szybciej bić, a ciśnienie chyba skoczyło do dwustu. Więc nie zastanawiając się długo, tym razem nie miał zamiaru tracić jej z oczu. Chwył ją za rękę i niegrzecznie dostawił pistolet do głowy. Jednym słowem zrobił z niej swoją zakładniczkę.

— Puść mnie pajacu jeden! Nigdzie z tobą nie pójde! — krzyczała Amelia, próbując się wyszarpnąć, lecz zbir był nieugięty i głuchy na jej krzyki. Gdy tylko wyprowadził ją ze sklepu, dla niepoznaki opuścił bron ku dołowi jej pleców i przeprowadził przez ulicę, która tego dnia nie była zbyt ruchliwa.

— Pożałujesz, jeżeli spadnie mi choćby włos z głowy — mamrotała wściekła, lecz niezbyt przestraszona zakładniczka.

— Bądź cicho i idź przed siebie to nic ci się nie stanie — powtarzał Edmund, jednak dziewczyna okazała się dosyć sprytna. Wykorzystując chwilę jego

nieuwagi, z całej siły uderzyła go łokciem w brzuch, po czym zaczęła uciekać. Ach ta Amelia...gdyby wiedziała, że przed przeznaczeniem nie można uciec... porywacz okazał się dosyć szybkim sprinterem, więc pomimo bólu pod żebrem zdołał ją dogonić.

— Myślałaś, że zdołasz uciec...? — zaśmiał się, jak by złapał w ramiona milion dolarów.

— Uch! Nienawidzę cię! Nie rozumiem, po co jestem ci potrzebna?! Przecież już nikt cię nie złapie...

— Przestań się szarpać koteczku... teraz zamieszkas z mną...

— Co takiego?! Co ty sobie wyobrażasz! Widzisz mnie pierwszy raz na oczy, siłą porywasz ze sklepu...jesteś zwykłym zbirzem i nieudacznikiem! jeżeli mnie dotkniesz, chociaż małym palcem...!

— Nic ci nie zrobię, o to możesz być spokojna.

— To po co mnie za sobą ciągniesz? a może ty uciekłeś z Czubków...? Twoja głowa na pewno funkcjonuje we właściwym kierunku...? No jasne, gdybyś nie był trzepnięty, na pewno nie nosiłbyś tej głupiej rajstopy. Ha, ha mogę się założyć, że to dwójka, a nie trójka...

— Słuchaj! — wrzasnął rozzłoszczony do czerwoności rabuś, zrywając maskę z twarzy.

— Albo będziesz cicho, albo zaraz sam cię uciszę!

— ... bez tej idiotycznej maski nie wyglądasz na takiego głupka, jak sądziłam... i masz ładne oczy...

Edmund po chwili zawieszenia znów szarpnął swą zdobycz za rękę i ruszył przed siebie.

Rozdział 57

Edmund mimo oporu porwanej siłą zaciągnął ją do swego mieszkania. Dziewczyna nie była zdziwiona stanem, w jakim go zastała. W końcu po takim złodziejaszku nie można się było spodziewać, że potrafiłby cokolwiek po sobie posprzątać.

— Gorszej rudery w życiu nie widziałam — stwierdziła paniusia, z pogardą omijając puszki po piwie, leżące na podłodze. Mężczyzna tym razem nic nie powiedział, lecz drapiąc się po głowie ze wstydu, zaśmiał się głupkowato. Jednym ruchem zwałił resztę puszek z kanapy i zrobił młodej damie miejsce, aby mogła usiąść.

— Nie dość, że przestępca to jeszcze brudas. Jeżeli myślisz, że na tym usiądę, to się mylisz, a tak w ogóle to wyjaśnij mi w końcu, czemu siłą mnie przyprowadziłeś do tej meliny!

— Co ty chcesz usłyszeć...jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w swym marnym życiu — wyjaśnił nieśmiało zauroczony złodziejaszek, wprawiając tym samym Amelię w niezrozumiałe dla niego rozchichotanie.

— Co takiego?! I z tego powodu chcesz mnie tutaj trzymać na siłę? Ty naprawdę jesteś nienormalny, jak tylko stąd ucieknę, oskarżę cię o porwanie.

— Nie zrobisz tego, ja ci nie pozwolę — odpowiedział gangster i znów szarpiąc swoją wybrankę za rękę, siłą zaprowadził ją do pokoju, który zamknął na klucz.

— Otwieraj... słyszysz ty nierozgarnięty durniu! Jak śmiesz mnie tu przetrzymywać siłą! Zobaczysz, co ci zrobię, jak stąd wyjdę!

Niestety zakochany Edmund nie miał żadnych skrupułów, był głuchy na walenia i wrzaski dobiegające z pokoju. W końcu czego się nie robi z miłości. Na czas, gdy uprowadzona siedziała pod kluczem, chłopak przez kilkadziesiąt kolejnych minut postanowił się poświęcić i ogarnąć trochę swoją rudere. Zgadzał się, z tym że myszy na szafce kuchennej i talerze leżące miesiąc w zlewie nie były normalnością, więc jeżeli jego księżniczka miała nabrać do niego zaufania, musiała w pierw mieć przyjemność mieszkać, w czystym i lśniącym mieszkaniu. Więc po pół godziny powstała już pierwsza ścieżka przez kuchnie, którą było można się poruszać. O dziwo w salonie stanął też, włożony w dzbanek, jakiś stary zeschły kwiatek, ale jak na początkowe sprzątanie zawsze to coś...

Amelia siłą przetrzymywana tkwiła w pokoju od dobrych trzech godzin. Najchętniej uciekłaby, wyskakując przez okno, ale jakoś nie miała odwagi... za wysoko. Ta dziupła jak oceniła pokój, w którym była, znajdowała się na trzecim piętrze, więc na próżne było spoglądanie w dół.

— I co ja teraz zrobię...przecież nie mogę tutaj tkwić, do końca życia

Wreszcie po kolejnych piętnastu minutach tej odsiadki, zamek w drzwiach przekręcił się, a w progu stanął Edmund z zadowolającą, lecz nieco skruszoną miną.

— Pomyślałem, że może zgłodniałaś, więc przygotowałem coś dla ciebie w kuchni.

— Jedzenie...? Skąd mogę wiedzieć, że nie zechcesz mnie otruć...

— Nie obawiaj się, możesz mieć do mnie pełne zaufanie.

— Zaufanie? Do ciebie? przecież sam mnie uprowadziłeś, nie mam pojęcia, do czego jesteś zdolny!

— Zjesz czy ci się to podoba, czy nie. Nie chcę, abyś mi zarzuciła, że cię głodzę — po raz kolejny, łotr szarpnął swego więźnia, za rękę sadzając do stołu, gdzie był podany obiad, a raczej to, co go przypominało.

— Jak skromnie... fasolka z puszki i woda, masz talent, nie ma co...

— Nie spodziewaj się luksusów — odpowiedział trochę obrażony Edmund.

— A gdzie bym tam śmiała, sądziłam po prostu, że jako złodziej porządnie zarabiasz... w końcu jest to niecodzienne stanowisko poprawiające byt szarej strefie nierobów.

— Nie myślałem, że będziesz wobec mnie aż tak opryskliwa.

— O przepraszam, że uraziłam szanownego złodzieja, a raczej zwykłego sknerę!

— Może, zamiast gadać, zaczniesz wreszcie jeść!

— Nie ruszę tego, choć bym miała paść trupem! — krzyknęła naburmuszona niewolnica i wstając od stołu, znów wróciła do tymczasowo, swego pokoju.

— Będę miał z nią ciężkie życie...

Zbój miał rację, Amelia była strasznie uparta, więc chcąc ją przekonać do siebie, czekała go długa batalia, zwłaszcza że już na samym początku popełnił błąd.

Biedaczka znów siedziała w tym okropnym pokoju, w dodatku strasznie głodna, ale duma i wściekłość nie pozwoliły jej poprosić, o co kolwiek tego typu, który nieświadomie przeszkodził jej w poszukiwaniu bliskich. Siedząc na kanapie pełnej gazet z gołymi lachonami, na które ukradkiem spoglądała ze wstrętem, zastanawiała się co dalej...przecież przed wyjazdem obiecała Elvisowi i doni Lourdes, że bez Thomasa i Laury nie wróci. Więc po przemyśleniu swej sytuacji doszła do wniosku, że urządzając awantury, na pewno nie ucieknie, a głodząc się, nic nie zyska, więc najlepszym sposobem było pozornie miłe zachowanie, mające zmylić Edmunda, który wieczorem znów zapukał do jej pokoju z poduszką i kocem w rękę.

— Pomyślałem, że jesteś już senna...

— A jak niby miałabym zasnąć w tym bajzlu i na tej stercie gołych bab?! Pewnie jedyne co zamiatałaś do tej pory to spaceriak w więzieniu.

— Nigdy tam nie byłem.

— Nigdy?! A to dziwne...bo jak stąd ucieknę, sama cię tam poślę, ale najpierw zrób mi miejsce do spania, jeżeli nie chcesz, żebym cię nie znienawidziła do końca życia.

— Oczywiście gwiazdeczko — odparł zakochany szaleniec i natychmiast wszystkie gazety wylądowały za oknem na ulicy. Drugiego dnia kilku bezdomnych miało co oglądać...

Gdy z pokoju zniknęła ostatnia puszka po piwie, wreszcie można było położyć się spać.

— Życzę dobrej nocy — odezwał się niepewnie Edmund, licząc, na jakąkolwiek odpowiedź. Dla Amelii na razie jednak nie istniał i był w jej oczach zwykłym przestępcą.

Rozdział 58

Wybiła wreszcie data ślubu kardiologa i Laury. Pan młody już udał się do kościoła, ponieważ zbliżała się godzina ceremonii, ale jego narzeczona wciąż Stała w szlafroku, wpatrując się na swoją białą suknię leżącą na łóżku. Zastanawiała się, czy podjęła słuszną decyzję, w końcu wiążącą ją na całe życie z doktorem. Wiedziała, że w danej chwili to, co do niego czuła, nie nazywało się miłością, ale przecież on tyle dla niej zrobił...być może z tego przywiązania i wdzięczności mogłoby się coś zrodzić.

— Na pewno będziecie szczęśliwi — odparła Rosa, która weszła do pokoju, kładąc rękę na ramieniu przyszłej żony Damiana.

— Naprawdę tak sądzisz?

— Jestem tego pewna. Spośród wielu kobiet to właśnie panienka otrzymała ten zaszczyt, aby zostać żoną człowieka dobrego i szanowanego, dlatego proszę włożyć suknię, bo pewnie on już się niecierpliwi.

— Masz rację, nic lepszego niż on nie mogło mnie spotkać — dodała Laura pełna wiary, przy pomocy służącej stanęła przed lustrem w ślubnej bieli. Jeszcze tylko ostatnia poprawka spiętych włosów w drobny kok i była gotowa do wyjścia. Kierowca wraz z limuzyną już czekał niecierpliwie. W kościele oprócz pana młodego czekał także tłum gości a wśród nich Oriana, celowo zasiadająca w końcowej ławce wraz z Thomasem, który był ciekaw kandydatki na żonę właśnie wysiadającej z auta, która stanęła jeszcze chwilę z bukietem w dłoniach na progu świątyni. Patrząc w kierunku ołtarza na swego przyszłego męża, na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, ponieważ teraz miała pewność, że wychodziła za wspaniałego człowieka, który był gotowy poświęcić dla niej cały świat. Więc czego można było chcieć więcej...? Gdy organy kościelne zaczęły wydobywać swą melodię, wybranka ruszyła przed siebie. Niecierpliwa Oriana zaraz zaczęła się denerwować, ponieważ Thomas zapłoniony tłumem, ciągle wychylał głowę w kierunku panny młodej. Nic w tym dziwnego, w końcu kto, by nie był jej ciekaw, szczególnie że była jedną z ładniejszych, jakie widział do tej pory. Gdy jeszcze bardziej wyteżył swój wzrok, w twarzy kobiety w bieli, ze zdumieniem dostrzegł blondynkę ze swojego snu... ona znów się pojawiła i w dodatku... wychodziła za innego...!

— Kochanie czy mógłbyś? — szturchnęła partnera Oriana, upuszczając niepozornie torebkę na ziemię, byle tylko oderwał swój wzrok od Laury i schylił się w dół.

— Kochanie moja torebka!

— Co? A tak przepraszam — mężczyzna szybko podniósł kopertówkę i znów wyciągnął szyję przed siebie ku udręce towarzyszki, nie zwracając na nią

szczególnej uwagi.

— Jaka śliczna, dlaczego to ja nie poznałem jej wcześniej... a to pech — pomyślał w duchu, Gdy przyszła żona Damiana stanęła przed nim, podając mu swą dłoń, ten wreszcie poczuł, że teraz był już spełnionym człowiekiem. Po tym, jak para młoda znalazła się przed obliczem najwyższego, kapłan, który nie słynął z długich kazań, na wcześniejszą prośbę narzeczonych przeszedł od razu do części oficjalnej.

— Hmm...moi drodzy, widząc tych dwojga, nie chciałbym przedłużać tej pięknej ceremonii, więc życząc wam, na samym początku wszystkiego wspaniałego pytam cię Ano czy widząc tego młodzieńca, zechcesz być jego powierniczką, przyjaciółką i żoną do końca swych dni?

— ... Tak chce.

— Czy ty Damianie pragniesz uszczęśliwić tę kobietę i uczynić siebie jej mężem? Damianie...?

— Tak, nie mógłbym pragnąć nic więcej — oświadczył lekarz z jakimś dziwnym grymasem na twarzy. Drżącą ręką wsunął swej małżonce obrączkę na palec. Laura popatrzyła na niego z niepokojem...

— A więc ogłaszam was... — niestety biedaczek ksiądz nie zdążył dokończyć zdania...

— Damian! — krzyknęła przerażona narzeczona, czując, jak niedoszły mąż osuwał się o jej ramiona, upadając na ziemię.

— Damian! Co z tobą...! Słyszysz mnie?! — krzyczała, próbując go obudzić, ale nie było żadnej reakcji.

— Proszę przestać...to nic nie da — odezwał się jakiś mężczyzna za nią.

— Co ty wygadujesz! Coś mu się stało, nie widzisz! Trzeba natychmiast wezwać karetkę! Na co czekacie!

— To koniec... on nie żyje... wiedział, że miał tętniaka mózgu.

Laura uniosła głowę w górę i popatrzyła na osobę stojącą tuż za nią, jakby zebrало jej się na żarty w złym guście... ponownie spojrzęła na Damiana, który mimo swego martwego ciała wydawał się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi...

Pół godziny później ciało denata pod ciemnym przykryciem było wnoszone z kościoła przez pracowników służby pogrzebowej. Teraz jego dusza pewnie wędrowała gdzieś po inny świecie, w którym serca ludzkie były całkowicie zdrowe i nie trzeba było ich już leczyć. Być może to smutne, że życie doktora zakończyło się tak nagle, kiedy zaczął odczuwać z niego radość, ale pewnie, gdyby miał je opisać swoimi słowami, z pewnością nie miałby do niego żalu, ponieważ był świadomy swej choroby i prędzej czy później spodziewał się tego, co miało go czekać. Sądząc po tym, jak jego ciało zastygło z uśmiechem na twarzy, można było śmiało stwierdzić, że umarł tak jak żył smutno, ale szczęśliwie. Goście, którzy byli

świadcami tegoż zdarzenia byli w szoku. Przecież ten człowiek nigdy nikomu na nic się nie skarżył, a tu nagle umiera... i w dodatku na własnym ślubie. Nie za bardzo byli w stanie zrozumieć jak mogło dojść do tej tragedii, skoro według nich wszystko wydawało się w porządku. Jednak najbardziej śmierć kardiologa dotknęła Laurę, która stojąc przed kościelnymi schodami w białej sukni, była pocieszana przez służącą. Teraz oprócz łez zostało jej jedynie przypatrywanie się temu, jak zwłoki niedoszłego męża oddalały się w czarnym karawanie. Znowu została sama i tak bardzo w tej chwili samotna, jak nigdy dotąd. Ten lekarz odkąd spotkał ją pod swoim domem, stał się jej największym przyjacielem. Być może umieranie u boku Laury było dla niego nagrodą, na którą sobie zasłużył swym nienagannym krótkim życiem. Jednak nie wszyscy współczuli niedoszłej wdowie tej straty. Wśród tłumu gapiów stała także Oriana, której to całe zajście znowu było nie na rękę. To, że Damian zmarł nagle, zbytnio jej nie obchodziło, właściwie było jej wszystko jedno, co się z nim stało. Jej rywalka znowu stała się przeszkodą, którą należało szybko od siebie oddalić, ale na razie nie można było jej nic zrobić, więc pozostało jedynie, wśród zebranego tłumu dowiedzieć się co dolegało doktorowi. W tym całym zamieszaniu kryminalistka zapomniała całkiem o Thomasie, którego zostawiła samego, a przecież jego ukochana była tak blisko...

Przyglądając się jej z daleka, młody Romero zastanawiał się, jak można by jej pomóc. Korzystając z chwili nieobecności swej partnerki, postanowił podejść.

— Proszę... — dodał, wyciągając z kieszeni od spodni chusteczkę i małą wizytówkę. Wyobrażam sobie, jak teraz cierpisz. Jestem psychologiem, więc gdybyś zechciała porozmawiać, mógłbym ci pomóc.

— Dziękuję — odpowiedziała kobieta, biorąc wizytówkę do ręki i znowu otarła łzy płynące z oczu, nie zwracając zbytnio uwagi na byłego szofera, z którym łączyło ją tak wiele... teraz niestety nie była w stanie tego pamiętać.

— Panienko Ano chodźmy już stąd. Nic, tutaj po nas — wtrąciła Rosa smutnym głosem.

W drodze powrotnej do domu Thomas poruszony tym, co zaszło cały czas miał w głowie jeden temat. Być może nie obeszlaby go ta sprawa aż tak bardzo, gdyby nie fakt, że panna młoda przypomniała mu blondynkę z jego snów. Więc nic dziwnego, że był nadzwyczaj zaintrygowany jej widokiem, choć starał się to ukryć.

— To bardzo smutne że w ten sposób zakończył się ich związek, prawda Marto?

— Tak...to rzeczywiście fatalnie.

— Tylko tyle masz do powiedzenia? odnoszę wrażenie, że ciebie to w ogóle nie obeszło. Przecież to był twój przyjaciel.

— Ależ oczywiście, że mnie to poruszyło, ale żadne z nas nie ma na tę sytuację żadnego wpływu, więc po co to drażnić i przysparzać sobie większego cierpienia.

— Wiesz, czasami myślę, że ty po prostu nie masz serca... a gdybym to ja był na miejscu tego nieboraka i brał ślub z tą Aną? — chlapnął Thomas, chcąc jeszcze coś dodać, ale w jednej sekundzie prawie wyładował głową na przedniej szybie, ponieważ jego dziewczyna nagle przyhamowała, jakby ten powiedział coś niewłaściwego... a raczej niewygodnego dla niej...

— Przepraszam, to skurcz w nodze...

— Nic nie szkodzi...ale następnym razem może ja poprowadzę. Zastanawiam się, jak ona teraz się czuję...

— Skończ już ten temat!

— Przepraszam, po prostu się martwię

— Ale to nie nasza sprawa. Nie powinniśmy się wtrącać do cudzego życia, zwłaszcza do tego, które już się skończyło.

Kilka dni później

Po pogrzebie doktora, od którego minął już jakiś czas, Laura pogrążyła się w zupełnej samotności. Nie za bardzo wiedziała, co miałyby ze sobą począć. Damian był dla niej wielkim wsparciem. W dodatku brak pamięci nie ułatwiał niczego. Marta, która podawała się za jej przyjaciółkę, nie poczuwała się do tego, aby pomóc w tym osamotnieniu. Dlatego nieboraczka nawet nie pomyślała, żeby poprosić ją, o jakąkolwiek pomoc. Siedząc na jednej z ławek w parku, zastanawiała się jaką drogą teraz podążyć i kto pomoże jej odzyskać wspomnienia, które przepadły, nie wiadomo w jaki sposób...

Rozdział 59

Amelia od ponad dwóch tygodni tkwiła w dziupli Edmunda, z której ten cały czas starał się uwić romantyczne gniazdko dla dwojga, lecz jak na razie bezskutecznie. Jego wybranka miała serce zimne jak gład, w dodatku wykorzystując fakt jego miłosnej naiwności, cały czas nakazywała mu sprzątać i szorować podłogi czego ten nie znosił, ale przecież dla ukochanej wszystko.

W końcu ten dżentelmen nie mógł pozwolić, aby mieszkała z myszami w pokoju. Dlaczego więc Amelia dalej miała go za potwora mimo tylu starań? Czy naprawdę jego winą było to, że się zakochał?

Biedak każdego dnia na nowo zebrał choćby o jej jeden uśmiech, lecz bezskutecznie. Wydawać by się mogło, że ta nieodwzajemniona miłość należała do beznadziejnych, lecz jego upór był tak duży, że nie pozwalał się poddawać. A więc... kolejnego dnia tej batalii o przyszłą żonę złodziej wpadł na nietypowy pomysł sprawienia przyjemności swej niewolnicy. Po długim, lecz chyba mało dokładnym przemyśleniu swego planu działania, do głowy przyszła mu myśl, aby w ramach rozrywki i krótkiego wyrwania się z jego lokum zafundować Amelii przelot balonem nad miastem. Być może nie będzie chciała, ale w końcu przecież już od ponad dwóch tygodni tkwiła zamknięta w czterech ścianach więc ta niespodzianka z pewnością będzie trafiona, a poza tym według rabusia świeże powietrze jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Gdy tylko wykupił romantyczny przelot we dwoje, natychmiast udał się z powrotem do swego mieszkania, licząc, że tym razem wreszcie zyska choć jedno spojrzenie Amelii. Po drodze oczywiście na tę okazję odwiedził okoliczny butik, w którym sprawił sobie błękitną elegancką koszulę. W końcu na jego pierwszej tak poważnej randce nie mógł pozwolić sobie, aby wyglądać nieelegancko. Oprócz stroju dla siebie pomyślał także o swej ukochanej, dla której wybrał zieloną bluzkę w kolorowe kwiaty. Osobiście uważał, że do jej delikatnych włosów i urody to one pasowały najbardziej. Po skończonych zakupach wrócił do swojego domu, pogwizdując i uśmiechając się. Niewolnica, gdy tylko usłyszała, że ten się zbliżał, natychmiast udała się do swego pokoju, trzaskając drzwiami, po prostu nie miała ochoty go widzieć ani z nim rozmawiać. Jednak nicponia to nie zrażało. Stojąc przy drzwiach pokoju z prezentem owiniętym w pomarańczowy papier, trochę się denerwował, ale postanowił zachować spokój, więc chrząknął cicho i delikatnie zapukał dwa razy. Kilka sekund później Amelia otworzyła dla świętego spokoju, lecz tym razem zamiast bandziora bez gustu stał przed nią elegancko ubrany młodzieniec, który nie miał nic wspólnego ze swym codziennym wcieleniem.

— O co znów chodzi? — zapytała Amelia, katem oka wpatrując się w papierowy pakunek.

— Wiem, że możesz mi nie ufać, ale skoro od paru tygodni siedzisz tutaj zamknięta, pomyślałem, że może zechciałabyś gdzieś wyjść?

— Wyjść?

— Tak, na pewno zechciałabyś zażyć Świerzego powietrza...

— Gdybyś mnie nie porwał, zażywałabym go codziennie — odpowiedziała gburowato złościca.

— Zaplanowałem dla ciebie niespodziankę — dodał Edmund, omijając tę niefortuną aluzję — Na tę okazję też, mam dla ciebie prezent, który mam nadzieję, że ci się spodoba.

— Prezent? Dla mnie? Co to takiego?

— Zobacz sama i daj znać, gdy będziesz gotowa, ponieważ za pół godziny wychodzimy.

Amelia ze zdziwieniem przyjmując podarunek, zamknęła za sobą drzwi i zaczęła go pomału odpakowywać.

— Co on znowu kombinuje — pomyślała, wyciągając z paczki śliczną bluzkę, która od razu przypadła jej do gustu.

— Jaka śliczna...nie wiedziałam, że ten jak mu tam...ma taki dobry gust. Swoją drogą może nie jest wcale taki zły...? —

Pomimo że nieustępliwa dziewczyna miała wrażenie, że wciąż nienawidziła tego zbira to jednak prezent, który od niego dostała sprawił jej przyjemność. Więc ten jeden raz postanowiła na krótką chwilę odpuścić swoją złość i darować temu zakochanemu idiocie to, co zrobił. Prawdę mówiąc, nie wierzyła w jego uczucia, lecz gdy kilka chwil później stanęła przed nim w zielonym podarunku, w jego oczach ujrziała błysk, którego nie widziała nigdzie indziej, więc trochę się zarumieniła.

— Czy możemy już udać się w miejsce, gdzie jest ta twoja niespodzianka? — zapytała, wrywając Edmunda ze stanu uczuciowej nieważkości, spowodowanej jej osobą. Od razu można było spostrzec, że ten widok go zachwycił, więc wziął swoją Pretty Woman za rękę i wychodząc z mieszkania, zaprowadził do taksówki stojącej przed domem.

— Mogłabym zapytać szanownego złodzieja, dokąd jedziemy?

— Dowiesz się za chwilę.

— ...tak w ogóle dziękuję za prezent. Jest śliczny.

— Cieszę się, że ci się spodobał, nie byłem pewny czy to twój kolor, ale widzę, że wyglądasz wyjątkowo — wyznał romantyk, ale jego pani serca nic nie odpowiedziała, próbując mimo wszystko zachować dystans, jednak odwracając głowę do szyby, uśmiechnęła się, a jej oczy wreszcie odrobinę się rozpromieniły.

Do miejsca, gdzie była niespodzianka nie było zbyt daleko, więc po kilkunastu minutach, para była na miejscu. Był to ustronny niewielki obszar na obrzeżach miasta, gdzie zakochani często urządzali sobie schadzki pod błękitnym

niebem.

Gdy taksówka zaparkowała na jednym z parkingów, Edmund jako dżentelmen zaraz rzucił się, aby otworzyć swej damie drzwi, jednak miał też do niej małą prośbę.

— Czy mógłbym cię prosić, abyś zamknęła oczy? — spytał nieśmiało

— Czemu? czyżbyś chciał mi się oświadczyć? Ostrzegam, że nie dam sobie włożyć na palec kradzionego pierścionka...

— Nie maleńka...na razie nie mam wobec ciebie aż tak szerokich planów — odwdzieczył się odpowiedzią złodziejasek — Alę proszę, zakryj oczy i chodź — dodał i poprowadził ukochaną jeszcze kilkanaście metrów dalej.

— Proszę, już możesz otworzyć oczy.

...no cóż, może chęci były szczerze a sam cel uszczęśliwienia Dulcinei bardzo szczytny, gdyby nie fakt, iż miała ona paniczny lęk wysokości...toteż natychmiast wykonała w tył zwrot, gdyż domyśliła się, co Edmundowi przyszło do głowy.

— Za nic tam nie wsiądę. Na razie...

— Myszko poczekaj, myślałem...

— Źle myślałeś, trzeba było zapytać mnie o zgodę.

I tu jak zwykle Amelia się myliła, ponieważ porywacz o zgodę nigdy nikogo się nie pytał. Dlatego w tym wypadku natychmiast zabiegnał jej drogę i zaczął ponownie siłą pchać w stronę balonu.

— Daj mi spokój! Nie wsiądę tam — wrzeszczała trzpiotka, zapierając się nogami.

— Nie marudź, będzie fajnie, zobaczysz.

— Mówiłam ci już, że jesteś nienormalny...?!

— Mówiłaś, a teraz wskakuj — oznajmił Edmund, biorąc Amelię na rękę, niczym haniebny Romeo wsadził ją do balonu, do którego także sam wskoczył i odczepił kilka lin zatrzymujących balon. Para uniosła się w powietrze lekko i spokojnie, niestety najdroższa wciąż nie była zachwycona, ponieważ odczuwała coraz większy strach przed wysokością, na jakiej zaczęła się unosić.

— Jak mogłeś, mi to zrobić! Nie sądzę, żeby moja polisa pokryła to, że zaraz zginę!

— Nie bój się... i spójrz na dół, jak pięknie — uspokoił Edmund, delikatnie zsuwając drżące dłonie z oczu kobiety, która niepewnie zaczęła spoglądać w dół.

— Miałaś rację... widok na miasto jest oszałamiający, nie widziałam w życiu nic piękniejszego... że nigdy wcześniej nie dałam się na to namówić. Dziękuję... jak ty w ogóle masz na imię?

— Jestem Edmund — uśmiechnął się rabuś, wyciągając prawą dłoń.

— Ja jestem Amelia... uwierzysz, że znamy się już od paru tygodni, a nawet nie znaliśmy swych imion.

— Hmm Amelia... pięknie — rozanielił się błędny rycerz w balonie, cicho szepcząc to imię ku własnemu zadowoleniu.

Gdy lot się zakończył, para postanowiła tym razem w drogę powrotną do domu, wybrać się piechotą fundując sobie spacer ulicami Allende. Co dziwne zakładniczka nie miała ochoty wcale uciekać od swego porywacza, właściwie już nie czuła się więziona, a nawet zaczęła lubić Edmunda, którego imię poznała w przestworzach.

— Wiesz, na samym początku miałam cię za obrzydliwego potwora, wydawało mi się, że skoro mnie uprowadziłeś, to miałeś wobec mnie złe zamiary...

— Teraz już tak nie myślisz?

— Nieee...

— A co o mnie myślisz?

— Przede wszystkim myślę, że jesteś marnym złodziejem i...

— Ależ ty potrafisz być uszczypliwa...

— ...i głupcem, który mnie porwał, ponieważ się we mnie zakochał...nikt jeszcze nie zrobił dla mnie czegoś takiego... a tak w ogóle to mieszkasz w tym mieście od zawsze?

— Ja? Nie, ja pochodzę z Monterrey.

— Naprawdę? Ja też...

— A co cię tutaj sprowadziło? Chciałaś tutaj mieszkać na stałe?

— Na stałe? Ależ nie, jak tylko odnajdę mojego brata Thomasa i Laurę wrócę do Monterrey.

— Jak to odnajdziesz? Laurę i Thomasa?

— Przed paroma miesiącami zaginęli bez wieści, jedyny ślad prowadził tutaj. Jestem pewna, że to ta wstrętna Oriana maczała w tym swoje paluchy. Najpierw spiskowała z Baldurem Romero

— Kim?

— Baldurem Romero, na nieszczęście moim ojcem...

— Ojcem?

— Tak jestem jego córką, ale nie miałam styczości go bliżej poznać — oznajmiła Amelia, ruszając szybszym krokiem. Nawet nie zauważyła, że pozostawiła Edmunda w zdumieniu, ponieważ właśnie wspomniała o jego byłym szefie, który przez nieudacznictwo swego pracownika miał go na muszce. Do gangstera dotarło właśnie, że porwał córkę mafioza, przed którym uciekał... w dodatku chciał żywcem spalić jej przyjaciółkę. Ta sprawa nie mogła się wydać właśnie, teraz gdy stawał się kimś w oczach swej muzy, był pewien, że ona by mu tego nie wybaczyła.

Rozdział 60

Thomas jak to w codziennym dniu bywało, siedział w swoim gabinecie z nogami założonymi na biurko, oczekując kolejnych pacjentów, którzy się pogubili w świecie rzeczywistym. Z pozoru jego praca wydawała się bardzo prosta w obsłudze, bo przecież to tylko słuchanie i gadanie — słuchanie i znów gadanie, ale w rzeczywistości doprowadzić te wszystkie pogubione istoty do stanu normalności i świadomości, w której naprawdę powinny żyć, było niezwykle trudno. Ludzkie problemy i zmartwienia nieraz przerastały pana psychologa, ale on miał wrodzoną cierpliwość do wariatów, którzy często twierdzili, że wybierali się na marsa lub też mieli problem z odnalezieniem się we współczesności. Tak więc Thomas, chcąc wytrwać w tym trudnym, wybranym przez siebie zawodzie musiał każdego dnia znajdować w sobie wiele wyrozumiałości i współczucia. Tego dnia jedyną klientką, która go odwiedziła od samego rana, była starsza pani, której piesek kilka dni wcześniej wpadł pod samochód. Jak się można było domyśleć po jej minie, nie wyszedł z tego cało. Kobieta ta nie posiadała rodziny, więc po prostu była samotna. Tracąc jedyne, wiernego przyjaciela został jej już do pogadania tylko pan psycholog, który doskonale ją rozumiał. Mimo iż nie stracił pieska, to jednak także sam czuł się samotny. Mijała szósta godzina pracy. Spoglądając na zegarek, Thomas właśnie miał wybierać się do domu, jednak znów usłyszał pukanie do drzwi.

— No i proszę, na koniec jeszcze jakaś zbłąkana dusza potrzebuje pomocy — dodał, wstając z krzesła. Jakież było jego zdziwienie, kiedy w drzwiach zobaczył... tę samą Anę, której niedane było wyjść za mąż z powodu śmierci narzeczonego. Biedaczka stała przed psychologiem w nadziei, że ten zechce z nią porozmawiać, o tym, co się wydarzyło.

— Przepraszam, że wcześniej nie zamówiłam wizyty...ale ostatnio znalazłam w torebce pańską wizytówkę. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

— Ależ nie, proszę wejść. W tej chwili jest pani jedyną pacjentką, która zechciała mnie odwiedzić. Jestem Victor, proszę usiąść na kanapie. Zdaje się, że ty jesteś Ana, prawda?

— Tak

— Więc chciałabyś porozmawiać...? Domyślam się o czym...

— Przez ostatnie tygodnie nie miałam pojęcia co ze sobą zrobić, więc pomyślałam o pańskiej propozycji pomocy. Odkąd Damian odszedł, dławi mnie jeszcze większa samotność. Gdybym tylko posiadała najmniejszy urywek przeszłości, z pewnością byłoby mi łatwiej.

— Mm...proszę mi dokładniej opisać swoją sytuację...

— Moje imię to nie Ana... właściwie to nie wiem, jakie jest moje

imię...niewidem kim jestem, ponieważ straciłam pamięć...

— Pamięć?

— Tak, kilka miesięcy wcześniej Damian znalazł mnie przed swoim domem w okropnym stanie i postanowił pomóc. Do tej pory nie mam pojęcia, co mi się przytrafiło.

— Ha, ha...

— Czy pana to bawi?!

— Proszę wybaczyć, ale chodzi o to...chyba będę mógł pomóc bardziej, niż można to sobie wyobrazić. Ja także kilka miesięcy wcześniej utraciłem wszelkie informacje o sobie. Marta, którą znasz to moja dziewczyna, twierdzi, że spadłem ze schodów.

— To bardzo przykre...

— Równie przykre co pani przypadek.

— Ha, ha... oboje nawzajem będziemy dla siebie psychologiem — stwierdziła Laura, która od tak dawna się nie uśmiechała.

— Tak...nigdy w życiu nie byłem w głupszej i tak beznadziejnej sytuacji...to, że przytrafiło się nam obojgu to samo, być może coś znaczy...?

— Nie wiem, ale ciesze się, że mamy wspólny temat — dodała pacjentka delikatnym głosem, przyglądając się terapeutce z wielkim zaciekawieniem, ponieważ wystarczyło, zamienionych kilka zdań z tym człowiekiem, a ona już miała wrażenie, jakby znali się od dawna...czy można by inaczej nazwać tę sytuację jak tylko chichotem losu...?

Kolejne spotkanie tej pogubionej pary odbyło się kilka dni później w ramach pomocy psychologicznej. Rozmowy na całkiem zwykłe i niezwykłe tematy toczyły się lekko i przyjemnie. Właściwie Laura czuła się przy panu psychologu jakby trochę pijana, ponieważ jej serce dziwnie przyspieszało. Miała wrażenie, jakby już kiedyś tego stanu doświadczyła, zapewne przez głowę przebiegał jej ten stan z wiejskiej zabawy, gdy naprawdę się upiła i pierwszy raz tańczyła w ramionach Thomasa.

Mimo że znów oboje znajdowali się tak blisko siebie, to w żaden sposób jednak nie potrafili się sobie przypomnieć... z czasem jednak wspólne spotkania w gabinecie przerodziły się w te przy kawie i na okolicznych ławkach w parku. Terapia między tymi dwojga zaszła tak daleko, że pewnego wieczoru, spacerując po ulicy, prawie doszło między nimi do pocałunku, który być może mógłby im wrócić wspomnienia, ale...przeszkodziły im dwa rozwydrzone koty, które goniąc się nawzajem przebiegły pomiędzy nogami. Ciągłe coraz późniejsze nieobecności Thomasa doprowadzały Orianę do furii, ponieważ on już nie miał ochoty tłumaczyć jej co i z kim robił. Właściwie to cały czas starał się ukrywać spotkania z blondynką ze swych snów. Kryminalistka czuła, że znów zaczął walić się jej grunt pod nogami. Coraz częstsze sięganie do kieliszka jak za starych czasów nie

ułatwiała sprawy, lecz oddalała psychologa jeszcze bardziej. Kobieta domyślała się, komu znów zaczynała zawdzięczać swój upadek, dlatego w jej głowie po raz kolejny rodziły się zbrodnicze myśli pozbycia się tej natrętnej rywalki. Jediną osobą, która wiedziała o wszystkim i mogła ją wysłuchać w jej wariactwach była Susi, która upijała się jak co wieczór.

— On ciągle mi się wymyka! Przeklęta! gdybym wiedziała, że nie zakończyła życia wtedy...! — zaciskała zęby rozmówcy, leżąc z butelką na kanapie i dzwoniąc do wcale nie trzeźwiejszej Susi.

— Wiesz, co ci powiem...? Jesteś beznadziejna, zamiast mi się żalić, po prostu z nią skończ, zanim ona zrobi to pierwsza... tak między nami trzeba nie mieć klepki, żeby upozorować wypadek i nie zobaczyć czy truposz jeszcze oddycha...! Ogarnij się i dzwoń, kiedy będziesz miała już konkretny plan, bo mam cię dosyć — parsknęła Susi i odłożyła słuchawkę — dla mnie, liczył się tylko Marcus — dodała, marudząc pod nosem.

— Pijana wariatka! Ale ma racje...albo ja, albo ta flądra...przecież ona nawet nie wie, jak się nazywa... ha, ha, ha... i czyja to zasługa...moja! Moja! Nie pozwolę ci wygrać... — wybełkotała pijaczka i całkiem nieprzytomna upadła na kanapę, rozlewając resztkę whisky na podłogę.

Rozdział 61

Edmund, pałętając się w kuchni, szykował obiad. Teraz nie była to już fasolka i woda, lecz porządny posiłek. Nie chcąc, zagłodzić swej wybranki musiał się zmienić, jednak zaczęło wychodzić mu to na dobre. W dodatku gotowanie spodobało mu się tak bardzo, że w kuchni zaczął spędzać o wiele więcej czasu niż zazwyczaj, ze swego nieudanego życia wreszcie zaczął robić pożytek. Jednak jedynym nałogiem, jaki mu pozostał, to kradzieże, których za nic nie mógł się wyzbyć. Tak silnie zakorzenione przez jego matkę cechy były niebywale trudne do usunięcia, więc Amelia skoro już polubiła porywacza i do czasu odnalezienia bliskich postanowiła u niego pozostać, postawiła sobie za punkt honorowy wyperswadowania z jego głowy tych wszystkich gangsterskich pomysłów. Jednym słowem miało to być nic innego jak resocjalizacja. Odkąd wyznała Edmundowi swoje pochodzenie, ten słowem nie pisnął, jak bardzo był zamieszany w sprawę jej rodziny. Wolał unikać tego tematu z obawy, że ta go znienawidzi. W końcu był współpracownikiem jej ojca, jednego z najsilniejszych mafiozów w Monterrey. Czy coś takiego można by wybaczyć...? Więc ta tajemnica miała pozostać w ciemności, zresztą niby kto miałby ją wydać...

Gdy tylko czas kurczaka z jabłkami w piekarniku dobiegł końca, ten natychmiast znalazł się na stole w soczystym, otaczającym go zapachu. Amelia uwielbiała pieczone kurczaki w różnej postaci, więc to amatorskie danie było dla niej wyjątkowym rarytasem. Jedyne co jej odrobinę przeszkadzało to to, że danie jeszcze kilka godzin wcześniej spokojnie spacerowało sobie na czyimś podwórku, dopóki nie natknęło się na Edmunda, który właśnie przechodził obok. Biedny kurczaczek, mimo że nie widział u siebie już większych szans na przeżycie i podejrzewał, że za chwile skończy w garze i tak wytrzeszczając oczy, rzucił się do ucieczki

Kat, który czaił się zuchwale, pomiędzy stadem innych kur, upatrzył sobie właśnie jego, więc doganiając swą ofiarę po kilku sekundach miał ją pod kurtką.

— Mm, apetycznie to wygląda, jednak masz dar do gotowania.

— Robię to wszystko dla ciebie...

— Tak? A gdzie sprzedają te rarytasy?

— ...Niedaleko w pobliskim sklepie.

— Na pewno? Edmundzie, spójrz mi w oczy, wiesz że nie tknę niczego kradzionego...

— Patrze w nie i śmiem twierdzić, że są one wyjątkowo piękne.

— Zmieniasz temat...ale dziękuję...skoro już rozmawiamy czy mogła, bym cię o coś zapytać?

— Proszę

— Dlaczego to robisz?

— Nie rozumiem...?

— Dlaczego nie potrafisz żyć uczciwie jak inni...

— Właściwie to nigdy się nad tym nie zastanawiałem... mój dziadek był złodziejem, mój ojciec była złodziejem i ja też nim jestem.

— A tak poważnie?

— A tak poważnie...nie znałem ani ojca, ani dziadka. Wychowałem się z bratem w takiej dziupli jak ta. Ojciec był alkoholikiem, więc matka zostawiła go, gdy miałem dwa lata.

Nie mieliśmy środków do życia dlatego ona, aby nas wychować, nauczyła się kraść. Później z wiekiem, gdy dorastaliśmy, nauczyła nas tego samego.

— No cóż, to przykre co mówisz, ale sam rozumiesz, że twoja matka pomimo swych starań nie wskazała wam słusznej drogi... tak nie można.

— Być może nie ale jestem jej wdzięczny, że zechciała nas wychować. A teraz jedz już, bo wystygnie.

— Mogę cię jeszcze o coś zapytać?

— Słucham...

— Gdzie teraz jest twój brat?

— ...W więzieniu, bo co...

— Nic, chciałam tylko wiedzieć... a za co siedzi?

Edmund, słysząc to pytanie, spojrział na Amelię z wielkimi oczami, ponieważ zdawał sobie sprawę, że to Anacleto strzelał do jej przyjaciółki, więc od tej odpowiedzi postanowił się wywinąć i milczeć.

Wieczór para postanowiła spędzić na kanapie, zajadając się popcornem i oglądając Titanica z racji na jego romantyczny przebieg akcji.

— Nie myślałam, że lubisz takie filmy.

— Sama widzisz, że nie jestem aż taki straszny, poza tym nie lubię filmów przemocy, wole bardziej...

— Ty?

— Tak ja, mimo mojego nieuczciwego życia w środku wciąż pozostaję, delikatny — odparł z dumą łotrzyk, chcąc jeszcze bardziej, przekonać do siebie ukochaną, która zasnęła wtulona w jego ramię. Najwyraźniej już nie miała mu za złe tego, że porwał ją siłą, a nawet teraz czuła się bezpieczna. Edmund czuł, że wreszcie coś zaczęło się między nimi dziać, więc ucałował ją w czoło i nie przerywając snu, dalej oglądał wieczorny seans. Nic nie wskazywało na to, że jego plan znów mogłoby coś popsuć... a jednak drugiego dnia miał nastąpić koniec słodkiej idylli. Rankiem, gdy Amelia siedziała w swoim pokoju, jej współlokator zamiatał podłogę w kuchni, kiedy nagle usłyszał stukanie do drzwi. Jakież było jego zdziwienie, kiedy otwierając je, ujrzał...Anacleta...

— Witaj braciszku...co jest! Czemu nic nie mówisz?! Czyżbym się aż tak

zmienił przez ten rok...?

— Witaj... jak...

— Jak cię znalazłem? Jeden z kumpli Baldura cię zauważył i dał mi znać. Byłem pewien, że nie żyjesz... sprytnie to wykombinowałeś. Przez ciebie wylądowałem na rok w kiciu, bo myślałem, że Laura Monroy cię zabiła, a ty przez cały czas wylegiwałeś się tutaj, jednak nie mam do ciebie pretensji.

Na szczęście nawiałem. Może byś mnie zaprosił do środka? Co jest...nie cieszysz się, że mnie widzisz?

— Nie chodzi o to, wiesz ja teraz...

— Spokojnie, wpadłem tylko na chwile, aby się pożegnać, bo ruszam dalej na jakąś elegancką wyspę, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Słyszałeś stary, co się stało z Baldurem?

— Ciszej!

— Ale czekaj, czekaj... biedak skończył marnie, ale dobrze mu tak!

— Anacleto...cieszę się, że cię widzę, ale może porozmawiamy na zewnątrz...?

— Czekaj stary...chciałem powiedzieć, że dobrze mu tak za to, że za tyle lat twoich usług dla niego chciał ci sprzedać kulkę. Niech gnije w...

— Morderco! — krzyknęła Amelia, która z zza drzwi słyszała całą rozmowę.

— To ty strzelałeś do Laury! Bandyto! Z powrotem pošlę cię za kraty! Tam jest twoje miejsce!

— Tylko spróbuj ty mała...! — zdenerwował się Anacleto, szarpiąc dziewczynę.

— Zostaw ją! — wtrącił Edmund — on myślał, że zginąłem, dlatego chciał się zemścić. Teraz wyjedzie i nigdy więcej go nie zobaczysz...

— Nienawidzę cię! — wrzasnęła Amelia, wyszarpując się z ramion Anacleta. Z całej siły uderzyła kłamcę w twarz — cały czas mnie oszukiwałeś...pracowałeś dla mojego ojca! Myślałam, że byłeś tylko zwykłym, beznadziejnym złodziejem, a ty byłeś na jego usługach!

— Amelio proszę...

— Nie mogę na ciebie patrzeć! — oświadczyła srogo kobieta, po czym pobiegła do swego pokoju, zabierając małą walizkę z ubraniami. Nie widziała powodu, aby tkwić dłużej w tej dziupli. Nim Edmund zdołał cokolwiek wyjąkać w swojej obronie, już jej nie było...

— Coś ty zrobił! — krzyknął do nie bardzo rozumiejącego sytuację Anacleta.

— Stary skąd mogłem wiedzieć, że poderwałeś sobie laskę naszego szefa...ma charakter — stwierdził niesforny braciszek, poprawiając sobie pomięty mankiet od koszuli.

— Teraz to już nieważne...wszystko stracone...czemu musiałeś zjawić się

akurat teraz!!

— Wybacz...nie wiedziałem, że sytuacja przybierze taki obrót. No cóż... jak powiedziałem, wpadłem się pożegnać...gdy będę na miejscu, przyślę ci adres, abyś mógł mnie odwiedzić. A tą małą się nie przejmuj, znajdzie się inna. Także kochany bracie do zobaczenia...na razie!

Uciekinier mrugnął lewym okiem na pożegnanie i zniknął za drzwiami tak szybko, jak się pojawił, pozostawiając Edmunda w rozpacz...

Kilka minut później stało się jednak coś dziwnego. Jakiś huk i pisk opon dobiegł z ulicy... więc lokator szybko podbiegł do okna. Na dole ujrzał jakieś zbiegowisko, więc wybiegł na zewnątrz. Niestety było już za późno... pomiędzy gapiącym się tłumem obok zakrwawionej maski samochodu ujrzał Anacleta.

— Bracie! — krzyknął, klękając przy nim i biorąc go po raz ostatni w swoje objęcia.

— Ten człowiek nie zauważył samochodu! — odezwał się jakiś głos w oddali.

— Edmundzie... — szeptał resztkami sił konający, wypluwając przy tym krew z ust.

— Nic nie mów...niech ktoś wezwie karetkę! Wszystko będzie dobrze...

— Ja umieram prawda...?

— Nie...to nie prawda!

— To koniec...cieszę się, że mogłem zobaczyć cię jeszcze raz...byłeś moim młodszym ukochanym braciszkiem, który zawsze chciał spać sam i nocą spychał mnie z łóżka...posłuchaj...na koncie w Miami ulokowałem dziesięć patyków. Przez lata okradałem tego śmiecia Baldura z jego kasyna.

Jak cię znam, pewnie obrabiałeś te biedne staruszki, już nie musisz tego robić, teraz będziesz bogaty jak marzyła nasza ma...matka. Pochowaj mnie obok niej w Monterrey i przeproś tę dziewczynę, którą skrzywdziłem, ja... ja...

— Spokojnie, spokojnie nic już nie mów.

— Ja byłem zaślepiony nienawi... Edmundzie, zobacz... jakie jasne światło...mama... zobacz, tam stoi... — wyszeptał Anacleto, wskazując palcem, po chwili jego szeroko otwarte oczy zrobiły się zimne i obojętne jakby z kamienia a głowa bezwładnie opadła w dół...

Rozdział 62

Zgodnie z życzeniem Anacleto został pochowany w Monterrey. Od tej tragedii już minęły trzy tygodnie, więc jego brat zdążył się nieco otrząsnąć. Teraz był bogaczem i nie musiał już napadać na banki. Zawsze wydawało mu się, że gdy będzie posiadać fortunę, stanie się najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, jednak tak się nie stało, ponieważ nie było przy nim Amelii, za którą teraz bardzo tęsknił. Od chwili, gdy odeszła nie miał o niej żadnych wieści i nie wiedział gdzie jej szukać. Jakby ona także zapadła się pod ziemię. Nie miał jeszcze pojęcia, że wkrótce znów pojawi się szansa, aby zasłużyć na jej względy...kilka przecznic dalej Oriana, która rankiem jak zawsze była spóźniona do pracy, tym razem biegnąc ulicą, natknęła się na Thomasa w towarzystwie jej rywalki.

Wiedziała, że to mogło kiedyś nastąpić. Jej wzrok zatrzymał się niczym piorun na spoglądającej na siebie parze. Widać było z daleka, że teraz mieli sobie o wiele więcej do powiedzenia... zbrodniarka szybko schowała się za rogiem jakiegoś budynku, wyglądając ukradkiem, gdy para pożegnała się, ta natychmiast ruszyła w stronę byłego narzeczonego.

— Marto...co tutaj robisz?

— Jak to, co! Przecież widzę, że mnie zdradzasz! w dodatku z tą niedoszłą wdową!

— Co ty wygadujesz, my tylko rozmawialiśmy.

— Nie rób ze mnie idiotki! To nie wyglądało jak zwykła rozmowa!

— Uspokój się i przestań wrzeszczeć, bo ludzie się na nas gapią...

— Nic mnie to nie obchodzi! Od kiedy mnie zdradzasz?!no mów ty łajdaku!

— Chcesz to usłyszeć? Proszę bardzo! Mam cię dosyć i nic do ciebie nie czuję! to koniec... — oznajmił Thomas, odwracając się od Oriany, która szybko pojęła, że właśnie popełniła błąd, więc rzucając się mu do stup, zaczęła błagać i przepraszać...

— Obiecuję, że się zmienię, tylko mnie nie zostawiaj...proszę Thomasie...

— Thomasie? z kim ty mnie mylisz?! Naprawdę powinnaś się udać na jakąś terapię... żegnaj.

Mężczyzna, wyszarpując kawałek marynarki z rąk kryminalistki, zostawił ją samą na ulicy. Widocznie myślał, że to był naprawdę koniec i będzie mógł zacząć życie z Aną, którą niedawno poznał. Jednak tej mścicielki nie tak łatwo się było pozbyć, ze względu na jej diabelski charakter i zaburzenia psychiczne. Gdy tylko poczuła, że po raz drugi została z niczym, już wiedziała, że kolejnej szansy nie będzie. W głowie światała jej tylko jedno słowo „zemsta” ale tym razem nic jej nie mogło przeszkodzić, więc uniosła swój wzrok pełen nienawiści i ruszyła natychmiast do domu Susi. Wpadając do środka jak furiatka, wbiegła do pokoju,

który kiedyś od niej wynajmowała. Miała tam parę swych osobistych rzeczy, jak również tą, którą chciała ukryć.

— Co ty wyprawiasz? Dlaczego wywalasz wszystko z szafy na podłogę? — zdziwiła się współniczka.

— Nie gadaj tyle, tylko się szykuj!

— Ale gdzie? Dokąd?

— Dokończyć to, co mi się nie udało wcześniej!

— Jak to? Co chcesz zrobić z tą bronią?

— To już koniec...! Teraz wszyscy poznają Orianę Mercado...

Laura niczego nieświadoma po spotkaniu z niedoszłym narzeczonym, którego uważała za Victora, spokojnie jak co dzień udała się do kafejki, w której pracowała. Bardzo ją lubiła ze względu na ludzi, którzy to miejsce odwiedzali, nawet się nie spodziewała, że przeszłość w postaci Edmunda trafi do tego miejsca, chcąc wypić filiżankę porządnej kawy. Spoglądając w wejściu na kelnerkę stojącą od tyłu za bufetem, czyszczącą filiżanki, klient spokojnie usiadł przy jednym ze stolików, czekając, aż ta znajdzie dla niego czas.

— Czy mogę przyjąć zamówienie? — spytała po chwili, stojąc za nim z długopisem i małym notesem w dłoni.

— Jedną kawę pop... pop...

— Czy coś się stało, proszę pana?

Edmundowi mowę odjęło... właśnie stała przed nim ta sama dziewczyna, która zaginęła przed rokiem...jeszcze raz wlepił dokładnie w nią swój wzrok i wstał z wrażenia...

— Proszę pana czy życzy sobie pan kawę? Może herbatę?

— Dlaczego mówisz mi na pan? Co z tobą?

— A jak mam mówić skoro pana nie znam! Trzeci raz nie powtórzę. Czy składa pan zamówienie...

— Tak... poproszę jedną kawę, z cukrem — odpowiedział, niesforny klient, siadając, jednocześnie orientując się, że Laura po prostu straciła pamięć. Obserwując ją, nie miał pojęcia, jak jej wyjaśnić, że w domu czekał na nią mały chłopiec... i co się stało z Thomasem...? To wszystko wydawało się bardzo dziwne. Przecież nie można było tak po prostu wszystkiego wyjaśnić od razu, Były złodziej nie miał pojęcia, co pierwsze Laura mogłaby sobie przypomnieć... tę chwilę, kiedy uratował ją od kuli Baldura...czy tę, w której podpalił chatę, w której mieszkał z Elvisem...

Wiec, gdy po kilku minutach wypił kawę, wpadł na pomysł, aby przewrócić niebo i ziemię w poszukiwaniu Amelii, której względy mógłby odzyskać, przyprowadzając ją do tej kafejki...to było jego światelko w tunelu, więc spoglądając jeszcze raz na sprzedawczynię, udał się do wyjścia.

— Halo! Dwa peso się należy — usłyszał jeszcze za sobą.

— A tak przepraszam. Tylko nigdzie już stad nie odchodź... — oznajmił uszczęśliwiony, kładąc pieniądze na ladę i w pośpiechu wyszedł z kawiarni.

— Co to za jakiś dziwak... wariatów nie brakuje.

Jednak Edmund nim zdołał odejść kilkadziesiąt metrów od restauracji, znów się zdziwił, ponieważ z samochodu, który zatrzymał się przed kafejką, wysiadła Oriana... po czym weszła do restauracji.

— Co tu się dzieje...! To ta morderczyni, która odwiedzała Baldura...co ona tutaj robi?! Czyżby też straciła pamięć? co to za kobieta obok niej? — dziwił się chłopak, z wrażenia drapiąc się, po głowie i nie mogąc ogarnąć tej sytuacji. Więc chcąc bliżej przyjrzeć się sprawie, zachowując się bezszelestnie i korzystając z tego, że na ulicy już nikogo nie było, wskoczył do bagażnika samochodu, którym przyjechały te dwie oszustki.

Po chwili usłyszał, jak Oriana wraz z Susi wychodziły w towarzystwie Laury, prowadząc ją do auta. Nie było słyhać, żeby się kłóciły, wprost przeciwnie z odgłosów, które dobiegały, można było wywnioskować, że dziewczyny wybierały się w jakąś podróż...

— Dokąd jedziemy? — zapytała, Laura, wsiadając.

— Wiesz, moja droga, że po śmierci Damiana nie poświęcałam ci zbyt wiele czasu...

— Po śmierci Damiana? Jakiego Damiana? — zastanawiał się Edmund, siedząc w bagażniku.

— Więc chciała, bym cię za to przeprosić i zabrać w miejsce, gdzie jeszcze nie byłaś...

— Naprawdę nie mam ci tego za złe. To, co się stało mmm... — niestety Laura już nie zdążyła skończyć zdania, ponieważ Susi, która siedziała na tylnym siedzeniu, zatkała jej usta chloroformem.

— Wyśle cię na samo dno piekła...

Rozdział 63

Podczas gdy Edmund, leżąc, w bagażniku samochodu zachodził w głowę, jak uwolnić Laurę... Amelia, która zaszyła się w małym pokojowym hoteliku, próbowała o nim zapomnieć, skupiając tylko na sobie i swym celu.

Właśnie przed chwilą podjęła decyzję, aby wrócić do Monterrey, nic jej nie trzymało w Allende, skoro nie udało jej się odnaleźć bliskich. Pobyt w tym mieście nie miał większego sensu. A poza tym nie chciała przypadkiem gdzieś na ulicy wpaść na tego głupka, który deklarował swoje szczerze uczucia. Podczas gdy Amelia po raz setny siedziała przed swoim laptopem, w poszukiwaniu, jakiej kolwiek, ostatniej minimalnej informacji o zaginionych na małym stoliku obok zaczął dzwonić jej telefon cichym sygnałem.

— Kto to może być? — zaciekawiała się, spoglądając na nieznany numer.

— Słucham...

— Dzień dobry, czy rozmawiam z Amelią Carderi? — odezwał się głos obcej kobiety.

— Tak to ja, o co chodzi...

— Ja w sprawie zaginionej pary, której zdjęcie umieszczono na jednej z witryn sklepowych. Niejaka pani Laura Monroy i Thomas Romero prawda...

Amelia natychmiast poderwała się z kanapy

— Tak? Tak co z nimi...

— Nie jestem pewna tej informacji, ale kilkanaście minut wcześniej widziałam bardzo podobnego mężczyznę, który wchodził do budynku, w którym mieszkam. Wydawało mi się, że wiek także się zgadzał.

Amelia, zapominając nawet o podziękowaniu za najcenniejszą informację na świecie, wyłączając słuchawkę, wrzuciła telefon do torebki. Jeszcze tylko nałożyła na siebie niebieski, cienki sweter i natychmiast udała się do wyjścia. Po drodze zastanawiała ją czy to rzeczywiście mógł być Thomas?

— Skoro tak, dlaczego nie dał znaku życia?

To wszystko było bardzo dziwne. Po siedemnastu minutach kobieta dotarła przed budynek, w którym ponoć widziano jej brata. Serce waliło jej szybciej niż jaki kolwiek młot, za chwilę miało się wszystko wyjaśnić. Gdy tylko zapłaciła taksówkarzowi za podwiezienie, natychmiast podbiegła do obiektu mieszkalnego jednocześnie nie łudząc się, że prawdopodobnie mogłaby zastać całkiem kogoś innego. Już miała zapukać do drzwi, kiedy te zostały otworzone od zewnątrz, a w nich stanął młody pan Romero z walizką w ręku. Nie zdążył wydobyć z siebie nawet jednego słowa, kiedy to obca dziewczyna stojąca przed nim rzuciła mu się z piskiem na szyję, dusząc go przy okazji. Zupełnie jak przy ich pierwszym spotkaniu, tyle że on tego nie pamiętał.

— Halo! Proszę pani...co pani wyprawia! Proszę mnie puścić.

— Proszę pani? Thomasie co, ty wygadujesz...? Dlaczego nam to zrobiłeś?!co się z tobą działo...?

Chłopak przez chwile nic nie odpowiadając, trochę się zdziwił, ponieważ już drugi raz tego dnia został nazwany Thomasem.

— Jak pani mnie nazwała?

— Jaka pani...przecież to ja twoja siostra. Ty... ty mnie nie poznajesz prawda...? — domyśliła się Amelia ze smutkiem w oczach.

— Nie będziemy tutaj rozmawiać, proszę do środka, bo chyba mamy sobie wiele do wyjaśnienia...

— Tutaj mieszkałeś przez cały czas? Co to za mieszkanie?

— Więc twierdzi pani, że jesteśmy rodzeństwem?

— Tak, dlaczego tego nie pamiętasz...czy coś ci się stało?

— Ja... zaskoczyłaś mnie zupełnie, nie wiem co teraz powiedzieć...

— Oriana! — zawołała nagle siostra, spoglądając na zdjęcie, które stało na dużej, brązowej komodzie w rogu pokoju.

— Tak masz na imię?

— Nie! To ona...! Wiedziałam, że maczała paluchy w waszym zniknięciu.

— Nie, to Marta... właśnie z nią zerwałem i miałem się wyprowadzić — twierdził coraz bardziej skołowany psycholog.

— Co ty wygadujesz! Zerwałeś z nią dawno temu. To Oriana...nie pamiętasz, jak zepchnęła mnie ze schodów, a potem poszła na cmentarz i odkopła grób rodziców Laury... Laura...co się z nią stało?

— ... Kto to jest?

— O Boże co się z nią stało...? Mogłam się domyśleć, że ten potwór was rozdzielił. To twoja prawdziwa narzeczona, przed rokiem oboje udaliście się do kościoła, aby ustalać datę ślubu i ślad po was zaginął, potem znaleziono wasze rozbite auto z przestrzeloną szybą...proszę, postaraj sobie przypomnieć... ja jestem Amelia...

— Amelia? Moja siostra? Moja dziewczyna? wybacz, ale zjawiałaś się tak nagle, to wszystko namieszało mi w głowie...

— Proszę, powiedz mi, gdzie teraz jest Oriana, musimy ją schwytać i dowiedzieć się co zrobiła z Laurą...

— Ana! — krzyknął Thomas, wstając nagle z kanapy.

— Ana? Kto to jest?

— To dziewczyna, którą tutaj poznałem. Marta...to znaczy Oriana dziś rano widziała nas, jak rozmawialiśmy na ulicy! — zadrżał chłopak i chwycił za telefon, wyciskając nerwowo numer, aby ostrzec ukochaną, lecz komórka była wyłączona.

— Myślisz, że byłaby w stanie zrobić jej krzywdę?

— Nie wiem, ale po niej wszystkiego można się spodziewać. Natychmiast

dzwonię na policję...!

Na szczęście jeden z funkcjonariuszy szybko odebrał połączenie i wcale się nie zdziwił, słysząc w słuchawce nazwisko Oriana Mercado. To, czego dowiedziała się jeszcze Amelia, całkiem zważyło ją z nóg...

— Co się dzieje? dlaczego tak zamilkłaś?

— Policja już tutaj jedzie... Thomasie, on powiedział, że Oriana pracowała w domu publicznym i od dawna jest poszukiwana za zamordowanie koleżanki po fachu...nie jakiej Jimeny Ortez.

Po dziesięciu minutach nerwowego oczekiwania posterunkowy ze swoją świtą już był na miejscu. Po dokładnym wyjaśnieniu sprawy natychmiast zaczęto namierzać recydywistkę, co nie było takie trudne, ponieważ nie wyłączyła telefonu. Natychmiast uruchomiono wszystkie wozy policyjne...

Rozdział 64

Po tym, jak Oriana zatrzymała auto w nieznanym miejscu, do wnętrza bagażnika dobiegły głosy tarmoszenia. Edmund domyślił się, że Oriana i jej współpracowniczka postanowiły, gdzieś wnieść swą zakładniczkę, więc odczekał jeszcze chwilę i po tym, jak ich kroki ucichły postanowił wyjść z bagażnika, lecz znany z kiepskiej inteligencji nie zorientował się, że wchodząc do środka, zatrzasnął za sobą zamek... oh... wściekły sam na siebie zaczął walić w maskę rękoma i nogami, lecz bezskutecznie...

W opuszczonym budynku, gdzie porywaczki wtarosiły Laurę, nie było nikogo. Była to rudera z kilkoma pietraami.

Gdy związana dziewczyna zaczęła dochodzić do siebie, siedząc na podłodze, nie bardzo miała pojęcie, co się stało...

— Marto...? Co to ma znaczyć? Co ty wyprawiasz?! Dlaczego mam związane ręce?!

— Susi zostaw nas same, musimy sobie wiele wyjaśnić — rozkazała Oriana.

— Wołaj, gdy będę potrzebna — odpowiedziała współpracowniczka i udała się na pusty balkon, w drugim z pięt chcąc zapalić papierosa.

— Marto! Natychmiast mnie rozwiąż! Kim jest tamta kobieta?!

— Ależ ty jesteś głupia...czyżbyś mnie nie poznała?oj...przepraszam, przecież straciłaś pamięć... jak mi przykro.

— Co ty wygadujesz! Straciłaś rozum?!

— Nie, ja w przeciwieństwie do ciebie wiem, co ci się stało, więc przed twoją śmiercią postanowiłam się zlitować i wszystko ci wyjaśnić...

— Chcesz mnie zabić? Co ja ci takiego zrobiłam? Przecież mówiłaś, że byłyśmy jak siostry...

— Posłuchaj głupia! Nie wychowałaś się w sierocińcu, a ja nie jestem Marta, tylko Oriana... Oriana Mercado, której weszłaś w drogę! Postaraj się sobie przypomnieć, jak ukradłaś mi narzeczonego. To ja spowodowałam ten wypadek, po którym straciłaś pamięć. Gdyby ten umarłak Damian nie postanowił się wybrać na tamtą stronę, już byłabyś jego grzeczną żonką, z daleka od Allende, ale ty postanowiłaś zastawić sidła na Thomasa!

— Thomasa... kto... — podczas gdy Oriana wygłaszała ostateczną przemowę, do Laury nagle zaczęło docierać wspomnienie...jedno po drugim...

— Elvis...mama... Eva... oni... — szeptała w myślach, przywołując do siebie coraz więcej chwil, aż w końcu... uniosła głowę ze wzrokiem pełnym nienawiści za krzywdy, jakie jej wyrządziła ta okrutna maniaczka. Teraz wszystko znów było jasne. Korzystając z chwili nieuwagi odwróconej Oriany, Laura rozejrzała się dookoła, dostrzegając obok siebie jakąś drewnianą deskę... z

wielkim wysiłkiem zdołała rozwiązać swe ręce i chwytając sztchetę, uderzyła porywaczkę w głowę.

— Ty potworze! — krzyknęła, rzucając się do ucieczki...biegnąc przed siebie, po schodach na dach budynku zorientowała się, że to ślepy zaułek...nie wiedziała co robić...gdzie się ukryć...nim zdążyła się dobrze rozejrzeć wokół siebie, za nią znów stanęła Oriana z bronią w dłoni.

— Myślałaś, że zdołasz uciec... tym razem nie ma nikogo, kto mógłby cię uratować.

— Proszę cię, nie rób głupstw, zabijając mnie nic nie zyskasz.

— Zyskam o wiele więcej, niż ci się wydaje, będę mieć satysfakcję, że ty i Thomas nigdy już nie będziecie razem...

— Jesteś chora z nienawiści, aaa... — rozległ się krzyk Laury, która nie zauważyła, że stała nad krawędzią ...

Podczas gdy nie było nikogo, kto mógłby ją uratować, Edmund wciąż walczył z maską w bagażniku, w którym zaczęło brakować mu powietrza... w końcu wpadł na pomysł, że lampka, którą posiadał w telefonie i scyzoryk mogły się do czegoś przydać, po raz pierwszy w życiu ruszył głową i zaczął małym nożykiem grzebać w zamku od maski.

— Wreszcie! Już myślałem, że dołączę do Anacleta — dodał, łapiąc powietrze i szybko rozejrzał się wokół miejsca, w którym się znajdował. Słyszac krzyki z góry opuszczonego budynku, zobaczył wiszącą kobietę, która trzymała się jakiejś rury wystającej z dachu... czym prędzej ruszył jej na ratunek.

— Oriano proszę... opamiętaj się — błagała płacząca Laura, trzymając się z ledwością metalowej poręczy.

— Myślisz, że coś ci to da...nawet w obliczu piekła jesteś śmieszna. Głupiutka Seniorita Monroy włóczyła się po ulicy, aż znów natrafiła na mojego narzeczonego...mojego! Słyszałaś!

— Zostaw ją! — krzyknął Edmund, wbiegając na górę.

— ... Stój, bo strzele! Ani kroku!

— Opanuj się... tak nie można!

— I kto to mówi...były bandzior...ani kroku powiedziałam!

— Oriano! Zaraz spadnę! Błagam cię...

— O jakież to litościwe...coś ci powiem w tajemnicy. Ostatnia osoba, która mnie tak słodko błagała, nazywała się... Marcus Molina, kolejny idiota, który odrzucił moje doskonale uczucia...

— Coś ty powiedziała...? — dobiegł nagle głos Susi, która także zdążyła dogonić resztę, orientując się co do sytuacji na dole.

— Susi... droga przyjaciółko...

— Powtórz to, co przed chwilą powiedziałaś!

— To był tylko taki żart ja...

— To ty zabiłaś Marcusa...?

— ...on nie był ciebie wart!

— Ty potworze! — zawołała dziewczyna, strzelając Orianie w rękę, w której ta trzymała pistolet, korzystając, z nadarzającej się chwili, Edmund szybko rzucił się na ratunek Laurze i z powrotem wciągnął ją na dach.

— Wiesz, kim był Marcus...idiotą...

— Czy ty rozumiesz, jak bardzo go kochałam?! — wrzasnęła zapłakana desperatka, strzelając wspólnicze w drugą rękę.

— Wiesz?! Masz pojęcie, co czułam, gdy się nie zjawił na ślubie...!

— Ty idiotko...myślałaś, że cię zostawił... a on już dawno leży na dnie rzeki... wiesz, jakie były jego ostatnie słowa? dla mnie liczyła się tylko Susi... żalosne — roześmiała się ciężko dysząca z bólu diablica, której krew spływała po rękach.

— Odebrałaś mi jedyne go mężczyznę, którego kochałam...nic już nie mam... — upuszczając pistolet, nieszczęśnica jeszcze raz uniosła głowę i ruszyła szybko w kierunku nagle zdezorientowanej kryminalistki...chwytną ją bardzo mocno w swoje ramiona na oczach Laury i Edmunda rzuciła się z dachu, na którym wszystko się działo...krzyk spadającej Oriany rozległ się w powietrzu. Lecąc w dół, Susi wreszcie poczuła się wolna, dotyk śmierci oddzielił ją od tęsknoty i pustego świata, w którym nie było jej narzeczonego...

Rozdział 65

Gdy policja dotarła na miejsce zdarzenia, przed budynkiem zastała dwa pokrwawione ciała leżące obok siebie. Amelia i Thomas byli w szoku.

— Co tu się wydarzyło...? — dziwiła się dziewczyna, jednocześnie odwracając się od ciał dwóch denetek. Był to na tyle przerażający widok, że nawet Thomas wolał na nie nie spoglądać, jednak w pewnym momencie kolejna przerażająca myśl przyszła mu do głowy...

— Ana! — krzyknął ze strachem i pobiegł do środka budynku. Był pewien, że Oriana przed śmiercią mogła jej coś zrobić...! Z wielkim strachem przeszukiwał kolejne pomieszczenia...

— Ana! Ana odezwij się... ona na pewno tutaj gdzieś jest...

— Thomas...! — krzyknęła kobieta schodząca po schodach za Edmundem, zaraz rzuciła się chłopakowi wprost na szyję...

— Ana nic ci nie jest? Co tutaj się stało...?!

— Ona chciała mnie zabić, ale Edmund...

— ...skąd wiesz jak mam na imię...?

— Thomas to ja... jak mogłeś mnie zapomnieć... — psycholog spojrzał dziwnym wzrokiem na Laurę, ponieważ kompletnie nie miał pojęcia, o co jej chodziło...

— Laura? To ty? — dobiegł kolejny dziwiący się głos Amelii, która po raz kolejny została zaskoczona, zamiast nieznanym Any zastała ją, której szukała od dawna... tym razem jednak emocje były tak nieoczekiwane i silne, że po prostu zemdląca...

— Koteczku! — podbiegł Edmund, łapiąc ją w ramiona — co ci jest... ocknij się...

— Koteczku? — zdziwiła się Laura.

— Po chwili ukochana powoli zaczęła otwierać swe oczy, wpatrując się w Edmunda, gdy całkiem się ocknęła, natychmiast chciała się wyrwać z jego objęć, lecz on trzymał ją tak mocno, aby znów nie pozwolić jej uciec.

— Zostaw mnie ty... ty Egoisto, mówiłam ci, że cię nienawidzę...?

— Mówiłaś misiaczku

— Tak...nienawidzę cię, bo jesteś zwykłym kłamcą i oszustem!

— Marzyłem, żeby to od ciebie usłyszeć, w twoich ustach te słowa brzmią tak słodko.

— Uch — burczała Amelia, chcąc ukryć co naprawdę czuła.

— Proszę, wybac mi... — powiedział Edmund i wreszcie odważył się pocałować swoją żonę, która tym razem już go nie odrzuciła.

— Ja chyba nie wszystko sobie przypomniałam... — stwierdziła zdziwiona

Laura... i znów objęła Thomasa, który dalej nic nie pojmował.

Amelia przyrzekła odnaleźć syna Lourdes i jego narzeczoną, nareszcie dotrzymała słowa. Wreszcie wszyscy wracali po tak długim czasie do domu. Thomasowi co prawda jeszcze nie wróciła pamięć, ale z pewnością obecność bliskich to wkrótce zmieni... Należało być tylko cierpliwym.

Gdy samochód zajechał przed rezydencję Romerów, rodzina już czekała na zewnątrz z niecierpliwością. Żeby uniknąć niepotrzebnych emocji, Amelia wyjaśniła wszystko lokajowi telefonicznie, który to miał na spokojnie przekazać tę nowinę całej reszcie.

Thomas jako pierwszy wysiadł z auta, mając jeszcze problem z rozpoznaniem kogo kol wiek, wstrzymał oddech. Spoglądając na swój wielki dom i na osoby których nie pamiętał, poczuł się trochę zagubiony...

— Synku...! — płakała Lourdes, tuląc go bardzo mocno.

— Mama?

— Tak, to ja syneczku, już powoli zaczęłam tracić nadzieję na twe odnalezienie...

— Witaj stary druhu, kope lat...masz szczęście, że wróciłeś... — uśmiechnął się podchodzący Bony.

Po tym, jak Thomas zajął się rozpoznawaniem rodziny, Laura, która stała z tyłu, wciąż nie mogła dostrzec tej jednej twarzyczki, którą oczekiwała zobaczyć jako pierwszą, po chwili jednak usłyszała cienki piszczący głosik

— Laura! Laura wróciłaś...!

— Elvis mój mały...!

— Oni powiedzieli, że mogę cię już nie zobaczyć, ale ja ich nie słuchałem wiesz...

— Jak ty urosłeś...

— dokładnie aż dwa centymetry

— Tak...? Ha, ha

— Babcia Lourdes tak powiedziała.

— I wiesz co... wypadły mi aż cztery zęby...mam je pod poduszką żeby ci pokazać...

— Pod twoją nieobecność był bardzo grzeczny — odezwała się z Eva która pojawiła się z becikiem na rękach.

— Evo...to jest...

— Tak moja droga...to moja córeczka Pili...cieszę się, że jesteś...

Dwa miesiące później

— Elvisie nie patrz tak na mnie... ja się wcale nie denerwuję — powiedział Thomas, który stał wraz z innymi gośćmi przed kościołem, czekając na narzeczoną.

— Jasne... — zaśmiał się chłopczyk, poprawiając mu muchę pod brodą.

— Powiedz mi, jak ona wyglądała?

— Nie mogę, kazała mi siedzieć cichuuutko, ale była śliczna.

Musimy już wchodzić do kościoła, zaraz panna młoda się zjawi — wtrącił Bony, który na tym ślubie wystąpił w roli drużby. Thomasowi jednak stres przedmałżeński udzielał się coraz bardziej.

Elvis także został jeszcze na chwilkę na zewnątrz w towarzystwie Fermina, przy okazji i jemu poprawiając muchę na szyi. Był szczęśliwy jak nigdy, ponieważ na tym ślubie był gościem honorowym wraz ze swoją małą koleżanką Maliką, która miała przybyć za chwileczkę z rodzicami.

Gdy chłopiec stał w tłumie gości, wyglądając limuzyny z daleka, usłyszał dobrze znany mu głos...

— Dominic...

Odwrócił się pomału, ponieważ pomyślał, że się przesłyszał...jednak wpatrując się dokładniej w sylwetkę mężczyzna, który stał za nim z otwartymi ramionami, chłopiec poczuł się najszczęśliwszy na świecie...

— Tata...!

— Mój mały Elvis jak ty wyrosłeś.

— Tatusiu to naprawdę ty?

— Tak, wruciłem do ciebie.

— Jesteś już zdrowy?

— Tak, najzupełniej i już nigdy cię nie opuszczę — oznajmił stęskniony ojciec, tuląc do siebie syna z całej siły.

Gdy tej radości nie było końca, jeden z gości zauważył w oddali limuzynę...

— Zobac tato Laura jedzie!

Auto powoli zaparkowało przed kościołem. Szofer pospiesznie otworzył drzwi pannie młodej, która wysiadła cała okryta bielą z różowym bukietem w dłoniach, gdy ruszyła przed siebie, rozglądając się, pośród tłumu oprócz małego Elvisa dostrzegła także jego ojca, więc się uśmiechnęła i podeszła do mężczyzny.

— Wreszcie... on pana potrzebował.

— Chciałem podziękować, że się nim zajęłaś, dzięki tobie dałem sobie czas, aby wyzdrowieć. Przyrzekam, że już nigdy nie wrócę do tego, co było... i dziękuję za zaproszenie na ślub

— Jesteście moimi gośćmi honorowymi.

— Laura wiedziałaś ze tatuś psyjdzie i nic nie powiedziałaś? — wtrącił mały, zadzierając główkę do góry.

— To miała być dla ciebie niespodzianka.

— Już czas — zawołała Eva która stała obok.

— Tak już czas...

Idąc przed siebie, panna młoda uśmiechała się po cichu, ponieważ przypomniała sobie, jak długą drogę musiała przejść. To los siłą zmusił ją rozkapryszoną trzpiotkę do poddania się ...i wskazał życie, jakiego sama nigdy by się nie podjęła.

— Całe szczęście, że się upiłam tamtego wieczoru... — pomyślała, patrząc na twarz swego przyszłego męża i w duchu dziękowała Bogu, że został postawiony na jej drodze. Odwracając się jeszcze za siebie, w stronę Elvisa podziękowała także za niego.

Ceremonia jak to zwykle bywa, była piękna i wreszcie bez jakich kol wiek zakłóceń. Tym razem nikt nikogo nie musiał porywać, a pan młody wyszedł bez szwanku. Gdy para wymieniła się obrączkami, wreszcie nikt nie mógł ich już rozdzielić. Teraz byli małżeństwem. Gdy oboje ze sznurem gość wyszli z kościoła, Thomas wreszcie mógł pocałować żonę, a kilkanaście białych gołębi uleciało w górę.

THE END

— Elvisie, ale co się w końcu stało że złą Oriana?

— Wies Malika, Laura mówiła, że była niedobra i za kare zostały z niej same kosteczki.

— Aha...

